



Sąsiednie kolory

JAKUB
MAŁECKI

SON

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Sąsiednie kolory



Książka zaprosiła waleś; wydrukowana w Polsce

**Sąsiednie
kolory**
**JAKUB
MAŁECKI**

Kraków 2023

Spis treści

Okładka

Strony tytułowe

Dedykacja

I

II

III

IV

V

VI

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Dla Marty

I

Siedziała w starym brązowym fotelu i przyglądała się swojej prawej dłoni, przekonana, że w tym domu powinno być więcej osób. Ta myśl czasem ją nachodziła. Później znikwała, wypchnięta przez jakąś inną – na przykład że trzeba zjeść śniadanie. Bywało też, i to zdarzało się częściej, że w jej głowie rozciągała się tylko znajoma łąka, płaska i nieskończona, na której nie było przeszłości ani przyszłości, nie było zdarzeń ani ludzi, tylko ona, bez imienia, bez wieku, siedząca pośrodku.

Każdego dnia miała dwie lub trzy godziny, kiedy wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Zwykle od południa do obiadu, i czasami jeszcze po obiedzie. Pamiętała wtedy wszystko i wszystkich, wiedziała, ile osób mieszka w tym domu i ile mieszkało w nim wcześniej.

Krystian, myślała na przykład. Mój syn ma na imię Krystian. Zapisywała to na papierze pakowym, na pierwszej stronie książki zdjętej z regału, czasami na stole, byle później nie musieć zadawać pytań. Ale kiedy to Później nadchodziło, a wraz z nim jej gorsze godziny, nie rozumiała swoich gryzmołów, nic dla niej nie znaczyły. Czekala wtedy, aż znowu przyjdzie lepszy czas, aż znowu ona będzie Anielą, a nie tylko tym tępym, milczącym bezruchem.

Jej mąż miał na imię Iwo i przez większość dnia patrzył w to samo okno co ona. Niski, pulchny, wygodnie dopasowany do swojego fotela, przedzierał się u jej boku przez kolejne minuty. Oddychali. Chrzękali. On wzdychał, nieznacznie zmieniając pozycję, ona co jakiś czas podnosiła się, podchodziła do szafy, poprawiała w niej coś, przesuwiała o centymetr w jedną albo w drugą stronę, po czym wracała na miejsce. Pocięty gałęziami pasek słońca sunął po ich nogach od prawej do lewej, jak coś żywego. Schodzili na posiłki, które przygotowywała ich synowa, a Iwo za każdym razem, wstając od stołu, wypowiadał cztery słowa:

– Ogromnie smaczne, Regina. Dziękujemy.

Wracali na górę, do dwóch przestronnych pomieszczeń na zaadaptowanym strychu, siadali w fotelach i podejmowali przerwana walkę z czasem. Niekiedy wieczorem on nalewał po kieliszku koniaku, a ona ze śmiechem machała ręką, jakby nigdy w życiu nie widziała, by ktoś zrobił coś tak zwariowanego. Komentowali zmiany pogody i dzielili się gniewem, kiedy pory posiłków przesuwaly się bez uprzedzenia w jedną lub drugą stronę po powierzchni czasu.

W niedzielę wybierali się w podróż do kościoła. Szli powoli, kłaniali się ludziom, z nikim nie rozmawiali. Po powrocie ona opowiadała mu, kogo widziała, kto kupił nowy płaszcz, a kogo brakowało na mszy, zupełnie jakby Iwo nie towarzyszył jej w tym wyjściu, jakby tego wszystkiego nie widział. Kiedy zapadał w drzemkę, budziła go niecierpliwie i opowiadała dalej: Waleczka chyba jeszcze przytył, Droszczowa bez męża przyszła, może pijany, a chłopiec Klimaszewskich znowu tak głośno kasłał.

Byli do siebie podobni. Jakby wiele lat temu odlano ich z tej samej formy i jakby od tego czasu gromadzili indywidualne cechy, zmarszczki, rysy oraz tiki, które jednak nie zdołały przykryć tego, co wspólne. Okrągłe twarze, wysokie czoła. Wąskie usta i ta szczególna miękkość wokół nich, jakby to właśnie tam starzeli się najprędzej.

Iwo nie odzywał się często. Spokojny, cierpliwy. W kontakcie z drugim człowiekiem uśmiechał się uprzejmie i z zakłopotaniem, jakby próbował w ten sposób za coś przeprosić. Z uwagą patrzył na gałęzie bzu, na pola, na codzienne niestrudzone narodziny i śmierci słońca, którym towarzyszył od siedemdziesięciu lat. Czasami przysypiał. Miał wielki nos, rozlewający się szeroko na twarzy, jak nos byłego pięściarza. Lubił jeść, lubił spać po południu. Poruszając się na chudych nogach, nosił przed sobą brzuch jako dowód dobrego życia, wieloletniej bezczynności.

Kiedyś był stolarzem i lubił ludzi, głośno się śmiał, wiecznie miał coś do zrobienia. Aniela nie rozpoznawała już w nim tamtego energicznego, ciemnowłosego mężczyzny, miała wrażenie, że urodził się właśnie taki, w tym fotelu, ze stopami opartymi równo na dywanie, z nią obok.

Spoglądała przez okno z nadzieją, że w jej życiu jeszcze się coś zmieni, że będzie mogła być Anielą od rana do wieczora, a nie tylko przez kilka

godzin dziennie. Znała dobrze rozkład gałęzi za szybą, położenie gniazd kosów, kształty dachów i granice pól.

Zobaczyła, jak Krystian wychodzi z zakładu: włosy sterczące w różne strony, szare spodnie, podwinięte rękawy koszuli. Miał wyraz twarzy inny niż zazwyczaj, bardziej ożywiony. Musiał zobaczyć kogoś w bramie, bo podniósł rękę i ruszył w tamtą stronę.

Przywieźli ją przed południem. Najpierw rozejrzeli się oboje, a potem mężczyzna zszedł z wozu i otrzepał spodnie z czegoś, czego na nich nie było. Wydawał się znajomy.

W rozmowie konkretny, pełen mądrych słów, którymi potrząsał i świecił – jeden z takich. Mówił o szczegółach, tak jakby wiedział, że trzeba o czymś porozmawiać przed załatwieniem sprawy, żeby nie wyglądało, że nie ma serca we właściwym miejscu. Weszli we troje do zakładu, w zapach i pył, gdzie rosły pod sufit bloki desek. Sosna, buk, jesion, mężczyźni było wszystko jedno. Kiedy w końcu uzgodnili, co trzeba, Krystian zadał pytanie, które zadawał każdemu klientowi.

– To chyba nie powinno... – odezwała się dziewczyna. Miała owalną twarz i wyglądała jak ukryta pod cienką warstwą siebie, jakby trzeba było ją lekko zheblować po wierzchu, żeby się przekonać, jak wygląda naprawdę. Jej ojciec drgnął.

– Płuca – powiedział powoli, w jego ustach każde słowo było ciężkie, dojrzałe. – To były płuca.

Uśmiechnął się na pożegnanie i ruszył w stronę wozu, ciągnąc za sobą szeroki cień. Słońce wymieszane z chmurami wisiało tuż nad Kołem, aż chciałyby się je na chwilę nakryć mokrą szmatą. Za bramą, po Toruńskiej, wałęsał się pies. Wróble rozrabiały w krzakach.

Krystian był przekonany, że kobieta, o której mówił klient, leży na tym wozie, że gdyby tam podszedł i stanął na palcach, zobaczyłby jej sylwetkę, ubranie i wyraz twarzy, z którym się stała zupełna. Miał chęć zapytać o jej nazwisko, to zawsze ładniej wyglądało w zeszycie, ale mężczyzna nie wyglądał, jakby życzył sobie, by go w tej chwili niepokoić.

Szli tak powoli w upale, aż w końcu dziewczyna, nie odwracając się, chwyciła Krystiana za rękę mocnymi, cienkimi palcami.

– Proszę mu nie wierzyć. Moja matka umarła z tęsknoty.

Jeśli to prawda, byłby to pierwszy taki przypadek w jego dużym zielonym zeszycie o okładce lekko pofałdowanej z wilgoci. W środku kłębiły się tłumy zupełnych: młodych i starych, kobiet i mężczyzn, dzieci, Żydów, Polaków i Niemców. Byli ci, którzy się skończyli od kuli i od choroby, od upadku z drzewa i od utopienia, byli żołnierze, chłopci, nauczyciele, bohaterowie, tchórze, ofiary i samobójcy, był nawet jeden morderca, uduszony przez współwięźniów w małym kolskim więzieniu. Wielu dokończyła starość. Wydawało się, jakby ostatnimi czasy nabierała siła: wszechobecna i nieprzejednana, siała wśród ludzi prawdziwe spustoszenie.

Ale na tęsknotę nie miał jeszcze nikogo.

Wszedł z powrotem do zakładu, pomiędzy słupy słońca, w których pływał kurz, i popatrzył na sterty desek. Wszystkie ułożone były w taki sposób, by rdzeń, pęczniący i pękający najszybciej, znajdował się możliwie daleko od okna. Krystian podszedł do najstarszej sterty, tej najbliższej ściany, i sunął wzrokiem po jasnych krawędziach, a myśli uciekały mu wzdłuż drewnianych włókien, kapały na podłogę i podrywane wiatrem frunęły ulicą Toruńską, w stronę, gdzie zniknął wóz, a z tym wozem historia tęskniącej kobiety.

Wspiął się na taboret, chwycił dębową deskę, pierwszą z góry, i pociągnął, czując, jak drewno nagle wchodzi mu w ciało u nasady kciuka. Cofnął dłoń, podniósł palec na wysokość twarzy i patrzył z bliska, jak na skórze wykwita czerwona, lśniąca kopała. Jak wschód czegoś.

Zza ściany dobiegały głosy dziewczynek biegających w ogrodzie. Krystian przyłożył wargi do powiększającego się wzgórzka krwi, a potem podważył paznokciem drzazgę i wyjął ją z siebie. Całą? nie całą? – trudno było ocenić w tym świetle.

Tak, skądś znał tego człowieka. Miał go na końcu języka: za chwilę sobie przypomni, będzie wiedział, a może wtedy dowie się też, kim była kobieta przywieziona na wozie.

Wyprostowany, ze smakiem krwi w ustach i z trocinami błyszczącymi w mankietach spodni, chwycił deskę raz jeszcze i przeniósł ją na warsztat. Gładko-chropowata powierzchnia wzbudzała w nim czasem uczucie podobne do tego, które się pojawia wraz z zapachem obiadu, jakiś rodzaj gwałtownego wyczekiwania. Zamykał wtedy oczy i widział wszystkie przedmioty, które mógł zbudować z drewna: komody, szafy, krzesła, drzwi, dyszle, nadproża, wozy, łodzie, kołyski i szubienice.

Choć na dobrą sprawę robił głównie trumny. Mieszkańcy Koła potrzebowali ich coraz więcej, niekiedy można było odnieść wrażenie, że obsłużył już wszystkich i zaczął nową kolejkę, całkiem od początku.

- To nigdy nie przestanie być ludziom potrzebne - powiedział mu kiedyś ojciec. - Nie to, co dla przykładu szafa. Bez szafy można przeżyć życie.

Trumny. Już w samym słowie było coś niezwykłego, jakaś dźwięczność: kiedy wypowiedzieć je głośno, na podniebieniu rozlegał się brzdęk. Krystian myślał o nich jak o pojazdach, musiały być solidne i wygodne, musiały wiele wytrzymać, bo przecież na drodze na pewno sporo było dziur i nierówności.

Przyszło mu do głowy, że dla tej kobiety powinien się postarać szczególnie, że jej droga może być bardziej wyboista niż inne, a pewnie też i dłuższa. Śmierć z tęsknoty to przecież nie byle jaka...

Głos Reginy zza okna. Tupot stóp dziewczynek.

Krystian otrzepał dłonie i wyszedł na podwórko, gdzie stał przez chwilę, ślepy od słońca, wyobrażając sobie, jak daleko znajduje się teraz tamten wóz. W końcu ruszył w stronę domu, ale zamiast do kuchni, gdzie wszyscy już zasiadali do obiadu, udał się do pokoju z oknem wychodzącym na ogród, usiadł przy biurku i otworzył zielony zeszyt z pełnymi. Nawet tutaj, za zamkniętymi drzwiami, kręciły się zapachy: zupa kartoflana i coś smażonego. Wątróbka. Potarł nos, ostrożnie przewrócił strony i na tej z białą dolną połową dopisał:

„Nieznana – z tęsknoty”.

Odnalezienie Diabła nie mogło być chyba aż tak trudne.

Pola miała z nim styczność regularnie, pojawiał się w ustach dorosłych, na mównicy w kościele, między kieliszkami węgryzna i w przekleństwach ciskanych na ziemię razem z gęstą śliną. Sądziła, że musi być kimś popularnym i tajemniczym, trochę jak Szalona Leokadia, którą wielu wspominało, ale której dobrze nie znał prawie nikt.

Wszystko zaczęło się w słońcu i trawie, w zapachu mokrej ziemi, w pokrzywowym swędzeniu: tego dnia mama powiedziała tacie, rozszoszczona, że traci już nadzieję, a Pola usłyszała to przypadkiem przez otwarte okno, przycupnięta w zielonej grzywie ogrodu, gdzie chwilę wcześniej prawie udało jej się złapać w ręce rudego motyla przeplatkę.

Mama wyrzucała z siebie same obierki zdań: że mu nie może, że inaczej wyobrażała sobie, że wymarzonego syna i że nie wie dlaczego. Okno odpowiedziało wtedy głosem taty:

– Nie, nie wolno tak mówić.

Nadleciała kolejna przeplatka i Pola musiała wybrać pomiędzy nią a podsłuchiwaniami: pozwoliła odlecieć potencjalnej zdobyczy o rdzawych skrzydłach i dalej wpatrywała się w okno, które szeptało teraz głosami ich obojga.

– Poszłabym do samego Diabła. Gdyby to miało pomóc.

– Regina.

– Kiedy nie mogę spać, wtedy myślę... Przecież tyle razy mówiłeś... Wyobrażam sobie, jak go bierzesz wszędzie ze sobą, przyuczasz do stolarki.

– Mogę przyuczać dziewczynki.

– I ja wiem, że byś był cudownym...

– Regina.

– ...i że on by wyrósł na wspaniałego kogoś.

Tata podszedł wtedy bardzo blisko okna, a Pola wycofała się w bezpieczeństwo begonii, maków i niecierpków, po czym obeszała dom i usiadła na starym, wrośniętym w ziemię pniu po orzechu, który dawno temu jej dziadek ściał podobno w jakąś straszliwą noc.

Przez cały następny tydzień zastanawiała się, co mogłaby zrobić, żeby wyrosnąć na wspaniałego kogoś. Zapytała o to starego Siemaszkę, kiedy przechodził ze sztalugami niedaleko ich domu, podpierając się nimi jak jakąś niesforną trzecią nogą, i okazało się, że aby wyrosnąć na wspaniałego kogoś, trzeba być głośnym chłopem, umieć pić dużo wódki oraz nie widzieć innych.

Zwierzyła się Misi. Powtórzyła jej rozmowę, która wylała się na nią przez okno, i długo rozmyślały nad podsłuchanym problemem, ale żadne rozwiązanie nie wydawało się możliwe – poza jednym.

Osoba, do której należało się zwrócić, był jej kolega Janek, który, o ile wiedziała, z jakiegoś tajemniczego powodu kochał ją bez granic. Miał duże przednie zęby i szparę między nimi, interesował się ptakami, których nazwy znał po polsku i po łacinie. Kiedy przechodziła niedaleko, często je wymieniał, głosem drżącym i donośnym, ociekającym nadzieją na odrobinę jej uwagi.

Pola obawiała się rozmowy z nim, ale to właśnie Janek poprzedniej jesieni upierał się, że podczas wyprawy z ojcem na grzyby spotkał samego Diabła. Pogłoski o tym tajemniczym kimś krążyły wprawdzie już wcześniej, a grzybiarze podobno co najmniej kilka razy natknęli się na niego w lesie, jednak jak dotąd tylko Janek potrafił dokładnie wskazać miejsce, gdzie Diabeł miał swoje siedlisko. Twierdził, że mieszka w gęstych krzakach przy niewielkiej polanie, kawałek za miastem w stronę Kłodawy.

– Tuż za zagajnikiem brzoźek, ale iść nie radzę – powtarzał z miną kogoś bardziej doświadczonego, a więc i ważniejszego niż ci, do których się zwracał.

Temat Diabła dokładnie przez tydzień wiódł prym w rozmowach uczniów klasy drugiej szkoły powszechnej w Kole, w końcu jednak ustąpił wiadomości o wieczorze tanecznym z prawdziwym jazz-bandem kujawskim i plotce o pewnym Austriaku, który podobno zbudował maszynę do latania z motoru i skrzydeł.

W następną środę po rozmowie z Misią Pola pojechała z tatą na targowisko, wiedząc, że Janek z ojcem, jak co tydzień, też będą, a potem kluczyła wśród owoców i warzyw tak długo, aż znalazła się obok niego. Chłopak – choć udawał, że wcale nie – w każdej chwili był boleśnie świadomy jej położenia, więc teraz to ona musiała udawać, że nie widzi, jak się Janek zaczyna przewracać w głąb siebie, jak walczy z nadmiarem śliny w ustach i ucieka oczami, jak zwalnia i przyspiesza kroku, zwalnia i przyspiesza...

– Cześć.

Tego już nie wytrzymał – cała długa sylaba skierowana do niego, do niego, tylko do niego. Spuścił głowę, ale jakimś sposobem szedł dalej, kruchy, ciężki.

Nie rozumiejąc, co się dokładnie z nim dzieje, ale świadoma, że to ona jest tego przyczyną, Pola odsunęła się, prosząc powietrze nad jego głową o dokładne wyjaśnienie, gdzie mieszka Diabeł i jak wygląda, i czy bardzo jest niebezpieczny.

Kiedy po kilku krokach dotarło do Janka, że oto ma przed sobą pytanie, na które da się odpowiedzieć, nie używając żadnego ze straszliwych słów w rodzaju „ja” czy „ty”, wyprostował się lekko, zacerpnął powietrza, a potem wyrzucił z siebie na jednym wydechu:

– Jest wielki, większy bodaj niż doktor Stein, i ma wielkiego psa, a prawdziwie to chyba wilka, i wcale nic nie mówi, tylko się patrzy złymi oczami, i lepiej uciekać, bo cię zamieni w kamień albo w co gorszego.

Wyjaśnił dokładnie, gdzie go spotkał i jak tam dojść, a potem znowu zwiesił głowę i wyglądał, jakby czekał, aż go ktoś dobije w jego oczywistym nieszczęściu, więc Pola pożegnała go kilkoma gładkimi słowami bez kantów i dołączyła z powrotem do taty.

Misia była od Poli o dwa lata głupsza, ale z książek Karola Maya wynikało, że w niebezpiecznej wyprawie należy mieć choćby jednego towarzysza, więc następnego dnia Pola zapytała siostrę, siedząc na gałęzi jabłoni i majtając opaloną nogą:

– Pójdiesz ze mną do Diabła?

Misia miała zwyczaj otwierać szeroko buzię na znak zdziwienia, złości, radości i strachu – teraz też to zrobiła, ukazując zęby w kolorze zjedzonych przed chwilą porzeczek.

– Nie wiem!

Wpatrywała się w Polę, najwyraźniej przekonana, że odpowiedź musi paść z jakiegoś innego miejsca niż jej usta, więc przestępowała tylko z nogi na nogę – trochę podobnie jak tata – a jej kitka zamiatała wąski, piegowaty kark. Pola zeskoczyła z drzewa w szeroki cień i złapała Misię za rękę, porzeczkową chyba jeszcze bardziej niż zęby.

– Tylko trzeba naprzód zrobić jedną rzecz. Posłuchaj.

Dotykając wargami ucha siostry, różowego i niemal przezroczystego w ostrym słońcu, przedstawiła swój pomysł, który się jej podobał, bo był szalony i niebezpieczny, i przede wszystkim jej.

– Naprawdę, ty i ja?

Pola pokiwała głową.

Sypiał dobrze i twardo. Budził się zwykle o czwartej nad ranem, niezależnie od pory roku i kolorów za oknem. Odsuwał się powoli od Reginy, cieplej, zagrzebanej głęboko pod pierzyną, ubierał się i wychodził przed dom, gdzie siadał na drewnianym koźle, w cieniu, i palił pierwszego cuda.

Dopiero wtedy ożywał: podwórko nabierało konturów, a szum poranka powoli rozdzielał się na osobne dźwięki. Krystian lubił ten moment: palił, pozwalając, by myśli szły, dokąd chcą. Dziś uciekały ku kobiecie, którą dzień wcześniej przywieziono do niego na wozie. Której nigdy nie widział

i która umarła podobno z tak niezwykłej przyczyny. W tej historii coś go uwierało, może to dziwne zachowanie jej męża, a może samo tamto zdanie, wypowiedziane przez jego córkę po kryjomu: „Moja matka umarła z tęsknoty”. Miał wrażenie, że nie powinny istnieć takie zdania.

Upuścił niedopałek i starannie wgniótł go w ziemię butem. Po wypaleniu pierwszego papierosa obchodził zwykle zakład dookoła, zaglądał do ogrodu i wypluwał po drodze drobinki tytoniu, a te, których nie zdołał wypluć, zdejmował z języka palcami. Potem ruszał do pszczół.

Pasieczysko otoczone było głębokim na metr rowem i wałem z wybranej ziemi, na którym rosły krzewy kruszyny, wierzby białej oraz klonu tatarskiego – a między nimi gęste krzaki malin. Dalej był chwiejny płot z chrustu, za którym stały rzędy wiśni i jabłoni, w równych siedmiometrowych odstępach, i dopiero za nimi ule, słomiane, rozbierane, osłonięte przed opadami cienkim, również słomianym daszkiem. Krystian wszedł do świata tych małych stworzeń, które – choć znał je od tak dawna – większość sekretów wciąż zachowywały dla siebie.

Odziedziczył ule po wuju Lolku, łącznie dziesięć pni, co się okazało liczbą w sam raz, bo jeszcze dwa lub trzy więcej i nie dałby rady obrobić ich bez pomocy zawodowego bartnika. Wszystkie zwrócone były oczkami ku północy, żeby wiosną i jesienią chronić pszczoły przed wylatywaniem w zdradliwie słoneczne poranki, kiedy wcale nie było ciepło.

Krystian witał się z pszczołami i pytał, co ciekawego robiły. Przychodził również wtedy, kiedy nie miał akurat przy nich żadnej pracy. Kiedyś, na początku, w kontaktach z nimi używał rękawic i siatki ochronnej, w której wyglądał jak monstrum z innego świata. Pola bała się go wtedy, nie wierzyła, że tam, pod spodem, znajduje się jej ojciec. Teraz twarz potwora wisiała w sieni, szara i niegroźna, jak wszystkie przestarzałe strachy.

Trwało już główne miodobranie. Każdą z czynności Krystian wykonywał starannie i z uwagą, wiedząc, że ten szczególny czas nie wybacza pośpiechu. Zdejmował pokrywę pierwszego słomianego ula i zanurzał w nim ręce, oddając je na pastwę małych ciał. Wyjmował dwa ciężkie od miodu plastry, powtarzając przy tym w głowie starą modlitwę

wuja: „Najlepszym środkiem ochronnym przed użądleniem jest twoja niezachwiana odwaga”.

Następnie ściągał z haczyka sztywne orle pióro, które dostał kiedyś od Szalonej Leokadii, maczał je w wodzie i delikatnym ruchem zgarniał pszczoły z plastra. Spadały z suchym stukotem na specjalny pomost, a z niego z powrotem do ula.

Oczyszczone plastry umieszczał w pękatym urządzeniu, które po raz pierwszy pokazał mu wiele lat wcześniej wuj Lolek. Krystian usłyszał wtedy, że dwa były wielkie wynalazki człowieka: łóżko do spania oraz miodarka, którą wymyślił w 1865 roku niejaki major Hruszka z Legano.

Miodarka, którą odziedziczył razem z pasieczyskiem i dziesięcioma pierwszej jakości pniami, była czteroplastrowa, osadzona na rakach i wyposażona w pionowe koło średnicy czterdziestu trzech centymetrów, którym poruszało się za pomocą korbki. Krystian wsuwał teraz do środka kolejne plastry i kręcił, najpierw bardzo powoli, potem stopniowo przyspieszał, tak by kruchych konstrukcji nie uszkodzić, a miód pod wpływem siły napędowej odrywał się od plastrów i ściekał na ścianki blaszanej stągwi. Krystian szedł tak od ula do ula, wyjmował zawsze tylko dwa plastry i natychmiast wsuwał na ich miejsce dwa już oczyszczone, aby pszczoły zostawały w środku, nie niepokojone zbyt mocno.

Kręcąc korba, zobaczył, że prawa dłoń spuchła mu w nocy, a miejsce, gdzie wczoraj wbiła mu się drzazga, znacznie pociemniało. Dotknął go lekko, a ból powędrował mu od kciuka głęboko w przedramię, jakby coś go oparzyło od środka. Przyjrzał się maleńkiemu skaleczeniu raz jeszcze, ale nie widział pod skórą niczego, co nie byłoby jego ciałem, co pochodziłoby z zewnątrz.

To wszystko jest moje, moje, tylko moje.

Odrzucił głowę. Zmrużył oczy i rozglądał się wokół, sam do końca nie wiedząc, dlaczego to robi. Zaraz wrócił do pracy. Szum obracającego się koła miodarki był jednym z ładniejszych dźwięków, jakie znał – może dlatego, że zapowiadał taką gęstą słodycz. Miód spływał po ściankach na dno stągwi, a stamtąd specjalnym kranikiem do ustawionej obok beczki, zawieszony i ciężki – Krystian znowu pomyślał, że nic tak chyba nie

przypomina złota jak miód tuż po zebraniu, i właśnie wtedy, kiedy równomiernie kręcił korbą, wytrząsając zawartość plastrów czwartego z kolei ula, przypomniał sobie, kim był mężczyzna, który przywiózł tu wczoraj swoją żonę na wozie.

O Henryku Graczyku, redaktorze „Życia Kolskiego”, mówiło się, że jest „trudny”, ale że zna się na swoim fachu, i że „wybuchowy”, ale że o rodzinę dba. Zestarzał się widać przez tych ostatnich kilka lat, a może po prostu coś mu się zmieniło w twarzy; może mu na niej został ślad po czymś ważnym i dlatego go Krystian nie rozpoznał od razu.

A więc ta, która najprawdopodobniej leżała na wozie, cicha i niewidoczna, to musiała być Iwona Graczyk; przez chwilę popularna w całym Kole, bo jako pierwsza mieszkanka miasta ukończyła studia. Krystian czytał o niej w „Życiu Kolskim” i chyba kiedyś widział ją przed kinem Apollo, i choć nie potrafił teraz przypomnieć sobie dokładnie, jak wyglądała, to miał jej twarz gdzieś na końcu pamięci – przyglądał się jej tak, jak się można przyglądać kształtowi na drodze w upalny dzień, widząc go, ale jeszcze nie rozpoznając. Była chyba brunetką, chyba wysoką i całkiem możliwe, że postawną; niewykluczone, że włosy nosiła krótkie i oczy, zdaje się, miała dość duże – ale może wcale nie.

Dotarł tymczasem do ostatniego ula, poczekał, aż cały miód spłynie, zamknął beczkę, opłukał miodarkę wodą, a następnie przelał tę wodę z resztkami miodu do blaszanych korytek, aby pszczoły mogły wybrać ją w nocy.

Iwona. Iwona Graczyk.

Być może zdołałby jeszcze odnaleźć tamten artykuł, a wraz z nim zapomnianą już twarz. „Życie Kolskie” w każdą sobotę przynosił doręczyciel, żwawy, wesoły, zezowaty chłopak, który zawsze witał go tymi samymi słowami:

– Fakty i ciekawości dla pana.

Krystian wyczekiwał go od rana, ciekaw, co się działo w mieście i za miastem, i za granicami kraju, a także zupełnie najdalej, w tych miejscach, które choć się o nich czytało regularnie, nadal zdawały się niemożliwe. Zamykał się z gazetą w pokoju od strony ogrodu, skąd zwykle

nie słyszał głosów dziewczynek, Reginy i przechodniów, i siadał w fotelu z kawą – jak powtarzał: czarną jak grzech, słodką jak grzech – a potem zapalał papierosa i przystępował do lektury.

Czytał od pierwszego do ostatniego słowa, skupiony tak, że nic, co się wokół działo, nie działo się naprawdę, z kawą stygnącą w filiżance i dymem z papierosa pełznącym w górę po twarzy, przez co silnie mrużył lewe oko. Przeczytaną gazetę zginał na pół i odkładał na równą stertę rosnącą pod biurkiem z prędkością około dwóch centymetrów miesięcznie.

Trzymał tam gazety tak długo, aż docierały na wysokość biurka, tak że nie mógł już wcisnąć kolejnego numeru pomiędzy wierzch stosu a gładki dębowy spód blatu. Wtedy wyciągał wszystkie te mądre fakty, informacje ze świata, pogłoski z okolic, fragmenty powieści, żarty i porady gospodarskie i palił nimi w piecu.

Ale wiadomość o ukończeniu studiów przez mieszkankę Koła była – jeśli dobrze pamiętał – dość świeża, liczyła może dwa albo trzy miesiące, powinna być więc jeszcze gdzieś w tej stercie papieru, wraz z towarzyszącym jej zdjęciem.

Wyszedł z pasieczyska i zamiast do zakładu, poszedł z powrotem do domu. Regina nuciła coś, otwierając okno i szeleszcząc wygładzaną pościelą. Zatrzymał się i słuchał jej przez chwilę.

W pokoju unosił się ciężki, wilgotny zapach starych przedmiotów i dymu z papierosów, który przez lata zdążył wnikać w podłogę i ściany. Krystian usiadł przy biurku, wykonanym jeszcze przez jego ojca, z masywnymi pałakowatymi nogami i blatem grubym jak jego nadgarstek. Wyciągnął spod spodu stertę gazet, niższą, niż się spodziewał, i wtedy coś stuknęło za nim, tak jak oczekiwał.

Odrzucił się powoli, z gotowym zdaniem w ustach – „Wiesz, niesłychane, ale przypomniałem sobie, kim jest ta kobieta z wczoraj, to żona Graczyka, i ponieważ skończyłem z pszczołami wcześniej, to pomyślałem, że rzucę okiem na artykuł o niej” – ale to nie była Regina, tylko kociak, ten rudy, którego Pola przyniosła jakiś czas temu od

Leokadii, twierdząc, że jeśli nie pozwolą jej go zatrzymać, będzie najniezwyklejszą dziewczynką w całym Kole.

Ku zdumieniu rodziców nazwała go William i teraz ten właśnie William przebiegł od drzwi do okna po bardzo skomplikowanym torze, aby płynnym ruchem wskoczył na parapet. Wydawał się nie interesować Krystianem Dzierzbą ani jego gazetami.

Gałęzie bzu za szybą poruszyły się, Regina znowu nucila, pewnie nie zdając sobie z tego sprawy. Upał zaczynał wypychać się przez uchylone okno.

Krystian odłożył kilka najnowszych egzemplarzy – to na pewno nie było tak niedawno – i zaczął przeglądać kolejne. Strona po stronie, artykuł po artykule, ogłoszenie po ogłoszeniu i ciekawostka po ciekawostce. Przebiegał wzrokiem każdy tytuł w przekonaniu, że następny to będzie już ten o niej, cofał się w czasie – z czerwca do maja, z maja do kwietnia i jeszcze głębiej w przeszłość.

Moje, na zawsze moje.

Odwrócił się gwałtownie. William leżał na parapecie, za oknem ten sam widok. Krystian wrócił do gazet, przeglądał kolejne numery i zaczął wątpić, czy rzeczywiście kiedykolwiek widział artykuł o kobiecie kończącej studia, o Iwonie Graczyk, żonie redaktora, aż w końcu, w numerze trzydziestym trzecim, na stronie czwartej – znalazł.

Kościół był wielki i przypominał kurę. Dobrze utuczony, wyciągał głowę do chmur, kiedy ludzie wchodzili do niego ciemnym otworem w dole. Pola i Misia szły w milczeniu pomiędzy mamą i tatą, poruszając głowami w rytm powitań wymienianych przez rodziców z innymi dorosłymi: fotografem Stupayem i jego bardzo wysoką żoną, państwem Jaźwińskimi, doktorem Steinem i jego synem Mikołajem, który wyglądał jak wykąpany w czymś gorzkim. Ledwie przytomna z podekscytowania Misia przypadkowo trąciła łokciem tego ostatniego, na szczęście Mikołaj Stein był zamyślony, jak zwykle, i nawet tego nie poczuł.

Pola miała na sobie jasnoniebieską sukienkę, która kiedy się ją wciągało przez głowę, łaskotała skórę, a pod sukienką butelkę z etykietą Browaru Parowego z Konina, przywiązaną sznurkiem do pasa, być może jednak trochę za mocno, bo coraz bardziej wrzynał się jej w ciało.

Pola wiedziała, że w kościele mieszkał bóg, ale zamiast niego wiernych przyjmował proboszcz ze swoim olbrzymim brzuchem, do którego umiało podobno zmieścić bardzo wiele, na przykład dwa całe kurczaki i pięć win. Dziewczynka podejrzewała, że podczas jakiejś uczty być może przez przypadek po prostu boga zjadł.

Proboszcz oprócz brzucha miał miłość do bliźniego, tackę na monety i specjalną moc, która sprawiała, że jeśli na przykład ukradło się gruszkę na targu, a potem powiedziało mu to szeptem po ciemku w małej szczelinie po prawej stronie kościoła, to jednak się nie ukradło. Była to ogromnie przydatna umiejętność i Poli przyszło teraz do głowy, że być może w przyszłości – skoro nie może być wspaniałym kimś – powinna zostać właśnie proboszczem.

Weszła do środka, gdzie jak zwykle było chłodno, a przez wysokie okna wpadały jaskrawe kolory w kształcie różnych cierpień. Butelka wydawała się nagle zimniejsza i kłuła w udo, a sznurek jednak naprawdę był zawiązany za ciasno, ale najwyraźniej trzeba było to wytrzymać – Polę napędzała nadzieja, że jeśli będzie cierpieć ładnie i długo, to może kiedyś ktoś zrobi kolorowe okno, na którym znajdzie się ona, jej sznurek i butelka po piwie.

Zgodnie z niedzielnym zwyczajem w ławce czekali już babcia i dziadek, którzy wychodzili do kościoła godzinę przed wyjściem do kościoła. Przygarbieni, z pochylonymi głowami, milczeli jeszcze bardziej niż zwykle. Pola zajęła miejsce obok dziadka, który – również zgodnie z niedzielnym zwyczajem – powoli wyciągnął rękę i uszczypnął ją w udo.

Misia usiadła pomiędzy Polą a mamą, która była dziś wyjątkowo młoda. W kościele pachniało czymś, co zbyt długo pozostawało mokre. Ławka, na której należało trzymać splecione dłonie, była prawie czarna i zaokrąglona na krawędzi od takiego właśnie trzymania. Kiedy wszyscy już siedzieli na swoich miejscach, z zakrystii wyszedł brzuch proboszcza,

a za nim sam proboszcz, ubrany dostojnie i biało. Wszyscy ucichli, a on patrzył, opowiadał, świecił, chrząkał, potrząsał, zadawał pytania i odpowiadał sobie z taką miną, jakby sam się tych odpowiedzi nie spodziewał.

Pola zerkała na Misię. Na jej wąskie usta, nos z kawałkiem jasnej, odchodzącej skóry i włosy błyszczące tak, jakby natarła je smalcem. Tamtego dnia, kiedy zaproponowała jej pójście do Diabła, a wcześniej kradzież wody święconej, dzięki której będą bezpieczne, Misia postawiła jeden warunek: pomoże siostrze, jeśli do ich grupy będzie mogła dołączyć również Księżniczka Juhu.

Księżniczka Juhu towarzyszyła Misi, od kiedy ta nauczyła się mówić. Każdego dnia przed snem dziewczynka tak długo, tak uparcie i tak głośno domagała się jej obecności, że w końcu tata lub mama – najczęściej mama – przychodzili do niej, siadali na podłodze obok łóżka i odpowiadali na pytanie, które zawsze brzmiało tak samo:

– Co robiła dziś Księżniczka Juhu?

Trzeba było jej wtedy opowiadać wszystko, co przeżyła tego dnia, zamieniając imię Misia na Juhu: posiłki, zabawy, odwiedziny, skaleczenia, drzemki, napotkani ludzie, wywrotki mniej lub bardziej bolesne, wygłupy przy stawach Leokadii, spacerzy nad rzekę. Dzięki temu Misia porządkowała sobie w głowie cały miniony dzień i pakowała do którejś z bezpiecznych szufladek wewnątrz siebie. Dopiero po tej opowieści, korygowanej przez nią, kiedy mówiący błędnie podał czas spędzony w ogrodzie lub pomylił to, co jadła na śniadanie, uspokajała się, jakby dopiero wtedy czuła, że dzień jest ukończony i można wypuścić go z rąk.

Kilka tygodni wcześniej wybiegła na ulicę prosto pod koła samochodu, który jednak nie jechał zbyt szybko i zdołał wykonać skręt tak, że musnął tylko jej dłoń. Zapłakana, prosiła przed snem – wtedy przy łóżku siedzieli oboje rodzice – by jej wytłumaczyć, dlaczego Juhu wbiegła pod samochód. Włamywała się w ten sposób do własnej głowy, sprawdzając, czego się może po sobie spodziewać.

- Pewnie, że może dołączyć – odparła Pola dwa dni temu i złożyły sobie nawzajem przysięgę, a teraz siedziały w kościelnej ławce, jedna z butelką Browaru Parowego między nogami, druga w towarzystwie niewidzialnej Księżniczki Juhu.

Msza wreszcie się skończyła i można już było nie klęczeć na twardym, nie śpiewać trudnych wyrazów ani nie być smutnym. Wszyscy ruszyli do drzwi. Każdy każdego chciał przytulić, przycisnąć i przydusić do siebie, i trzeba było mieć dużą wprawę w chodzeniu na msze, by w takiej rzece pełnej niebezpiecznych prądów i zapachów umieć iść tam, gdzie się chciało, a nie gdzie chcieli inni. Pola włożyła całą siłę, by mimo popchnięć, mruknięć i ciosów zadawanych zadziwiająco licznymi częściami ciała brnąć w prawo, gdzie ze ściany zwisała szeroka kropielnica, a w tym samym czasie Misia – niewidzialna w morzu kołnierzy, fryzur, koralii, czerwonych uszu i ust – miała się kierować jak najbliżej lewej strony drzwi.

Targana na prawo i lewo, Pola widziała już kamienny półokrągły brzeg naczynia, w którym niektórzy zanurzali palce, a potem żegnali się, chlapiąc na sąsiadów, czym jeszcze bardziej spowalniali wyciek wiernych na słońce. Próbowwała jednocześnie wydostać butelkę spod sukienki, co w tych warunkach okazało się trudniejsze, niż sądziła, ale w końcu, z lewej mając kiełbasiany oddech jakiejś pani, a na plecach czyjś zamożny brzuch, poczuła, że węzeł puszcza, i jakoś zaraz potem rozległ się wyczekiwany wrzask.

Misia.

Wspaniała, odważna i głośna.

Co prawda zgodnie z ustaleniami miał to być krótki wrzask bólu, jak po nadeptnięciu przez kogoś ciężkiego, a wyszło coś jednak bardziej radosnego, no ale wrzask to wrzask. Kiedy wszystkie głowy odwróciły się w lewo, Pola wyszarpnęła spod siebie butelkę, uniosła ją w górę tak, jak zawodnicy Olimpijki Koło unosili puchar po wygranym turnieju, i zanurzyła ją całą w chłodnym, mokrym wnętrzu kropielnicy.

Zaraz tłum pociągnął ją dalej, do przodu, w stronę ciepła, światła, rodziców i obiadu. Na zewnątrz Misia – kiedy mama już się upewniła, że

rzekomo zdeptana stopa cała jest i zdrowa – podbiegła do niej i patrzyła bez słowa. Dziadkowie i rodzice szli tuż przed nimi. Pola dokończyła wiązanie supła pod sukienką i chwyciła dłoń siostry. Serce szalało w niej, woda święcona ściekała po udach.

Znalazł ją w dziale „Kronika”, pomiędzy felietonem *Domorośla polityka* a informacją o rozbudowie elektrowni miejskiej, na samej górze strony, zamkniętą w dwóch krótkich akapitach:

„P. Iwona Graczyk, córka znanego felczera tutejszego, p. Tymoteusza Płonki oraz żona redaktora naszego pisma, ukończyła Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego z tytułem Magistra Praw.

Z tej okazji Redakcja składa na tem miejscu snop życzeń pierwszej Kolanca, która uzyskała uniwersytecki stopień naukowy”.

Na zdjęciu wyglądała mniej więcej tak, jak ją sobie wyobrażał, ale ilekroć chciał określić ją jakimś słowem, uchylała się przed nim, a ten czy inny drobiazg na zdjęciu dowodził, że to słowo jest jednak niekoniecznie trafne. Nie była więc ani postawna, ani promienna, ani dorodna, ani blada, powabna w normalnym rozumieniu powabu też nie, i niekoniecznie w sposób zwyczajny zadumana, przenikliwa, intrygująca albo nawet piękna. Najbardziej pasowało mu do niej słowo „interesująca”, ale nie dosięgało jej, nie wystarczało – Krystian uważał, że interesujący to może być słój w desce albo rozdział książki.

Sobota i większość niedzieli. Nie potrafił sobie przypomnieć, co właściwie robił w tym czasie. Trzydziesty trzeci numer „Życia Kolskiego” był już miękki, rogi zawijały się na zewnątrz jak warstwy starej, przekrojonej cebuli, a strona ze zdjęciem Iwony Graczyk nosiła oskarżające ślady tytoniu, żywicy i kawy.

Szukał chwil w ciągu dnia, by wymknąć się do pokoju od strony ogrodu, i szukał wymówek, by się przed sobą nie przyznawać, że wchodzi tam tylko w jednym celu. Sięgając po gazetę, układał w myślach odpowiedzi, których użyje na wypadek wejścia tutaj Reginy, ale Regina nie wchodziła – rzadko pojawiał się nawet William.

Wyglądził przed sobą płachtę papieru i znowu poczuł, jak w prawej dłoni wierci mu się coś o ostrych krawędziach. Od dwóch dni skóra na kciuku i wokół kciuka przybierała kolory, których nazw nie znał – gdzieś między purpurą a czernią. Przez cały czas powtarzał sobie, że to już przechodzi, że jeszcze trochę, a rana zacznie blednąć i ból zelżeje, ale jak dotąd nie nastąpiło ani jedno, ani drugie.

Tymczasem Iwona patrzyła na niego z rozłożonej gazety. Za każdym razem, kiedy otwierał numer na czwartej stronie, oczekiwał – był niemal pewien – że kobieta czymś go zaskoczy, jakby spodziewał się, że ona tam żyje, że zajmuje się jakimiś swoimi sprawami, a on może ją na nich przyłapie. Czuł się tak, jakby usilnie próbował sobie przypomnieć twarz kogoś widzianego zaledwie przed chwilą, twarz, którą właśnie zaczął zapominać.

I teraz też tam była, czekała pośród słów. Przesuwał palcem po literach tworzących wyraz „kronika”. Kiedyś w jakimś miejscu na ziemi rosnęło drzewo, z którego zrobiono ten papier. Rosło, żyło, piło wodę z ziemi i pochłaniało słońce, a teraz służyło do tego, by widniała na nim twarz Iwony Graczyk.

Samego zdjęcia nie dotknął ani razu. Bał się, że je zabrudzi, ale też krępowała go sama myśl o tym – co innego oglądanie gazety, a co innego dotykanie jej. Tylko więc patrzył. Zdarzało się, że odsuwał od siebie gazetę gwałtownym ruchem, zamykał ją i odkładał na wierzch sterty, niemal śmiejąc się z siebie.

Teraz zapalił papierosa i patrzył to za okno, to na nią. Jabłoń rosnąca jakieś dziesięć metrów od niego wyrzucała gałęzie do góry jak tancerka o palcach wykrzywionych starością. Na niebie pomiędzy grubym konarem a krawędzią framugi krążył bocian, albo może żuraw. Klucie w dłoni szybko sprowadziło Krystiana z nieba na gałęzie jabłoni, a z nich do pokoju, za biurko.

Odłożył gazetę i wolnym krokiem przeszedł do zakładu. Dziś miał oddać trumnę rodzinie Iwony Graczyk. Była prawie gotowa. Zrobił ją z desek dębowych, najlepszych w całym zakładzie, od lat trzymany na specjalną okazję.

Był to dąb ścięty w zimie, w czasie, kiedy nie krążyły w nim soki, dzięki czemu drewno mniej było narażone na pęknięcie i nie zsychało tak jak to ścinane o innych porach roku. Kupując materiał, Krystian unikał desek, na których włókna układały się ukośnie, bo świadczyło to o drzewie skręconym – z takiego można było robić rzeczy mniej ważne, nie pojazd na długą podróż. Wyszukiwał poza tym takie pnie, w których drewno ciemniało bliżej środka, co było oznaką siły.

Po raz kolejny pomyślał, że może powinien być na jednej z bocznych desek umieścić jakiś wypukły znak, może różę albo coś mniej oczywistego – skrzydło? Słońce? Inicjał?

Była na to metoda – wygniatało się na powierzchni deski jakiś wzór, następnie heblowało całą deskę tak, żeby zrównać ją z tym wgnieceniem, i tak płaską powierzchnię zanurzało się następnie w wodzie, po czym zostawiało do wyschnięcia. Pęczniejące drewno wypychało swój wytłoczony nadmiar i na desce ukazywała się wypukła róża, skrzydło, inicjał.

Teraz Krystian zastanawiał się, czy to dobrze, że tego nie zrobił. Podniósł wieko, wsunął rękę do środka i sunął palcami po dnie, sprawdzając jego gładkość. Jeszcze dzisiaj ta przestrzeń zostanie wypełniona: będzie tu leżeć twarz z jego wysłużonej gazety, a także cała reszta Iwony Graczyk.

Zbadał każdą powierzchnię, krawędź i łączenie, zamknął wieko, odszedł dwa kroki w tył i patrzył na efekt swojej pracy, a ból rósł mu pod kciukiem i wędrował w stronę łokcia, pulsując szybko razem z krwią.

Krystian wiedział, że ludzie przypominają drzewa w większym stopniu, niż się im zazwyczaj wydaje. Zależą od wody i słońca. Na początku bardzo delikatni: przy narodzinach właściwie nie wiadomo, który się przyjmie, a który jednak nie. Obrastają później wokół siebie samych kolejnymi latami, dziecko tkwi w środku chłopaka, dziewczyna w środku kobiety, pojawiają się kolejne warstwy mięśni, tłuszczu i znaków na skórze. Pewnego dnia nauka umożliwi prawdopodobnie analizę tych słoików i każdego człowieka, który się już skończył, będzie można przeczytać jak numer „Życia Kolskiego”.

Krystian ciekaw był warstw Iwony, chciał wiedzieć o niej więcej niż tych kilka słów z gazety, które już znał na pamięć. Gdzieś tam, na którymś ze słoików w jej ciele znajdowało się to, za czym tęskniła tak bardzo, że w końcu straciła życie.

On sam życie zawdzięczał baranom.

Był rok 1914. Jego przyjaciel Gwizdała, który miał tę cechę, że beznadziejnie był sercowy, zakochał się któregoś razu w dziewczynie upatrzonej już przez pewnego Niemca, a że na zakochaniu nie poprzestał, tylko w pewnym brzozowym zagajniku podjął gwałtowne i odważne kroki, by miłość zrealizować – co nie uszło uwagi sąsiada – uznany został oficjalnie za przeszkodę we wprowadzaniu do kraju niemczyzny.

Miał zostać rozstrzelany i początkowo nawet zrobiło to na nim pozytywne wrażenie, ale ostatecznie wystraszył się i umknąwszy z domu tuż przed przybyciem oprawców, zjawił się u Krystiana. Ten ukrył go w trumnie i próbował wywieźć do lasu, ale, zgodnie z późniejszymi relacjami świadków, siedząc na koźle, minę miał dokładnie taką jak ktoś, kto wywozi kochliwego, skazanego na śmierć przyjaciela w trumnie do lasu.

Złapali go na Włocławskiej.

Razem z Gwizdałą i trzema innymi został wyprowadzony za miasto, postawiony pod płotem, szturchnięty tu i ówdzie, raz potraktowany śliną oraz słowem „Schweine”. Jeden z żołnierzy w geście litości, a może na rozkaz, zawiązał mu oczy kolorową chustką.

Stał tak więc pod płotem, w ciemnościach, czekając na niemiecki odpowiednik komendy „Pal!” i to, co miał przynieść. Później dowiedział się, jak wyglądało to z boku: żołnierze podnieśli karabiny, skierowali lufy ku skazanym. Kierujący egzekucją lejtnant, mając już wypowiedzieć to jedno wszechmocne słowo, zobaczył na szosie, od strony Konina, tuman kurzu. Podoficer podbiegł do niego i powiedział coś w poruszeniu. Gwizdała twierdził, że słyszał słowo po niemiecku oznaczające Kozaków.

W jednej chwili Niemcy byli już na koniach, zostawili skazanych pomiędzy życiem a śmiercią, stojących pod płotem w wydłużającym się oczekiwaniu na to niemieckie „Pal!”.

Krystian zamiast strzału usłyszał więc tętent, a potem ciężką ciszę. Wreszcie okrzyk jednego ze skazanych. Ostrożnie zdjął opaskę i zobaczył, że na miejscu Niemców stoi jakaś kobieta, zwrócona plecami do słońca, niewyraźna.

– A co to się tak panowie wygrzewają na słończku?

Leokadia – wtedy jeszcze nie szalona – wzięła się pod boki i patrzyła na nich z ciekawością. Zgodnie z nakazem Niemców prowadziła do Golinę stado zarekwirowanych baranów. Zwierzęta dreptały posłusznie, wznecając chmurę kurzu zupełnie jak oddział żołnierzy, przynosząc w ten sposób ratunek skazanym.

Mężczyzna, którego Krystian miał po prawej, upadł na kolana. Gwizdała, wspierając się o sztachety, mówił coś szeptem do boga. Krystian stał bez ruchu, wciąż po tej stronie śmierci, wciąż taki jak dawniej, i patrzył na barany. Miały znudzone miny i wydawały się nieszczególnie zainteresowane ludźmi, których ocaliły.

Ból w dłoni sprowadził go spod tamtego płotu do zakładu, w którym stał teraz, wdychając zapach drewna. Krystian poruszył kciukiem i syknął. Przyproceedził taczkę, przełożył na nią trumnę i wyszedł z zakładu. Dąb błyszczał w słońcu. Wróble szalały w krzakach.

Krystian usiadł na koźle i zapalił. Siedział tak pół godziny, godzinę. Wracając z kurnika, Regina zapytała, czy mu nie jest gorąco. Uśmiechnął się do niej. Wreszcie po dwóch godzinach zobaczył wóz wjeżdżający wolno na podwórko. Mężczyzna był sam. Ukłonił się i zsiadł, ciągnąc za sobą swój potężny cień.

Podali sobie ręce.

– To ta? – zapytał Henryk Graczyk.

Krystian skinął głową. Wspólnie załadowali trumnę na wóz. Mężczyzna wręczył mu pieniądze, ukłonił się, chwycił lejce. Krystian patrzył na drewno, któremu poświęcił tyle uwagi, na ten idealny kształt leżący krzywo na wozie obok zwiniętej liny i szmaty, chyba starych spodni.

– To jedna z lepszych, jakie kiedykolwiek zrobiłem – powiedział nagle, zanim się zdążył powstrzymać.

Teraz to Graczyk tylko kiwnął głową, a na twarz wyszło mu to samo zniecierpliwienie, które przywiózł tu ze sobą poprzednio. Uderzył lejcami.

– Do widzenia.

Krystian odprowadził go wzrokiem do bramy, odwrócił się i wszedł do domu, gdzie w połowie drogi pomiędzy drzwiami a kuchnią zatrzymał się, oparł plecami o ścianę, zamknął oczy i wyszeptał dwukrotnie własne imię, a potem gwałtownie oderwał się od ściany, wyszedł z domu i ruszył za wozem.

II

Wystarczy skoczyć.

Głową w dół, z ciemnością pod powiekami, wstrzymać oddech, poczekać na uderzenie pierwsze, w wodę, i zaraz drugie, w dno, a potem już spokój, zimno w płucach i wyciek myśli do Warty przez otwarte usta, przez pękniętą czaszkę, na zawsze. Myśli już nie jego, Mikołaja Steina, niemające nad nim żadnej władzy.

Stał na moście na Kaliskim Przedmieściu, po drugiej stronie balustrady, trzymając się jej i patrząc to w wodę, to na kontury miasta, a czas parł naprzód, pozwalając głowie Mikołaja na wyliczanie wszystkiego, co miało się zakończyć wraz ze skokiem:

Olimpja Koło

uczucie po zdobyciu bramki

Władek, Bobo i Jędrzej

cała reszta gimnazjum

zapach smażonego masła

zapach cebuli usmażonej na maśle

skarb pod łóżkiem

ciepło węgrzyna na języku w niedzielne wieczory

przyszłość.

Było to wciąż tak boleśnie niewiele w porównaniu ze wspomnieniem, które go przywiodło tutaj, na most i za balustradę, ze wspomnieniem, którego nie sposób się pozbyć, i ze świadomością, że się jest, że zawsze się będzie tchórzem.

Rozejrzał się, ale nic nie wylaniało się z ciemności ani po jednej, ani po drugiej stronie. Spojrzał znowu w dół. No dobrze, to może na trzy.

Raz.

Dwa...

Od dawna rósł w słabość. Czuł ją rano, nękanym donośnym głosem ojca pouczającego pacjentów, czuł podczas posiłków, czuł na lekcjach greki, filozofii i łaciny, czuł podczas ćwiczeń na Olimpji i podczas meczów; właściwie jedyną chwilą, kiedy słabość nie miała nad nim władzy, było tych kilka pierwszych oddechów po przebudzeniu, gdy jedną nogą był jeszcze w sennej historii, nieświadomy, do jakiego świata wraca i do jakich myśli.

I może ta słabość, może ta niewidoczna choroba, o której on, syn lekarza, nigdy nikomu nie wspominał, sprawiła, że w jedynej chwili w jego życiu, która była prawdziwie ważna, nie zrobił tego, co należało zrobić.

Kłucie w żołądku na samą myśl. Palce mocniej na balustradzie. Koszula otwierała mu się i zamykała na piersi, wiatr wiał od strony ruin zamku.

- Trzy.

I nadal nic.

Im dłużej stał, tym wyraźniej czuł, jak zapał, który go tu przywiódł, rozplywa się w nim i zanika, próbował więc jakoś go schwycić, przyciągnąć z powrotem, ale im bardziej się starał, tym bardziej nie było już czego chwytać.

Coś zacisnęło mu się na przedramieniu. Zobaczył mocne palce, dłoni z wyraźnymi żyłami i owłosioną rękę, która kończyła się osobą posterunkowego Jakuba Droszcza.

- Wyglupów takich bardzo nie lubię, gagatku.

- Ja...

- No ty, ty. Znamy się. Przełaż tutaj, już.

I pociągnął Mikołaja na swoją stronę balustrady, na stronę kolejnych minut i godzin dalszego życia, gdzie czekały dawne wspomnienia i myśli. Mikołaj przewrócił się i wstał zaraz, a jedyne, o czym mógł myśleć, to że posterunkowy powie jego ojcu, więc starał się udawać, że to tylko tak, dla

żartu, w udawaniu był chyba jednak tak samo kiepski jak w skakaniu z mostów.

Droszcz szedł przed nim, nie odwracając się, pewny, że mu Mikołaj Stein nigdzie nie ucieknie – istnieli tacy ludzie. Za swoim imieniem i nazwiskiem nie stawiali kolejnych znaków zapytania, tylko kropkę, a czasem nawet wykrzyknik. Droszcz wiedział, że wzbudza szacunek, i wiedział, dlaczego go wzbudza. Mikołaj podążał za nim w milczeniu, próbując nie patrzeć za balustradę, na metaliczną powierzchnię rzeki, która była świadkiem kolejnej jego próby.

Kiedy dotarli do rynku i w oddali widać już było dom Steinów, Mikołaj zaszedł Droszczowi drogę, uklęknął przed nim i poprosił, by mu nie sporządzać protokołu, to znaczy nie za to, co zrobił, co chciał zrobić.

– Niech mi pan da za cokolwiek innego... – mówił, wędrując zaciskającymi się palcami w górę po garderobie Droszcza. – Choćby za opilstwo.

Posterunkowy strącił z siebie jego dłonie, poderwał go z ziemi i powiedział spokojnie:

– Za opilstwo nie daję.

Sam lubił wypić i o działaniu alkoholu zdanie miał raczej przychylnie. Pił zwykle tak, by nie być pijanym, ale i trzeźwym też nie – przez lata prób rozwinął szczególną, niedostępną większości ludzi umiejętność pozostawania lekko podпиты od rana do wieczora i ani na moment nie tracił tego kruchego stanu. Teraz przypatrywał się zatrzymanemu, jakby jeszcze nie zdecydował, jaki dziś będzie: dobry, zły czy nijaki. Wreszcie odetchnął.

– A idź mi w cholerę.

Patrzył jeszcze przez chwilę w oczy zatrzymanemu, a potem ruszył w stronę komendy powiatowej, ale po kilku krokach zawrócił i podszedł do Mikołaja, tak blisko, że obaj czuli nawzajem swój zapach: Droszcz pachniał tym, co wypił, Mikołaj – racuchami.

– Niech się dobrze wyrażę – odezwał się posterunkowy. – To był ostatni raz, te wygłupy. Nigdy więcej. Zrozumiano?

Mikołaj przytaknął, raz ciszej, i raz jeszcze, głośniejsze, na wszelki wypadek, a potem patrzył, jak Droszcz odchodzi w ciemność. W końcu oparł się o ścianę kamienicy i oddychał głośno, z miastem przed sobą i z rzeką uderzającą gdzieś tam za jego plecami o filary mostu z szumiącym: tchórz-tchórz-tchórz, tchórz-tchórz-tchórz.

W domu poczuł się lekki jak po zdobyciu bramki, kiedy nagle nie pamięta się o niczym oprócz swojego celnego strzału. Nie dostał mandatu i wszystko było jeszcze możliwe. Obietnica złożona Jakubowi Droszczowi nic nie znaczyła, czas obietnic skończył się dawno temu.

Zamknął okno, położył się w wywietrzonej pościeli i słuchał swojego coraz wolniejszego oddechu.

Panowie, ja tylko.

Poderwał się, rozejrzał po pokoju. Wydawało mu się, że słyszy coś za oknem. Wyjrzał – nic. Wrócił do łóżka, opadł na poduszkę.

Wóz był daleko przed nim. Miasto jak z ostatnich obrazów Siemaszki: niewyraźne kształty, kolory wymieszane. Krystian szedł przez te kształty i kolory, mijając księgarnię, fabrykę octu i pracownię okryć damskich Tenenbauma. Przy składzie materiałów aptecznych i farb już biegł, wysoko zadzierając głowę.

Starał się poruszać tak, by nie było widać, że biegnie, możliwie skracając odstęp między jednym a drugim uderzeniem podeszwą o ziemię. Prawa dłoń bolała w rytm kroków. Świat wokół dygotał w upale: jakaś kobieta z dzieckiem o szeroko otwartej buzi, szykującym się do płaczu, dwa psy leżące na trawie w taki sposób, że koniuszki ich ogonów prawie się stykały, i nowo otwarty sklep kolonialny Sztarkowej z bogatą wystawą, z niedokończonym szyldem opartym o ścianę.

Wóz wjechał tymczasem w Aleję Trzeciego Maja, drżąc na nierównościach, chyba zwalniał, może się nawet zatrzymał. Krystian też zwolnił, kłaniając się Stupayowi, zgarbionemu nad czymś w swoim

zakładzie artystyczno-fotograficznym, i jego wysokiej żonie, siedzącej jak zazwyczaj posagowo przed wejściem, z papierosem w lufce, w kapeluszu i niedobrym humorze. Minał bank i skrzyżowanie – tam przystanął.

Nad Trzeciego Maja pył unosił się jak coś żywego, jak dłoń, która czegoś szuka. Henryk Graczyk zatrzymał wóz niedaleko za postojem dorożek, przed domem z błyszczącym dachem, z dwiema sosnami w narożnikach ogrodu, z wjazdem głęboko pooranym przez koła. Krystian obserwował go, jak otwiera bramę i wjeżdża do środka. Przez ogród prowadziła alejka obsadzona wiśniami i jabłonią o starych, częściowo uschniętych już gałęziach. Gdzieś tam, w domu, obłożona kwiatami, a być może skropiona octem, leżała Iwona Graczyk ze zdjęcia w jego gazecie.

To tutaj mieszkała przez cały ten czas, tutaj była żoną, wychowywała córkę i małego syna, tutaj studiowała podręczniki prawnicze i robiła całe mnóstwo innych rzeczy, a on o tym nie wiedział, choć tyle razy przecież tędy przechodził, tyle razy pewnie spoglądał na ten dom, raz nawet w zimie zatrzymali się tu, gdzieś tutaj właśnie, podczas kuligu, żeby szczelniej opatulić Polę, która krzyczała, że odpadł jej nos.

Brama była już zamknięta, wóz zniknął za budynkiem. Krystian odszedł kawałek, oparł się ramieniem o ścianę banku spółdzielczego, zapalił cuda, zamknął oczy. Słońce grzało mu szyję i prześwitywało czerwono przez powieki.

Pomyślał, że jak tylko wróci, wyjmie gazety spod biurka, choć nie sięgnęły jeszcze blatu, i wrzuci je do pieca, a potem zacznie robić nową okiennicę w miejsce tej, która pękła zimą, załata otwór w płocie, posprząta wokół pasieki, może nawet zaproponuje Reginie, by poszli na to garden party, o którym tyle się w Kole mówiło. Wszystko będzie w porządku.

Spojrzał raz jeszcze na dwie sosny w ogrodzie Graczyków, wysuwające ciemne wierzchołki w stronę słońca. Odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę domu.

Jeśli oczyścić czas z tego, co na nim zalega, widać wyraźnie jego kształt, wszystkie te zgrubienia, przetarcia, rysy i otwory. Iwo był czujnym obserwatorem. Dawno pozbył się złudzeń, że robienie cokolwiek może cokolwiek zmienić. To nie była właściwa droga. Owszem, czasami nachodziła go myśl: pójdę i zrobię. Odwiedzę Krystka w zakładzie. Wybiorę się na targ. Usiądę w kuchni i zapytam Reginę, jak się miewa. Wyobrażał sobie kolejne czynności. Każdy krok i słowo. Wyobrażał sobie zapach warzyw na targu, dotyk wiatru na swojej łysej głowie, gesty Reginy. A potem wyobrażał sobie, że tu wraca. Na ten fotel, przed okno. Co wtedy poczuje, co pomyśli, w jakim będzie nastroju. Wyobrażał sobie, że już zrobił to, na co przysłała mu ochota, i okazywało się, że już wcale nie musi tego robić.

Kiedyś był miłośnikiem robienia, tak jak wszyscy. Wstawał rano i robił, robił, robił. Bez robienia czuł się niepewnie, coś go niepokoiło, jakby nagle uświadamiał sobie, że skrada się w jego stronę jakiś drapieźnik, uformowany z jego myśli. Ze strachu uciekał wtedy w działanie, w pracę, i może nie było mu lepiej, ale przynajmniej nie myślał o drapieźniku, tak jak przestaje się myśleć o lekko bolącym łokciu, kiedy się uderzy mocno w głowę.

A później była cała ta sprawa z Lolkiem. Jego decyzja, by się stąd wymknąć, chyba pod wpływem chwili. Różnie potem mówiono. Iwo w większość pogłosek nie wierzył. Wiedział jedno: jeżeli potrzeba było tak niewiele, żeby zniszczyć coś tak ważnego jak Lolek, to nie dało się polegać na niczym. Powoli zaczął czyścić czas z kolejnych rzeczy. Zakład. Klienci. Dostawy. Drewno. Aniela przyglądała się, jak ogołaca ich rzeczywistość. Krewni. Przyjaciele. Sąsiedzi. Pytała, czy to konieczne, czy nie dałoby się jakoś inaczej. Kury, obowiązki w obejściu, święta u rodziny, nawet cmentarz. Wreszcie nie zostało już prawie nic, tylko posiłki, sen, patrzenie przez okno, niedzielna msza. Wtedy Aniela przeciągnęła przez pokój drugi fotel, ustawiła go równo obok pierwszego, usiadła i powiedziała:

– Dobrze. Jak chcesz.

Próbowała go przeczekać. Spodziewała się, że jej mąż ostatecznie się znudzi. Nie wiedziała, że przejrzał czas na wylot, że dokładnie wie, czego się może po nim spodziewać, że z czasem jest trochę jak z niedźwiedziem: im bardziej się człowiek porusza w jego obecności, tym większe mu grozi niebezpieczeństwo. Najlepiej być cicho, nie wykonywać gwałtownych działań.

Jednocześnie coraz lepiej rozumiał Lolka, jego odwieczny bunt przeciw wszystkiemu, co na zewnątrz niego. Miał wrażenie, że odkąd na dobre usiadł w tym brązowym fotelu, był bliżej swojego brata niż kiedykolwiek wcześniej. Czasami wyjmował z szuflady kredensu jego zdjęcie i kładł obok siebie, tylko żeby leżało.

Rezygnując z kolejnych zajęć, czuł się coraz lżej. Nie miał wokół siebie już prawie nic, co mogłoby go ograniczać. Jadł, wydalął i spał. Całymi dniami siedział w fotelu przed oknem. Aniela towarzyszyła mu cierpliwie, aż w końcu wygasała w niej potrzeba walki o jakieś inne życie. Niedługo później jej pamięć zaczęła się od niej oddzielać, stała się niezależnym żywiołem, który wedle upodobania miotał nią od strachu po nadzieję, od ulgi po rozpacz. W końcu Aniela chyba całkiem zapomniała, dlaczego właściwie tu siedzą, zapomniała, że była jakaś inna codzienność.

Iwo starał się nie spuszczać czasu z oczu. Wiedział, że wystarczy chwila nieuwagi, by życie wciągnęło człowieka z powrotem w swoje sprawy. Obserwował upływ czasu z cierpliwością ukrytego w zaroślach badacza. Z ufnością kładł się wieczorem do łóżka, budził się rano spokojny. Ponieważ nie miał ze światem żadnej relacji, świat nie mógł mu już nic zrobić.

Regina Dzierzba czuła się w sobie dobrze. Nie pamiętała, by kiedykolwiek zależało jej na byciu jakąś inną. Wyższą, chudsza, z włosami gęstszymi lub ciemniejszymi. Mieć więcej tu, tam mniej, a tam bardziej gładko. Zgadzała się ze swoim ciałem, ze swoją głową, ze swoimi wadami. Na przykład lubiła swoje piersi nie dlatego, że miały taki akurat kształt, barwę czy wielkość, ale dlatego, że były właśnie jej. Podobnie z innymi

częściami ciała oraz cechami charakteru – skoro była uparta, to dlatego, że taka była, i tłumić w sobie tę część oznaczałoby, że przestałaby być tak zupełnie sobą.

Dużo gestykulowała, robiła to w taki sposób, jakby rozrzuciła przed sobą garście suchych liści. Lubiła czereśnie, miała słabość do psów. Przerażały ją kobiety, które od urodzenia po śmierć były dokładnie takie same – ona wolała, by życie czasem ją jednak zaskoczyło. W młodości sądziła, że nigdy nie będzie mieć męża ani dzieci, wydawało jej się, że jedyną miłością, której warto doświadczyć, jest miłość wielka, tragiczna i koniecznie nieszczęśliwa.

Dlatego zanurzając ręce w kolejnych miskach, grządkach, garnkach, szafkach i baliach, dziwiła się niekiedy, że to wszystko się wydarzyło. Krystian, Pola, Misia. Na dodatek od jakiegoś czasu pragnęła mieć syna, małego mężczyznę, któremu mogłaby opowiedzieć, jak świat kobiet wygląda naprawdę, a nie jak ludzie udają, że wygląda. Ta powracająca chęć też ją zaskakiwała.

Sądziła, że i Krystianowi obecność chłopca w domu zrobiłaby dobrze. Mąż nie stanowił dla niej większej tajemnicy poza jedną rzeczą. Wiedziała, że gdzieś w nim znajduje się miejsce ukryte przed jej wzrokiem – być może przed jego wzrokiem również – które raz na jakiś czas porywa go, zabierając mu siłę, słowa i chęci.

Po raz pierwszy to miejsce w nim dało o sobie znać zimą po narodzinach Misi. W listopadzie Krystian zaczął tracić apetyt, na początku grudnia skarżył się na kłopoty ze snem, przed świętami prawie już nie rozmawiał. Znajdywała go w łóżku, nieruchomego, wpatzonego w sufit. Kiedy już się jej wydawało, że naprawdę może go stracić, nagle przeszło mu samo – po prostu któregoś dnia wstał i był taki jak dawniej, ale ona pozostała czujna, wypatrywała oznak nawrotu tamtego stanu.

Podejrzewała, że kiedyś może przyjść taki moment, że cisza porwie Krystiana i już go nie odda, dlatego starała się stworzyć jak najwięcej kotwic, którymi jej mąż przyczepiony będzie do jej świata. Wyobrażała sobie, że gdyby dać mu jeszcze jedną, jeszcze tylko jedną, ale mocną, mogłaby być o niego spokojna.

Ale jak na razie chłopiec nie pojawiał się w jej ciele. To ją złościło, udawała wtedy, że cała ta sprawa z synem to pomysł stworzony właśnie ze względu na Krystiana, tylko na niego. Bywało, że się o to kłócili.

Kiedyś wspomniała o tym Leošce, a ta zapytała, czy dziewczynki to dla niej za mało, na co Regina, zaskakując tym siebie, odparła:

– Królowe rodzą synów.

To było puste, szalone i niesprawiedliwe zdanie, z jednej strony nie pasowało do niej i brzmiało absurdalnie, a z drugiej lubiła je, bo przecież była jedyną władczynią w tym domu, to ona decydowała, ona robiła, ona rządziła, nikt inny. Król dawno temu uciekł do świata drewna i pszczół.

Głos ojca. Bum-bum-bum zza ściany, jakby walić o garnek drewnianą łyżką. Mikołaj otworzył oczy i zrozumiał, że oto rozpoczyna się kolejny dzień, a on wciąż żyje.

Przypomniawszy sobie wczorajszy most, wczorajsze myśli i wczorajszą dłoń posterunkowego na swoim ramieniu. Cichą wędrówkę przez miasto, z rzeką szumiącą obok. Błaganie na kolanach i powrót do domu. Znowu zmarnował okazję.

Za ścianą bum-bum-bum, a potem śmiech pacjentki. Mikołaj wcisnął głowę pod poduszkę, próbując się odgrodzić od głosu lekarza powiatowego Waldemara Steina, największego autorytetu medycznego w mieście i jednego z większych w tym mieście dziwaków.

Mikołaj zacisnął powieki, tak jak robił od pewnego czasu, wyobrażając sobie, że dzięki temu zniknie. Słabość już zakradała się do niego, zaglądała pod pierzynę, wciskała się pod brzuch, uwierała. Odwrócił się na plecy, potem znowu na brzuch, potem na plecy i na brzuch raz jeszcze.

Ale jak miał nie ulegać słabości, skoro otaczali go ludzie pokroju jego ojca. Ludzie głęboko przekonani, że świat siedzi przycupnięty na krawędzi krzesła i wyczekuje tylko ich cennego zdania. Z zaangażowaniem wypowiadali się o nowym smaku nadzienia w pączkach, o zmianie miejsca postoju dorożek w Kole, o kradzieży biżuterii w domu wdowy Rybackiej czy o powołaniu nowego rządu – temat był nieważny, ważna

była wyłącznie ich opinia na ten temat. Tacy ludzie komentowali kolejne wydarzenia w niewzruszonym przekonaniu, że czynią w ten sposób społeczeństwu wielką dobroć.

Kiedy spotykało się kilka takich osób, powstawała nagle prosta fizyka dyskusji – rację miał ten, kto mówił głośniej. Obecność takich ludzi nigdy nie wzbudzała w Mikołaju złości, nigdy nie miał ochoty obnażyć pustki ich słów – w kontaktach z nimi doświadczał wyłącznie smutku, żałując, że bóg w ramach nieskończonego żartu stworzył świat, gdzie to właśnie oni bywali najszczęśliwsi.

Z głową pod poduszką wyobrażał sobie, co jego ojciec – jeden z nich, jeden z takich właśnie ludzi – powiedziałby, gdyby wiedział, co przydarzyło się Mikołajowi na pastwisku. Zaciskając oczy, powtarzał szeptem w wąską, ciemną przestrzeń:

– Nie chcę, nie chcę, nie chcę.

Nigdy wcześniej nie czuł takiego związku myśli z ciałem, szarpania, tych biegunek i mdłości na samo wspomnienie tego, co działo się już tylko w jego pamięci.

Najchętniej pobiegłby na most od razu i rzucił się w dół, ale wiedział, że wtedy to by była sensacja i cyrk, a on nie chciał cyrku – w domu miał go zbyt wiele. Tak więc zaraz trzeba będzie wstać, wykonywać poszczególne ruchy i przeciskać się przez kolejne minuty kolejnego dnia, ale teraz przez chwilę, przez chwileczkę, można sobie jeszcze poleżeć i poniebyć.

Panowie, ja tylko. Panowie, ja tylko tak...

Tym razem usłyszał to głośno i wyraźnie, ale słowa wydawały się docierać nie z zewnątrz, ale właśnie stąd, spod poduszki, jakby ktoś wypowiadał je przy jego uchu. Wierzgnął i się obrócił, macając wokół siebie, ale oczywiście nie było tu nikogo oprócz niego. A może zwariowałem, pomyślał i natychmiast zaczął rozważać, czy przypadkiem szaleństwo nie pomogłoby mu jakoś, nie pozwoliło przetrwać tego, co się ostatnio z nim działo.

Tymczasem pod poduszką zaczynało się robić duszno i gorąco, a pierzyna przywierała do wilgotnych pleców. Mikołaj próbował sobie

przypomnieć, jak to właściwie było w czasach, kiedy jeszcze potrafił się cieszyć. W czasach sprzed wydarzenia na łące. Budził się i co? Pędził z otwartymi ramionami w stronę nowego dnia, wyczekiwał lekcji, powrotów ze szkoły, z zapalem trenował do zawodów i z zapalem brał w nich udział? A o przyszłości myślał – co? Nie pamiętał.

Obecnie jeśli w ogóle coś zdołało sprawić mu przyjemność, to tylko na chwilę, wciśnięte w jedną z krótkich przerw pomiędzy kolejnymi wspomnieniami z łąki. Próbował wydłużać te przerwy, rozpychać je, podważać od środka, i teraz też, leżąc wciąż na brzuchu, wsunął lewą rękę pod łóżko i błądził palcami, aż trafił na znajomy przedmiot wielkości dwóch cegieł. Podniósł go, otworzył i przesunął kciukiem po trzech dużych słowach, wydrukowanych czarnym atramentem na pierwszej, poplamionej już stronie:

Uniwersalna

książka

kucharska.

Dalej był portret autorki, Marii Ochorowicz-Monatowej, a potem już skarby: szczupak po badeńsku, zupa rumfordzka, chaudeau migdałowe, auszpik z kapłonów, zrazy à la Nelson, polędwica na dziko, omlet z cynaderkami, bomba orleańska, galareta z lina, ragoût z drobiu, sos kaparowy, szparagi po włosku, mózgi wołowe w muszelkach, mostek barani z farszem, risotto z pulard, bażant z truflami, pierogi angielskie, budyń z jarmużu, karmel, krem kasztanowy, cwibak, piernik i magdalenki. Znał zasady organizacji przyjęć, historię kucharstwa, potrawy sezonowe i rozmaite diety: tuczającą, wegetariańską, dla osób z chorobą cukrową.

Gotowanie podobało mu się, od kiedy pamiętał. Nie było to podobanie takie jak na widok obrazu, ale takie jak z dziewczyną – o gotowaniu nie mógł przestać myśleć, śnił o nim, wyobrażał je sobie. Gdzieś daleko w przeszłości, na początku samego siebie znajdował rozmyty obraz kuchni: musiał mieć wtedy jakieś dwa lata i leżeć na podłodze, bo mama wyrastała przed nim jak drzewo – wysoka, owinięta fartuchem, ze skórą błyszczącą od potu i włosami rozchodzącymi się wokół głowy jak kłosa

wokół naprędce wzniesionego stogu. Co wtedy gotowała, nie miał pojęcia, ale że gotowała, wiedział na pewno – stała przy piecu i miała kilkanaście rąk, które unosiły się w kłębach pary i trzaskały pokrywami garnków. Później zastanawiał się, czy gdyby nie tamto wspomnienie, kochałby gotowanie równie mocno – czy taki jeden widok z dzieciństwa, z perspektywy podłogi, potrafi człowiekiem zamieszać aż tak.

Gotowanie to były czary: brałeś mąkę i wychodził chleb, z krwi robiłeś czerninę, a kurę zmieniałeś w rosół. Najbardziej ciekawił Mikołaja nie smak, ale właśnie proces, to tajemne przeistaczanie jednego w drugie. Kiedyś nurtowało go, czy te zmiany można prowadzić w drugą stronę: czy z chleba da się zrobić mąkę albo z rosółu kurę, ale szybko się okazało, że gotowanie, jak życie, biegnie tylko w jednym kierunku.

Ojciec zaraz przyjdzie.

Jeszcze chwila takiego lenistwa i zapuka – raz, raz-raz – a potem wejdzie, nie czekając na odpowiedź, aby udając zdziwienie na widok syna w pościeli, zapytać z tą straszną niby-troską pełną kpiny:

– Chory jesteś?

Dlatego trzeba wstać.

Trzeba wstać.

Trzeba.

I leżał tak dalej, z głową pod poduszką, ze spoconymi plecami, i czekał, aż coś wstanie za niego. Myślał o gotowaniu i o szkole, i o zbliżającym się turnieju, a w każdej z tych myśli była łąka i na tej łące scena, którą widział i której nie przerwał, przez co teraz był właśnie takim obrzydliwym, tchórzliwym, wstrętnym kimś.

Minuty, jedna za drugą – można by je prosić na kolanach, ale szły dalej, twardsze w swoim uporze niż najtwardszy posterunkowy. Jedna, druga, kolejna.

Kiedy Mikołaj był już pewien, że ojciec wejdzie za chwilę, naprawdę za chwilę, schował książkę z powrotem pod łóżko i wstał powoli, już tęskniąc za pościelą, w której przecież było mu tak niedobrze. Chwycił ubranie, zrzuczone w nocy byle jak, i włożył je na siebie z poczuciem, że ubiera się

z powrotem we wszystkie swoje myśli, od których nie zdołał uciec na moście.

Noc. Czarna od brzegu do brzegu. Pola pomyślała, że gdyby ją chwycić i wyżyć do słoika, miałyby się najciemniejszy kolor świata, ciemniejszy niż atrament, którym jej mama adresowała listy do Ważnych Kobiet. Dalej można by było w słoiku zanurzyć pióro i napisać tym najciemniejszym kolorem coś, co zostałyby napisane już na zawsze.

Pola Dzierzba, Misia Dzierzba i Księżniczka Juhu wyszły w tę noc, w poniedziałek o godzinie dwunastej osiemnaście. Opuszczenie domu wiązało się z wieloma niebezpieczeństwami, z których największym był tata, a drugim największym mama. Na szczęście tata poszedł wieczorem do pszczół i siedział tam nadal, mając widocznie coś ważnego do roboty, i Pola liczyła, że tej roboty jeszcze na trochę wystarczy. Obudziła Misię i przez chwilę przytrzymała ją po tej stronie snu, nie dając z powrotem upaść na poduszkę. Kiedy Misia była już cała sobą, ubrały się cicho i włożyły buty, a Pola wyjęła zza łóżka butelkę wody święconej.

Trzecim po tacie i mamie niebezpieczeństwem było skrzypiące okno, ale jeśli się wiedziało, jak pociągnąć klamkę – Pola wiedziała – można je było otworzyć z piskiem znacznie mniej głośnym niż zwykle, a jeśli się do tego zakasłało – a Misia kasłała pięknie – to szanse na to, że mama nie usłyszy, były dosyć duże.

Pola ścisnęła klamkę i poruszyła nią powoli. Zbliżając się do miejsca, w którym zwykle zaczynało piszczeć, dała znak Misi, która zakasłała dokładnie tyle razy i dokładnie tak głośno, by zagłuszyć zgrzyt, ale by mama nie przyszła zobaczyć, jak się czuje.

Łądując w trawie, Pola pomyślała, że może z pszczołami stało się coś złego, skoro tata siedzi u nich tak długo, i postanowiła dowiedzieć się tego jutro. Misia była tak blisko, że czuła na policzku jej oddech.

Wyjście z ogrodu nie stanowiło kłopotu, w ogrodzeniu od strony pasieki znajdowała się dziura, o której wiedziało niewiele, dalej była ulica Toruńska. Szersza i dłuższa niż za dnia, z drzewami po czarne niebo. Pola

i Misia szły podwórkami, rowem, wśród krzaków na skraju Bliznej. Szybko wydostały się z miasta, nie napotkawszy przy tym nikogo, tylko raz z daleka mignął im policjant Droszcz, który rozglądał się uważnie na moście. Dalej domów było coraz mniej, za to coraz więcej pustych miejsc bez domów, bez ludzi i bez w ogóle niczego.

Z każdej strony szelesty, poskrzypywania, szurnięcia i trzeszczenia, coś pohukiwało w drzewach, coś innego przebiegło niedaleko Poli, zwinne i nie wiadomo jak duże.

Pola była pewna, że babcia Aniela umarłaby tu ze strachu. Nie lubiła wielkich podwórek, pól, łąk. Łąk w szczególności. Tata i mama z tego żartowali, kiedy im się wydawało, że Pola i Misia nie słyszą. Samej Poli zwykle ten babciny strach wydawał się trochę głupi, ale teraz akurat nie.

Mijały zagrody, drzewa, raz drogą przejechał ktoś na rowerze – wtedy schowały się w krzakach. Tuż za Kołem Misia potknęła się o jakieś leżące w trawie zwierzę, które zamruczało, podniosło się, powiedziało „kurwa” i stanęło na dwóch nogach, a potem ruszyło w ciemność. Pobiegły w przeciwną stronę, ściskając się za splecione dłonie.

Potem szły.

Szły, szły i szły. Niedaleko zagajnika brzoźek rosnących przy drodze i czarniejszych niż niebo rozległ się głos Misi:

– Opowiedz mi o Księżniczce Juhu.

– Ale co...?

– No nie wiem. Coś, powiedz, powiedz.

Prosiła szybko i głośno, jakby już nie pamiętała, gdzie są, albo jakby nie chciała tego pamiętać.

– Za górami, za lasami była sobie Księżniczka Juhu i miała siostrę starszą o dwa lata, i umyśli...

– Czyli właśnie tak jak my.

– Tak. I umyśliły sobie, że pójdą odwiedzić Diabła i poproszą go, żeby tata był szczęśliwy i żeby prócz nich miał syna, który by był głośnym chłopem, pił dużo wódki i nie widział innych. I naprzód ukradły

odrobinę wody święconej w kościele. I przechowały ją w butelce za łóżkiem. I poszły, do tego Diabła, i z tą butelką wcale się nie bały, wcale.

Wiatr przemykał z jednego pola na drugie. Daleko przed nimi jakaś chmura przylepiła się do wąskiego księżycy, pohukiwanie rozlegało się raz z lewej, raz z prawej.

– I szły dosyć długo, ale wnet go znalazły i pomówiły z nim i on był ogromnie miły i wróciły potem do domu i wszystko było bardzo dobrze.

Szły dalej. Uderzenia czterech stóp o ziemię zdawały się coraz szybsze, brzmiały trochę jak tętent. Robiło się chłodno. Chmury wreszcie odkleiły się od swoich miejsc i ruszyły po niebie.

– Boisz się, Pola?

– Tylko troszkę.

– A Księżniczka Juhu się boi?

– Nie, na pewno nie.

– Myślisz, że jeszcze daleko?

– Ciii.

Powtarzała w głowie słowa Janka, które teraz wydawały jej się zupełnie niezrozumiałe, bo co to znaczy „tuż zaraz” czy „kawałek za”? Okazało się, że takie wskazówki całkiem są mylące i nieprzydatne, kiedy je zabrać ze sobą w noc. Pola szukała miejsca, gdzie powinny wejść w las, ale żadne nie wyglądało na to właściwe, chociaż jeśli dobrze zrozumiała, musiało to już być gdzieś tutaj. Ściskając Misię za rękę, ruszyła w gęstwinę, udając pewną siebie.

Między gałęziami zwiślał obierek po księżycu, cienki i zaostzony. Mama powiedziała kiedyś, że gdyby takim księżycem zaorać pole, urosłyby na nim srebrne sztucce, i kilka razy Poli śniło się, że ma takie sztucce i że jada nimi olbrzymie, kolorowe słodycze. Tymczasem Misia obracała głowę, próbując patrzeć we wszystkie strony naraz. Pola zatrzymała się, obejrzała za siebie.

– Zawróćmy trochę.

Poszły więc z powrotem, a potem jeszcze raz w tę stronę co wcześniej: każdy kawałek lasu wyglądał dokładnie tak samo jak inne.

– Może go tu nie ma? Może już sobie poszedł?

– Cii.

Pola pospiesznie przeciskała się przez zarośla, ciągnąc Misię za sobą, a potem gwałtownie kierowała się w jakąś inną stronę, nagle przekonana, że to właśnie tam powinny szukać Diabła. W końcu po prostu parła przed siebie, tam, gdzie przejście sprawiało jej najmniej kłopotu. Misia kilka razy przystawała, zapierając się o coś, i żądała, żeby jej powiedzieć, ile jeszcze. Zaproponowała, by zawołać Diabła – może by do nich przyszedł, skoro nie mogą go znaleźć. Po półgodzinie rozplakała się, potem po wielu prośbach i dwóch historiach o Juhu przestała, a potem zaczęła znowu, wreszcie Pola obiecała, że już, że wracają do domu, ale ponieważ nie wiedziała, w którą stronę był dom, szła po prostu gdzieś, gdzie wydawało się, że powinien być. I wtedy niedaleko przed nimi, pomiędzy drzewami zaświeciło się coś, co chyba było ogniskiem.

Krystian siedział u pszczoł. Na ziemi, obok miodarki, oparty o jedną z pustych beczek. W zapachu słomy i miodu. Świat wokół pasieki stygł powoli po lipcowym dniu, a pszczoły w dziesięciu równo rozstawionych ulach wykonywały swoje zadania albo spały, skuteczne i może w tej skuteczności na swój sposób szczęśliwe.

Nie miał tu nic do roboty, lecz nawet już na myślenie niewiele miał siły. Palił dziś dużo, drapało go w gardle. Spuchnięta ręka żądała ciągłej uwagi, syczenia pod nosem, cichych przekleństw. Zaraz, zaraz do domu, jeszcze tylko chwilę.

To wszystko jest moje, moje, tylko moje.

Potrząsnął głową i chwycił się za włosy. Zaciskał powieki, wydając z siebie długi, cichy jęk. Nie, zaraz wstanie. Wróci do domu, zajrzy do dziewczynek, przytuli Reginę i zaśnie, a jutro zacznie nowy dzień, popracuje nad okiennicą, pojedzie do tartaku i nie będzie myślał o niepotrzebnych rzeczach.

Ale siedział dalej.

Wyciągnięte przed nim nogi jak nogi kogoś obcego. Ule ciemne, wygładzone do samych konturów, zapachy z ogrodu ni to przyjemne, ni to przykre, nijakie.

Ruszył się dopiero, kiedy zaczęło kłuć go w karku: wstał, dotknął najbliższego ula, szepnął „do widzenia”, ale tak, jak się mówi bezmyślnie klepaną modlitwę w kościele, nie śledząc nawet, co znaczą poszczególne słowa.

Myślał o Reginie, o tym, jaka była dwanaście lat temu i jaka jest teraz. Z wiekiem coraz więcej w niej było odwagi i coraz więcej pytań. Szerzej się uśmiechała i częściej odkrywała ramiona. Częściej traciła cierpliwość, może tylko do niego, a może w ogóle. Chciała urodzić mu syna i chciała, by on też tego chciał, wtedy mogłaby się poświęcić myśleniu o tym, miałyby cel, a tak pozostawała na jakiejś płyciźnie i nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdoła ruszyć gdzieś dalej.

Coraz więcej też rzeczy wzbudzało w niej nieufność. Kwestionowała zwyczaje, rytuały, powtarzała, że nie lubi słowa „wypada”. Zdaniem Krystiana myślała zbyt wiele, zbyt dużo czasu poświęcała na zastanawianie się nad różnymi sprawami, co zawsze rodzi niebezpieczeństwo, że się będzie wiedzieć więcej, niż potrzeba.

On sam wiedział, że niedobrze jest być zbyt mądrym. Mądrość przydaje się czasami w bardzo wąskim zakresie – trzeba wiedzieć, że po odarciu z kory sosnowe drzewo rzadziej sinieje, a topola po wyschnięciu waży dwa razy mniej niż przed wyschnięciem – ale w domowym życiu, na co dzień, mądrość tylko człowieka rozmiękcza, zabiera mu ochronę przed światem, jaką daje bezmyślność.

Również ciało jego żony zmieniało się z upływem lat, a on towarzyszył tym zmianom, przyglądał się im i próbował przewidzieć kolejne. Miał wrażenie, że z czasem Regina stawała się jeszcze bardziej Reginą. Linie, które tworzyły jej twarz, były coraz wyraźniejsze, a kształt różnych fragmentów jej ciała bardziej dostrzegalny. Tu i ówdzie wydawała się miększa niż kiedyś, tu i ówdzie twardsza, niektóre miejsca ciemniały, inne stawały się obfitsze.

Widował ciało Reginy codziennie i niekiedy przestawało być jej ciałem, a było po prostu częścią tego, co miał wokół siebie: łóżko, komoda, plecy, obraz na ścianie, warkocz, lampa, paznokcie. Zmieniało się nagle: leżał obok niej i to, co było ręką, piersią, brzuchem, stawało się nagim ciałem i wołało do niego. Dotykał wtedy tego ciała, ogołocony z myśli, ściśnięty do jednej gwałtownej potrzeby, by znaleźć się jak najbliżej Reginy.

Pulchne ramiona, miękki brzuch, drobne, jasne piersi. Z Reginą czuł się bezpieczny, na swoim miejscu, a kiedy odsuwał się od niej, uspokojony i śpiący, miał wrażenie, że utracił coś bezpowrotnie.

Wszedł do sypialni. Regina siedziała na łóżku, wcierając masć w kolana. Lubił to, jak jej czarne włosy odcinały się od bieli koszuli nocnej, zwłaszcza w takim świetle.

– Długo ci zeszło.

Machnął ręką, jak ktoś zapracowany tak bardzo, że już nie ma siły mówić o tej pracy. Usiadł obok na łóżku. Regina dotknęła jego spuchniętej dłoni, a on spróbował jej nie cofnąć.

– Niedobrze to wygląda, Krystek.

Przez okno wpadało jeszcze ciepło, resztki ciepła, jak wokół wciąż dymiącego paleniska.

– Pójdę do Steina.

Krystian najbardziej lubił tę porę roku i tę porę doby. Leżąc nocą w łóżku i czekając na sen, zawsze lekko spocony, czuł się jak bohater powieści o dalekich krajach. Wyobrażał sobie siebie w jakiejś dżungli w Afryce, w szałasie o cienkich ścianach, po dniu pełnym przygód i niebezpieczeństw.

Teraz, siedząc bez ruchu, zamknął oczy i wdychał to ciepłe powietrze. Od dziecka wyobrażał sobie rok jako tarczę, po której czas przesuwiał się w kierunku odwrotnym niż na zegarku. Każdy miesiąc na tym zegarze miał swój kolor i Krystian nie wiedział, dlaczego na przykład styczeń był jasnoszary, a marzec niebieski. Nic nie tłumaczyło czerwieni maja ani zieleni października, ale widział te kolory wyraźnie i wydawało mu się oczywiste, że grudzień ma barwę stali, a wrzesień świeżo zmielonej kawy.

Nie wspominał o tym nikomu, bo sądził, że to może nie jest normalne, że świadczy o lenistwie umysłu, który nie ma nic ważniejszego do roboty.

Teraz czas znajdował się na samym dole tarczy, w żółtym obszarze lipca, prawie dokładnie w połowie roku, i gdzieś tam, gdzieś w tym miejscu, niewidoczny z daleka, siedział właśnie on, Krystian Dzierzba, na łóżku, z żoną, w ważnym chyba momencie swojego życia, o którym nie wiedział tylko, dlaczego jest ważny.

Regina przesuwała mu palcem po nogawce, zamyślona. Od skóry na jej karku też biło ciepło, pozostałe po dniu spędzonym na słońcu. Krystian otworzył oczy. Świat dalej był na swoim miejscu, niezmieniony.

- Może jeszcze pójdę do dziewczynek.

Regina pokiwała głową, mrużąc powieki jak ktoś, kto przecież wie.

- Dziewczynki przecież śpią. Chodź do mnie.

Diabeł siedział przy ognisku i jadł. Na głowie miał chustę. Nogi bose, ciemne, wystawione do ognia, jakby chciał je wysuszyć. Jadł coś, co nabił wcześniej na patyk i upiekł. Było twarde, żuł więc długo, nie poruszając oczami.

Miał przedramiona grubości nóg taty Poli, a na nich splątane żyły. Lewą rękę ciasno owijał ciemny materiał, dodatkowo przewiązany sznurem. Duże oczy i czoło jak papier, który mocno pognieciono, a potem rozprostowano. Przez zarost wydawało się, że dolna część jego twarzy nie istnieje, że Diabeł kończy się na wysokości nosa i zaczyna z powrotem dopiero w okolicy ramion.

Na skraju okrągłej kałuży światła leżał pies, wielki. Łeb o długim pysku opierał na łapach skierowanych w stronę żaru. Futro miękkie, teraz pomarańczowo-czarne. Ogon gdzieś w ciemności.

Kiedy płomienie unosiły się wyżej nad ziemię, głowa Diabła stawała się większa, wyrastały z niej uszy, a czoło rosnęło pod chustą.

Słychać było tylko trzeszczenie gałęzi i syk świeżych liści. Diabeł jadł. Powoli, patrząc w jakieś miejsce w powietrzu, tuż za pulsującym

ogniskiem. Wreszcie oblizał patyk i wrzucił go w płomienie. Otarł twarz całą dłonią, a potem powiedział:

– Wyjdźcie.

Krystian obudził się w nocy ze snu, w którym Iwona Graczyk siedziała obok niego na łóżku i smarowała sobie maścią kolana. Przesuwała mu dłonią po nodze i mrużyła oczy, a kiedy głosem jego żony powiedziała „chodź do mnie”, obudził się i leżał bez ruchu, przekonany, że Regina wie o wszystkim: o tym śnie, o artykule w gazecie, o jego myślach i o wczorajszym pościgu za wozem.

Ostrożnie odsunął się od niej. Pościel szeleściła głośniejsz niż w inne noce. Klaskanie stóp o drewno. Przy drzwiach obrócił się i popatrzył na nieruchome ciało pod pierzyną.

Poszedł do pokoju z oknem wychodzącym na ogród, wyjął spod biurka stos gazet i zaniósł je do sieni, za płócienną zasłonkę, gdzie mieścił się piec. Podpalił zapalką róg numeru leżącego na samej górze i przez chwilę trzymał go przed sobą, aż ten dobrze się zajął. Następnie wrzucił gazetę do pieca i położył na niej kolejną, a kiedy ogień uderzył mu w palce, dołożył jeszcze kilka.

„Życie Kolskie” z Iwoną Graczyk leżało teraz na wierzchu pozostałego pliku. Jej zdjęcie oddzielało od jego dłoni kilka warstw papieru. Nie otwierał tego numeru, pewien, że jeśli to zrobi, natychmiast się wycofa. Cisnął więc wszystkie gazety w płomienie i zaspany patrzył, jak zmieniają kształt, czernieją, rozpadają się na lekkie, kruche kawałki. Miał ochotę skulić się tutaj, na podłodze pod piecem, i nigdzie się stąd nie ruszać.

Stał jeszcze przez jakiś czas, wreszcie wrócił do łóżka. Próbował się zachowywać jak najciszej, a Regina przyłgnęła do niego, mamrocząc coś przez sen.

Oddychał powoli. Szelest gałęzi za oknem, pulsowanie obolałej ręki. Pomyślał jeszcze, że powinien zajrzeć do dziewczynek, ale bał się obudzić Reginę, leżał tak więc z bolącą dłonią i się pocił, ale w końcu zasnął znowu.

Diabeł nie patrzył na nie. Z bliska wydawał się jeszcze większy. Kiedy szły w jego stronę, powiedział coś do psa, a ten przyglądał im się bez ruchu, z łbem wciąż opartym na łapach. Pola upuściła butelkę z wodą święconą, jej kształt zniknął w ciemnym gąszczu.

Diabeł pokazał ręką, żeby usiadły, potem dalej patrzył w ogień. Drewno trzaskało, światło podskakiwało pod stopy Poli i uciekało z powrotem. Pies westchnął, zupełnie jak zmęczony człowiek, któremu mimo tego zmęczenia się nudzi. Misia siedziała tak blisko Poli, że bliżej by się nie dało. Diabeł nie ruszał się, nie widać było nawet, żeby oddychał. W jego oczach dwa ogniska poruszały się w tym samym drżącym rytmie.

Pola pomyślała, że może całkiem o nich, o niej i o Misi, zapomniał. W końcu wsunął rękę pod koc i wyciągnął w ich stronę ciemny kawałek czegoś, co mogło być chlebem, a może mięsem, ale szybko pokręciła głową.

Zapytał, czego chcą, a kiedy usłyszał odpowiedź, znowu długo milczał. W zamyśleniu rzucił psu to, co podawał Poli, chleb lub mięso. Zwierzę mlasnęło i położyło łeb z powrotem na wyciągniętych łapach. Wreszcie, zwracając się do ogniska, Diabeł zapytał dziewczynki, ile mają lat i skąd przyszły. Pola mówiła głośno, szybko i ze szczegółami, przekonana, że każde słowo przybliży ją do chwili, kiedy będą mogły stąd odejść, a on słuchał, nie poruszając głową. Wreszcie wstał, przeszedł kilka kroków w jedną i w drugą stronę, następnie usiadł i patrząc z powrotem w ogień, powiedział, że nie może im pomóc, ale że być może one mogą pomóc jemu.

Pakunek był lekki, kształtem przypominał piórnik. Owinięty w jasny materiał przewiązany sznurkiem, skrywał coś twardego, jakies pudełko. Pola trzymała to i próbowała zrozumieć, o co właśnie poprosił ją Diabeł. Kilka razy powtórzyła w myślach usłyszane słowa i podniosła wzrok.

– Czy możemy już iść?

Diabeł nie odpowiedział. Znowu patrzył w ogień. Minęły kolejne minuty, a może cała godzina. Pola wstała, z palcami Misi wbitymi w jej przedramię, odwróciły się obie i ruszyły w stronę, z której przyszły. Noc tężała z każdym ich szybkim krokiem. Zaczęły biec, odsuwając gałęzie sprzed twarzy. Za ich plecami Diabeł nie poruszył się, pies westchnął, a potem zamknął oczy.

W zielonym notesie o kartkach napuchłych wilgocią skreślił słowo „nieznana” i obok dopisał „Iwona Graczyk”. W brzuchu miał coś, czego nie mógł się pozbyć, co było tam już przez cały czas, niezależnie od pory dnia i stopnia sytości, tkwiło głęboko, małe, ciężkie, niedające zapomnieć.

Zamierzał dziś zrobić okiennicę. Pojechać do tartaku. To miał być pierwszy dzień jego starego życia, takiego, jakie znał, wypełnionego pracą i pozbawionego zwątpień, a jednak od rana nie zrobił prawie nic, poszedł tylko do pszczół i siedział obok miodarki.

Spojrzał na swoją dłoń: leżała przed nim, z palcami na okładce zeszytu, i nieważne, jak bardzo nie chciałby nazwać jej koloru fioletowym, był on fioletowy.

Krystian wstał szybko i wyszedł z gabinetu. Regina wieszała pranie na sznurach rozciągniętych między drzewami; były tam, odkąd pamiętał. Być może zawiesił je jego ojciec, może wuj, a może nawet dziadek. Patrząc na plecy Reginy, na włosy zebrane na prawą stronę i na jej opalony kark, przypomniał sobie poprzednią noc i przez chwilę nie ruszał się, tylko tak stał i patrzył.

– Pójdę do Steina – powiedział w końcu. – Na wszelki wypadek.

Regina odwróciła się z miną kogoś, kto dobrze wiedział, że te słowa padną, tylko nie był pewny kiedy.

– Idź, idź.

Spojrzał jeszcze w okno na górze. Nie widział rodziców, ale byli tam, nieruchomi w brązowych fotelach, nieodgadnieni w swoim bezruchu, milczący. Coraz częściej zapominał, że w ogóle tam są. Widywał ich podczas posiłków i czasem na podwórzu, ale poza tym nie istnieli, miał

wrażenie, że pojawiają się na schodach, wyłoniwszy się wprost z nicości, schodzą powoli do kuchni, a potem na tych samych schodach, z dala od wzroku pozostałych domowników, z powrotem znikają. Że istnieją tylko, kiedy się na nich patrzy. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że zamiast jego rodziców na strychu mieszkały teraz te dwa ciche, uprzejmie uśmiechnięte duchy.

Odwrócił wzrok. Pocałował Reginę w szyję i wyszedł na Toruńską, gdzie w cieniu swojej pracowni Tenenbaum rozmawiał ze znudzonym Droszczem, gdzie jeden z kotów Leokadii jadł coś przy otwartej bramie fabryki octu i gdzie po obu stronach ulicy spacerowały same Iwony Graczyk.

Krystian nie stawiał zbyt wyraźnej granicy pomiędzy tymi, którzy zamawiali u niego meble, a tymi, którzy w nich później leżeli, i czasami dziwił się, jak powszechne jest wśród jego znajomych przekonanie, że ludzie dzielą się na żywych i umarłych.

Wiedział, że tę umowną granicę przekraczać można w obydwu kierunkach, i że bycie po jednej stronie nie wyklucza bywania po przeciwnej. Pierwszym, który mu to pokazał, był wuj Lolek, młodszy brat jego ojca.

Lolek mieszkał w pokoju od strony ogrodu, wtedy ciemnym i zagraconym, miał miękkie serce, nie miał zębów, był pijakiem, awanturnikiem, melancholikiem, kochał kobiety, książki i pszczoły, w zasadzie nic więcej.

Wieczorami Lolek był już zwykle pijany i zwykle siedział na starej drewnianej ławce pod bzem, w cieniu domu, gdzie, jak mawiał, stygł przed wyjściem do ludzi. Zdarzało się, że on i ojciec Krystiana krzyczeli do siebie, jeden z ławki, drugi z zakładu, a Krystian słuchał uważnie straszliwych i mądrych teorii Lolka, na przykład jego Wielkiego Monologu o Stopach.

Bywało też, że bracia się nie kłócili, a Lolek siedział w milczeniu. Krystek zajmował wtedy miejsce obok niego, pod warunkiem że wykonał

już przewidziane na dany dzień obowiązki. Czasami, kiedy wuj ledwie trzymał się prosto, trzeba było czekać długo, ale bywało też, że zaczynał opowiadać od razu, gdzieś między dwoma ugryzieniami jabłka, między drapaniem się po udzie i ubiciem na sobie komara.

Opowiadał Krystkowi o magicznej krainie. W tej krainie na środku podwórka nie rósł jeszcze wielki orzech, a ojciec Krystka był młodym, głośnym chłopakiem, lubił jeździć konno i łowić ryby w Warcie. Mama Krystka miała dwie siostry, blade znamię na szyi i zabawnie wysuwała wargę, kiedy zamierzała powiedzieć coś, co uważała za ważne.

Kiedy tamtego popołudnia Lolek wybrał się do miasta w jasnym, wyraźnie określonym celu, opowieść urwała się razem z nim. Krystian z początku nie wierzył, że to się stało naprawdę, a kiedy wreszcie uwierzył, miał ochotę uderzyć kogoś, kto za to odpowiadał. Siedząc następnego dnia na ławce – był maj i bez wybuchał akurat w niebo fioletowymi kłębamii – wyszeptał do nieżyjącego wuja, że jest głupim idiotą.

Ta złość ci kiedyś przejdzie, odpowiedział mu Lolek. Stał oparty o dom. Zapalił, a później znów go nie było. Po tamtym pierwszym spotkaniu pojawiał się nieregularnie i w nieoczekiwanych momentach, czasami też we śnie, ale był wyraźny i obecny, zupełnie jakby znajdował się jeszcze po tej stronie.

Granica pomiędzy światami okazała się ruchoma: żywi i umarli istnieli dla Krystka, a potem dla Krystiana, na tych samych warunkach, nie faworyzował jednych ani drugich, a skoro tak, to po pewnym czasie przestał również dostrzegać różnicę pomiędzy przeszłością, terażniejszością i tym, co miało nadejść. On sam z dzieciństwa był dla siebie równie ważny, a może ważniejszy niż obecny, trzydziestodwuletni Krystian Dzierzba, a najczęściej chyba myślał o sobie jako o starcu, którym dopiero miał się kiedyś stać. Dzięki temu czuł się bezpiecznie, niczego się tak naprawdę nie musiał obawiać.

A teraz ta kobieta, której nigdy nie widział i której nie zobaczy. Stąpająca po granicy między światami, żyjąca na niej, nieobecna po żadnej ze stron. Wyobrażał sobie jej twarz, głos, jej ciało. Idąc Toruńska,

i potem w stronę rynku, przez most, w każdej napotkanej nieznajomej przez pierwsze pół sekundy widział Iwonę, przekonany, że to ona, przekonany tak bardzo, że zwalniał, zatrzymywał się i ruszał dalej dopiero te pół sekundy później, kiedy się okazywało, że znowu nie.

Doktor Stein przyjmował w obszernym gabinecie na piętrze swojego domu, od dziewiątej rano do szóstej wieczór z przerwami. Za konsylium pobierał dwadzieścia cztery złote, za zabiegi mniejsze sześćdziesiąt, za poważniejsze około stu. Od dawna nie mieścił się w sobie, z każdej strony jego ciało usiłowało umknąć ograniczeniom, wylewało się zza paska, rozpychało koszulę, rwało szwy w zawsze zbyt ciasnych spodniach.

Był lekarzem doświadczonym, a jego doświadczenie podpowiadało mu, że choroby ciała i ducha swoje źródło mają zazwyczaj w jednym miejscu i że remedium na nie również jest zwykle jedno. Przepisywał nieodmiennie to samo, postawiwszy diagnozę donośnym, pełnym wyrzutów głosem, czemu zawdzięczał reputację dziwaka, ale że jego metody przeważnie okazywały się skuteczne, cieszył się powodzeniem u pacjentów.

Spoglądając na twarz doktora, Krystian odczuwał potrzebę chwycenia za dłuto i poprawienia jej tam, gdzie było zbyt wiele ciała. Ociosałby policzki i podbródek, wyrównał szyję. To było jak swędzenie i musiał mocno trzymać dłonie przy sobie, by nie sięgnąć ku tym obfitościom twarzy. Na pytanie, co go sprowadza, pokazał mu rękę i powiedział o drzazdze, o bólu, o coraz ciemniejszych kolorach.

– Wydawało mi się, że wyjąłem ją całą, ale być może...

– Tak, tak, zrozumiałe – przerwał mu Stein, wysuwając pełną twarz do przodu niczym peryskop. – A jak u was z tańcem?

Cisza po zadanym pytaniu przedłużała się, a Stein sprawiał wrażenie, że w takich ciszach czuje się doskonale. Krystian potarł spodnie dłońmi.

– No, nie powiem, żebym...

– Tańczy pan czy nie?

– Nie.

Stein pokiwał głową z miną człowieka, dla którego wszystko jest już jasne. Odsunął się z powrotem od pacjenta, najwyraźniej rozzłoszczony, ale i uspokojony tym, co usłyszał.

– Szanowny. Żeby postawić diagnozę, muszę zobaczyć pana w ruchu. No, niechże pan pokaże.

– Proszę?

– Pokaże pan. Pomogę w razie potrzeby.

– Ale...

Stein lekko poderwał się z miejsca, obszedł biurko i pociągnął Krystiana na środek gabinetu. Położył sobie jego prawą rękę na miękkim biodrze, lewą uniósł na wysokość barku.

– Pan prowadzi.

Zanucił walca i nim Krystian zdążył się zorientować, tańczył, poruszając się to w prawo, to w lewo, Stein zaś odchyłał się do tyłu, starając się sprawiać wrażenie wiotkiego.

– Z werwą! – powtarzał. – I jeszcze!

Kiedy skończyli, lekarz usiadł za biurkiem z poważną miną i oświadczył, że ruchy właściwe, w porządku, energii w tym natomiast stanowczo zbyt mało, wiele do życzenia pozostawia również kondycja.

– Tak więc przepisuję trzy razy w tygodniu po pół godziny najmniej. Samemu albo z kobitą, jak sobie pan wolisz, ale pół godziny najmniej. I uśmiechać się przy tym. No, będzie dobrze, będziemy żywi. Z uśmiechem do życia, z uśmiechem!

Krystian pokiwał głową, nie wstał jednak, nie wykonał żadnego ruchu. Stein przyglądał mu się niby osobliwości medycznej, splótszy przed sobą dłonie.

– Coś jeszcze?

Krystian odchrząknął:

– Właściwie... Zamierzałem tylko spytać...

– Proszę pytać.

– Jest to, zdaje się, odrobinę niezwiązane...

– Mhmm.

- Tak więc niedawno był u mnie, poprosił o zrobienie, dla swojej żony, to znaczy... Henryka Graczyka zna pan, prawda?

- Znam, owszem.

- A żona jego? Nie bywała ostatnio u pana?

- I to jest to pańskie pytanie?

- To znaczy... tak, właściwie tak.

Stein pochylił się nad biurkiem i przez chwilę wyglądał, jakby chciał zadać cios, zaraz się jednak rozluźnił, spojrzął na regały i zaczął przesuwać językiem po zębach.

- Bywała, szanowny. Ale na to, z czym ona przyszła, niewiele można pomóc, i spieszę przyznać, że mnie wieść o jej odejściu nie zaskoczyła ani trochę. Miałem nawet zamiar pójść na pogrzeb, jednak obowiązków za dużo, sam pan widzi.

Krystian czekał, w obawie, że jeśli przerwie lekarzowi, ten nie dokończy opowieści, Stein tymczasem pokiwał głową w zamyśleniu i dodał:

- Próbowalem, oczywiście, ale to już było zbyt silne. Zresztą, przypadki śmierci ze wzruszenia są w medycynie dobrze znane. Sam mógłbym panu z własnej praktyki wymienić co najmniej pięć. Tak, histerie, poruszenia moralne, na to remedia znajduje się poza gabinetami lekarzy. I ona widać ich nie znalazła.

Kiedy było jasne, że Stein powiedział już wszystko, Krystian podniósł się, uściśnął mu rękę, zapłacił i podziękował, a wtedy lekarz rzucił z roztargnieniem:

- A! Momencik. Na tę rękę dwieście gramów sproszkowanej kory dębowej kupić w składzie aptecznym u Klimaszewskiego, gotować w czterech litrach wody tak długo, aż tylko pół litra zostanie, i robić z tego okłady co godzinę. No, do widzenia, do widzenia!

Krystian wyszedł od lekarza na ulicę lipcowo rozgrzaną, gwarną, i sięgnął po papierosy. Na co dzień palił cudy po dwa grosze za paczkę, ale dziś wziął z komody balety, które trzymał na specjalną okazję -

kosztowały pięć groszy i smakowały lżej, dym wchodził w człowieka gładko i się w nim rozpościerał, przyjemnie miękki.

Powoli szedł w stronę składu aptecznego, pałac i zastanawiając się, czy wie już wszystko, co chciał wiedzieć, a jeśli tak, to czy tyle wystarczy. Czy teraz będzie mógł się już zabrać do okiennicy, pojechać do tartaku po świeże drewno, obejrzyć garnitur przed wielkim garden party. Wszedł do składu Klimaszewskiego i przy kontuarze zorientował się, że nie pamięta, co miał tutaj kupić.

TO WIĘC BYŁAM, POSZŁAM SPECJALNIE O TEJ PORZE, CO KAŻA, I WESZŁAM, I ZŁĘKŁAM SIĘ, BO W ŚRODKU NIEZWYKLE, I JASNO, ALE WESZŁAM, I BYLI TAM DWÓCH, I JEDEN MIAŁ WĄSY, TO MUSIAŁ BYĆ TEN WAŻNIEJSZY, I POWIEDZIAŁ CO POTRZEBA?, TO POWIEDZIAŁAM, ŻE PRZYCHODZĘ SIĘ POSKARŻYĆ, TO JEST POWIEDZIEĆ, ŻE MNIE ZNIEWOLILI, I ŻE JA WIEM KTO. JAKOŚ ICH TO WŚCIEKNĘŁO, BO JEDEN TO NIE POWIEDZIAŁ NIC, INO GAPIŁ SIĘ ZE ZŁOŚCIĄ, A DRUGI, TEN Z WĄSEM, POWIEDZIAŁ, ŻE TRZEBA ZEZNANIE I CZY UMIEM PISAĆ, NA TO JA, ŻE NIE. WIĘC JUŻ WTEDY OBAJ BYLI ZŁE, I TEN Z WĄSEM ZACZAŁ COŚ SZUKAĆ I JAK ZNALAZŁ, TO JUŻ MIAŁ ZACZAĆ COŚ PISAĆ, ALE PODNIÓSŁ GŁOWĘ I MÓWI, CZY JA JESTEM PEWNA I CZY WIEM, CO TO ZNACZY ZNIEWOLIĆ, TO MÓWIĘ, ŻE WIEM, ŻE TO SIĘ INACZEJ NAZYWA GWAŁCIC, A ON ZNOWU, CZY JESTEM PEWNA I CZY TEGO SOBIE NIE WYMYŚLIŁAM, BO PRZECIEŻ ON MNIE ZNA I WSZYSCY WIEDZĄ, JAKA JESTEM, I ŻE ON TEGO NIE MÓWI, ALE INNI MÓWIĄ, WSZYSCY ZNACZY, ŻE JESTEM KURWA, BO PRZECIEŻ WIADOMO BYŁO, ŻE Z DYZIEM CHADZAŁAM, NAJZUPEŁNIEJ BEZ ŚLUBU, WIĘC SIĘ PYTA, CZY JESTEM PEWNA, I CZY TO NIE TYLKO JAKIEŚ WYGLUPY, BO ZA TO MOŻNA MANDAT.

WYSTRASZYŁAM SIĘ WTEDY I MÓWIĘ, ŻE PRZEPRASZAM, I ŻE NIE WYGLUPY, ŻE JA BYM NIGDY, I ŻE RAZ JESZCZE PRZEPRASZAM, ŻE MOGĘ PÓJŚĆ, JAK TO JEST ZŁA PORA I ŻE PRZEPRASZAM NAPRAWDĘ BARDZO, A ON WSTAŁ I MÓWI, ŻEBYM PRZESTAŁA SIĘ UŻALAĆ I ŻE JAK SIĘ NIE BĘDĘ ZACHOWYWAĆ JAK KURWA, TO MNIE NIKT NIE BĘDZIE TRAKTOWAĆ JAK KURWĘ, I MÓWI, ŻE ONI SIĘ ZAJMUJĄ WAŻNYMI SPRAWAMI, A NIE ROJENIAMI GŁUPICH DZIEWUCH, I WTEDY TEN DRUGI, TEN, CO SIEDZIAŁ, ODZYWA SIĘ, ŻE WEŹ JĄ ZDZISEK WYPROWADŹ, TO NIE JEST MIEJSCE NA TAKIE.

I TEN Z WĄSEM JAK MNIE WYPROWADZAŁ, TO MÓWI DO MNIE DZIWNYM SZEPTEM, ALE TAK, ŻE SŁYCHAĆ BYŁO, ŻE JA SŁYDZAŁAM, WIĘC MÓWI, ŻE NIE DZIW, ŻE MNIE KTO MOŻE CHCIEĆ ZNIEWOLIĆ, JAK MAM TAKĄ PROSTACKĄ GĘBĘ I TAKIE ORDYRNARNIE WIELKIE CYCE, I WSZYSTKO POD TAKIM CIENKIM MATERIAŁEM, TO

WIĘC ON SIĘ WCALE NIE DZIWI, I ŻE MAM SZCZĘŚCIE, ŻE MI TYLKO ZROBILI TO RAZ, BO GDYBY ON... NO I WTEDY UMILKŁ, BO WYSZLIŚMY I MNIE PUŚCIŁ, I ODWRÓCIŁ SIĘ, A KIEDY NIE SZŁAM, TO SPOJRZAŁ JESZCZE I POWIEDZIAŁ, ŻE JUŻ, JUŻ, NO WIĘC POSZŁAM.

Przymykała oczy i widziała szkatułkę owiniętą materiałem, przewiazaną sznurkiem.

Tej nocy biegły z Misią przez las, byle dalej od Diabła, potem krążyły, potykały się i krążyły znowu, i Misia płakała, żądała pomocy Księżniczki Juhu, i płakała jeszcze bardziej, aż w końcu nagle znalazły się na drodze, znacznie bliżej miasta, niż Pola sądziła, że są. Wtedy popuściła w majtki. Resztę odległości pokonały biegiem, nie mówiąc do siebie ani słowa. Wróciły do domu tak miękkie, wiotkie i opróżnione ze słów, że zasnęły od razu, jak tylko wspięły się do pokoju przez okno. Paczkę od Diabła Pola ukryła w tym samym miejscu, gdzie wcześniej trzymała butelkę ze święconą wodą.

Teraz, pomagając mamie w zdejmowaniu prania, uwierzyłyby, że to wszystko jej się śniło, gdyby nie podłużne czerwone ślady na nogach i przedramieniu, gdyby nie zapach dymu we włosach, gdyby nie pakunek za łóżkiem.

Przez dziurę w niebie lało się gorąco, jak od kilku dni. Gdzieś daleko, nad stawem, poniósł się ryk Szalonej Leokadii, być może znowu polującej na kormorana. Z zakładu taty dochodziło stukanie. Mama zarzuciła Poli na głowę poszwę poduszki i pocałowała ją w czoło przez pachnący materiał. Pola zamknęła oczy.

Kiedy skończyły, popłynęła resztką sił przez dom do pokoju i upadła na łóżko, obok śpiącej Misi. Śniło jej się, że Diabeł siedzi na gałęzi jabłoni za oknem i czeka, aż jego żądanie zostanie spełnione. Z pudełka za łóżkiem dochodziły szept, z których rozróżniała tylko powtarzane przez kogoś słowo: „Moje. Moje. Moje”. Obudził ją tata, mówiąc, że kolacja i że co to za porządki, już, już.

W kuchni był stary kredens pełen rodzinnych historii, były wzory z garnków na ścianie i była belka, z której zwisały rozmaite związane

sznurkiem zapachy. To ulubione miejsce Poli w całym domu zgęstniało teraz od gorąca i dymu znad patelni. Tata nałożył każdemu błyszczących od tłuszczu, skwierczących jeszcze placków i zabrał się do swojej porcji. Pola jadła powoli i żeby nie zapomnieć, powtarzała pod nosem prośbę Diabła, słowo w słowo, jak wiersz albo modlitwę.

III

Kolejny dzień stracony.

Tak dokładnie wypełniony życiem, że nie było nawet okazji, by spróbować się z niego wymknąć. Od rana do wieczora ciągle ktoś, coś, gdzieś i koniecznie, a teraz ojciec zaprosił jeszcze na kieliszek węgryzna.

W gabinecie Waldemara Steina unosił się zapach upału, ziół, papierosów i kawy. Gabloty pełne książek, których w większości ojciec nigdy pewnie nie otworzył, na środku biurko jak statek, ciężkie i olbrzymie, a za nim ciężki i olbrzymi on.

Czasami, najczęściej w niedzielę, zapraszał Mikołaja na wieczorny kieliszek węgryzna, co znaczyło, że nie zdążył się w ciągu dnia nagadać z ludźmi i zalegały w nim słowa, które musiał komuś ofiarować. Teraz, z dłońmi splecionymi na szerokim brzuchu, objaśniał:

- ...oczywiście tacy, co sądzą, że wystarcza napoić chorego skwaśniałym mlekiem z dodatkiem chleba razowego albo, co chyba jeszcze gorsze, olejem rycynowym. Nie wiedzą, że w ten sposób tylko leczą skutki, nie przyczyny, bo przyczyną, mój drogi, jest w takich wypadkach zwykle nieregularne życie. Ba. Organizm sam umiałby się przystosować do zwalczania wpływów chorobotwórczych, ale człowiek głupotą swoją niszczy tę zdolność i wytępia własną siłę nierozsądnym sposobem życia. Brak śmiechu i brak tańca, to wskazałbym jako dwa najpoważniejsze powody doprowadzania się do tego typu...

Mikołaj dawno już wykształcił umiejętność słuchania ojca w taki sposób, by nie burzyć jego przekonania o byciu słuchanym, a jednocześnie nie zapamiętywać nic z jego monologów. Teraz, z kieliszkiem węgryzna do połowy jeszcze pełnym – ojciec nalewał zawsze tylko jeden, który pić należało powoli przez całą rozmowę – siedział po drugiej stronie biurka, na krześle przeznaczonym dla pacjentów, i myślał o tym samym, o czym myślał od kilku tygodni.

Miała na imię Weronika, widywał ją czasem, jak szła drogą w swojej obszernej koszuli. Wszystko w jej twarzy było dokładnie takie, jak należy, ani większe, ani mniejsze, ani zbyt w lewo, ani w prawo, i przez to całość robiła zaskakująco nijakie wrażenie. Patrząc na Weronikę, łatwo było sobie uświadomić, że uroda wymaga jakiegoś odstępstwa, uszczerbku, czegoś właśnie zbyt w jedną lub w drugą stronę, co odróżniałoby tę twarz od tysięcy innych twarzy w mieście.

I do tego ciało, nieforemne, jakby z ciasta przeznaczonego na tę dziewczynę wypieczono ją naprędce, zbyt dużo wykorzystując go na piersi, uda i brzuch. Gdyby ta twarz i to ciało funkcjonowały osobno, w połączeniu z innym ciałem i twarzą, mogłyby wzbudzać zainteresowanie, może się nawet podobać, ale wspólnie tworzyły postać nieludzką, o której łatwo było myśleć, że jest w środku pusta.

Do tamtego spotkania na łące Mikołaj nie zwracał na nią uwagi. Była czymś takim jak na przykład krzak, który się mija codziennie – niby wiesz, że jest, ale nic z tego nie wynika. Od dziecka pasła krowy. Nie widział jej chyba nigdy samej, pozbawionej towarzystwa tych sennych, milczących stworzeń. Przejęła część ich nawyków: nie odzywała się, poruszała powoli i spoglądała raczej w ziemię niż w niebo.

Tamtego ciepłego dnia miała na sobie tę właśnie obszerną koszulę, w której zwykle ją widywał, choć tym razem podciągniętą wysoko pod szyję, zmiętą i brudną, a na niej zaciśniętą, opaloną dłoń.

Było ich dwóch. Ten wyższy usługiwał czasem w miejscu postoju dorożek, o drugim – było mu chyba Leszek – mówili, że jest czysty idiota. Trzymali się zwykle razem i świdrowali otoczenie takim wzrokiem, jakby zamierzali wywinąć wielki numer, tylko jeszcze nie postanowili jaki. Zdarzyło im się coś pożyczyć na dłużej, niżby wypadało, czy też wybić gdzieś szybę z powodów pozostających dla innych tajemnicą, i znali ich w Kole prawie wszyscy, ale mówiono o nich przeważnie, że tak, wariaty są, ale w gruncie poczciwe.

I wtedy na łące te dwa wariaty, w gruncie poczciwe, przycisnęły Weronikę do ziemi i jeden leżał na niej, a drugi kucał obok i krzyczał, dopingując, jak na jakimś wydarzeniu sportowym. Trudno byłoby

powiedzieć, któremu z nich większą to sprawiało uciechę. Weronika z początku wierzyła, próbowała się wyrwać, w końcu zrozumiała, że się jej nie uda i leżała tylko, nieruchoma, czekając widocznie, aż będzie już po.

Mikołaj, który tamtego dnia po szkole miał przerwę akurat na tyle długą, by jeszcze przed treningiem na boisku przeczytać trochę o gotowaniu, poszedł na łąkę z książką i kiedy już miał usiąść, zobaczył ich, a właściwie najpierw chyba usłyszał.

Wydawało mu się, że to nie jest naprawdę, że zaraz zniknie. Przecież niemożliwe. Przemoc była czymś, co owszem, istniało, ale na wojnie, w gazetach, nie tutaj, nie tak blisko. I chyba niemożliwe, żeby wyglądała właśnie tak – żeby ci, którzy się jej dopuszczali, mieli takie miny jak ci dwaj, żeby byli znajomi z twarzy, żeby poza tym pomagali czasem przy żniwach i obaj byli w gruncie poczciwe wariaty.

Ten, który leżał na Weronice, dość szybko podniósł się i podciągnął spodnie, a na jego miejsce ruszył drugi, ale zanim to zrobił, szturchnął tamtego po przyjacielsku i radośnie, jakby właśnie kradli wspólnie śliwki u sąsiada. W tym czasie dziewczyna otworzyła usta i coś jej się stało z twarzą, ale nie wydała z siebie dźwięku. Klękając między jej nogami, drugi chłopak skrzywił się na widok tego, co zobaczył, i szybko podciągnął jej koszulę jeszcze wyżej, żeby zasłonić głowę.

Mikołaj miał wrażenie, że przestaje czuć cokolwiek. Że nawet gdyby chciał poruszyć ręką lub nogą, nie mógłby, że to już nie zależy od niego. Obrazy wlewały mu się głęboko do głowy i już wtedy wiedział, że nie tylko Weronika, lecz także on – że oboje tego ciepłego dnia nigdy nie zapomną.

Książka wypadła mu z rąk i twardym rogiem uderzyła go w stopę. Podniósł ją powoli, nie odrywając wzroku od tego, co działo się przed nim, ale raz uruchomione ciało nie zatrzymywało się: ścisnęło okładkę, odwróciło się i zaczęło iść.

Coraz częściej przesiadywał u pszczoł. W chłodzie pasieki, w brzęczeniu, w zapachu, dla którego nie miał nazwy. Lekko drzewnym i słodkim,

ziemistym, trudno uchwytnym.

Po miodobraniu powinien przeprowadzić dokładny przegląd pni i zostawić tylko te z krytym czerwiem, które miały dobrą, płodną matkę. Wuj Lolek przestrzegał go przed trzymaniem czerwia niestojącego zwarto, który mógł oznaczać, że matka jest chorowita albo że pień dotknęła zgnilizna. Przyszłe zbiory zależały od uważności na tym etapie, a lekkomyślność przy przeglądzie mogła zrujnować wysiłki wielu lat.

Mimo to nic nie robił. Przychodził tu tylko, siadał obok miodarki i opadał w myśli, które go zabierały w coraz dalsze miejsca. Na Aleję Trzeciego Maja. Do domu za dwoma świerkami. Do kuchni, w której gotowała obiady, do jej szafy, na ulubiony fotel. Przed lustro, w które codziennie spoglądała, i do łóżka, w którym budziła się rano.

Aż bolało. Twarz ze zdjęcia w gazecie. Od pierwszej chwili po otwarciu oczu nad ranem do ostatniej, przed ich zamknięciem po powrocie od pszczół. Dziewczynki, Regina, klienci zakładu. Rozmawiał z kimś, a potem, odchodząc, nie pamiętał o czym. Upał, dłoni, długie noce, spocone ciało i chyba gorączka.

W końcu przestał spać.

Kładł się po swojej stronie łóżka, na pierzynie, spletał ręce za głową i czekał. Regina wiotczała powoli, odrywając się od minionego dnia, oddychała równo i czasami zdarzało się jej zachrapać, za oknem ciemniało, chłodziło i cichło, a on leżał. Oglądał sceny, które do niego przychodziły, i poddawał się temu, bezsilny, zmęczony, zdziwiony. Szedł przez kolski rynek pod rękę z Iwoną Graczyk. Stał z nią przed drzwiami do swojego zakładu. Pokazywał pszczoły, dawał spróbować miodu, zapraszał do pokoju dziewczynek, siadał przy stole w kuchni.

Tłumaczył sobie, że to przez zakażoną rękę. Po wizycie u Steina wypadło mu z głowy, co miał kupić, dopiero dzisiaj natknął się na to w pamięci – sproszkowana kora dębowa, dwieście gramów – i wrócił do składu aptecznego, ale później i tak zapominał okładać opuchliznę, więc roztwór czekał w garnuszku w kuchni, zbierając na powierzchni kolejne muchy, a prawa dłoń dalej wyglądała tak samo. Jak coś nieludzkiego:

znacznie powiększona, ze skórą opiętą na rozgrzanym ciele. Próbował na nią nie patrzeć, poruszać nią jak najmniej, zapomnieć, że ją w ogóle ma.

Zamknął oczy. Ból pulsował tak wyraźnie, jakby serce Krystiana Dzierzby biło mu w dłoni, tuż pod kciukiem. Oddychał spokojnie metodą, której uczyła go kiedyś Regina: podwójny wdech i podwójny wydech, jak najwolniej.

Wiedział, że właśnie w tej chwili trwa pogrzeb Iwony Graczyk, że Iwona Graczyk leży w trumnie, którą sam zrobił. Może miała na sobie strój, w którym zdawała egzaminy na studiach w Warszawie, a może jakiś zupełnie inny.

Podniósł się z ziemi. Wyszedł w upał podwórka, z ubraniem klejącym się do ciała. Wiatr zaszeleścił w krzakach i musnął mu nogawkę. Sylwetka Reginy poruszała się za kuchennym oknem.

Szedł w stronę zakładu, licząc kroki. Czternaście. Pył. Zapach drewna. Kolumny światła pełne powolnego kurzu. Pogrzeb trwał od dwudziestu minut. Dwudziestu jeden minut. Dwudziestu dwóch minut.

Krystian włożył w kleszcze deskę sosnową i przesunął kolcem wzdłuż stalowego liniału o chłodnej powierzchni, wytyczając na drewnie szlak dla piły. Następnie przy użyciu węgielnicy wyznaczył kąty proste i tak posuwał się z pracą naprzód, nie potrafiąc dostrzec w niej sensu. Odliczał tylko kolejne minuty, skupiony na tym, by nie wybiec z zakładu i nie popędzić na cmentarz.

Ojciec zabrał go kiedyś nad rzekę, daleko w stronę Ruszkowa, do miejsca, gdzie w trawie leżało kilka głazów. Wyglądały, jakby właśnie zażyły kąpieli i odpoczywały w słońcu. Ojciec zatrzymał się między nimi, zapalił machorkę i długo tak stał, milcząc, a potem kazał Krystianowi przynieść wody w wiadrze.

Podeszli razem do jednego z głazów. Miał kształt lekko spłaszczonego chleba, był szorstki, gorący w dotyku. Od strony rzeki, z boku, przebiegała po nim szczelina, głęboka może na długość kciuka.

Ojciec włożył w nią drewniany klin, dopchnął mocno, zaparty nogami o ziemię, i uroczyście podał Krystianowi wiadro z wodą. Chłopak polał obficie kawałek drewna. Ojciec skinął głową i wrócili do domu.

Następnego dnia przyszli w to samo miejsce. Kamień był rozpołowiony, a pomiędzy dwiema jego częściami, niepozorny i złowieszczy, leżał drewniany klin.

Krystian przyglądał się powierzchni głazu, który w środku wyglądał prawie tak samo jak na zewnątrz, był tylko odrobinę ciemniejszy. Ojciec podniósł klin ostrożnie, jakby ten mógł mu wyrządzić krzywdę. To była jedna z lekcji, których udzielał Krystianowi, zwykle w taki właśnie sposób, bez słów.

A teraz drewno próbowało zniszczyć Krystiana. Wtargnęło mu pod skórę i zostawiło tam ślad po sobie, psując ciało od środka. Ten ślad nie chciał wyjść, cierpliwy i uparty, jak klin pęczniejący od wody, który tamtej nocy w końcu rozpołowił głąz.

Czując coraz silniejsze pulsowanie w dłoni, Krystian dochodził do wniosku, że może kiedy tak długo obcuje się z drewnem, nie sposób uniknąć zespolenia z nim: oddania mu kawałka siebie albo przyjęcia go w ciało.

Tamten klin miał zresztą do dziś. Trzymał go tutaj, w zakładzie, na jednej z długich półek. Spojrzał w tamtym kierunku. Klin, kilka kołków, stara puszką z pędzlami. Obok niej spał William, zwieszając bezwładnie przednią łapę.

Krystian podszedł i pogłaskał go po grzbiecie. William otworzył jedno oko i zaraz je zamknął. Miał białe końcówki uszu, jakby właśnie zanurzył je w maślanec. Na zewnątrz ktoś krzyczał, że to już nie wojna i nie trzeba tak po szatańsku pędzić ulicami. Słońce świeciło Krystianowi na brzuch i kawałek lewego przedramienia.

Pogrzeb trwał od trzydziestu siedmiu minut. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę i będzie bezpieczny, cała ta sprawa zostanie zamknięta na zawsze, ona będzie pełna, po drugiej stronie, w jego bezpiecznym pojeździe, a on wróci do pracy nad okiennicą, pojedzie do tartaku, może nawet znajdzie siłę na coś jeszcze.

Głaskał Williama po grzbiecie lewą dłonią, ze słońcem rozmazanym na brzuchu, co kilkanaście sekund spoglądając na zegar. Mosiężne wskazówki poruszały się bezgłośnie na bukowym tle.

Zamknął oczy.

Nie mógł już udawać, że ręka go nie boli, że ten ból słabnie. Jakby mu chciała o czymś wciąż przypominać. Szybko opuścił zakład, kilkoma dużymi krokami przemierzył podwórko i wszedł do domu, w chłód i zapach przypraw i dymu. Regina paliła papierosa przy stole w kuchni, pochylona nad listami.

Chwył się blatu i powiedział:

– Może wybierzemy się do Apollo... Albo, lepiej, chodźmy z dziewczynkami na turniej piłkarski. Jest jutro.

– Krystian, twoja ręka...

– Może być ciekawie. Słyszałem, że Olimpja ma teraz świetnego chłopca w napadzie i że grają znakomicie.

– Co ci powiedział Stein?

– Kazał tańczyć.

– Tak, tak, ale oprócz tego.

– Że to minie, mam robić okłady. Pójdziemy?

– Krystian...

– Powiedz, że pójdziemy.

Odłożyła papierosa. Dym rozdawał się przed jej twarzą i znikał pod sufitem.

– Oczywiście.

Pocałował Reginę w głowę i wyszedł bez słowa. Zamknął się w pokoju od strony ogrodu, usiadł przy biurku i sięgnął do sterty gazet, żeby raz jeszcze, po raz ostatni, zerknąć na tamto zdjęcie, i dopiero wtedy przypomniał sobie, że je spalił.

TO WIĘC POSZŁAM DO PANA PROBOSZCZA, A ON MNIE PRZYJĄŁ JAK CÓRKĘ I KAZAŁ PRZYNIĘŚĆ HERBATY, I USIADŁ NAPRZECIW MNIE PRZY BIURKU, I MÓWI, ŻEBY MÓWIĆ, WIĘC MÓWIĘ, ALE ON PRZERYWA MI RYCHŁO I PYTA, CZY JESTEM GOTOWA SIĘ UKORZYĆ PRZED BOGIEM I CZY WIEM, CO TO ZNACZY BOŻE MIŁOSIĘRZIE I BOŻE WYBACZENIE, NA CO JA, ŻE BYŁAM JUŻ U POLICJI, TYLKO MNIE NIE CHCIELI, NA CO ON, CZY WIEM, ILE BOGA KOSZTUJE MIŁOSIĘRZIE, TO SERCE KRWAWIĄCE

DLA TAKICH JAK JA, WIĘC MÓWIĘ, ŻE JA NIE JESTEM ZA BARDZO MĄDRA ANI NIC, NA CO ON, ŻE PADNIJ NA KOLANA, PADNIJ ZE MNĄ, POMÓDLMY SIĘ O ZBAWIENIE DLA TWOJEJ CZARNEJ DUSZY, ALBOWIEM WSZYSCY MAMY CZARNE DUSZE, WSZYSCY CO DO JEDNEGO, WIĘC PADŁAM Z NIM NA KOLANA, A ON ZACZĄŁ KRZYCZEĆ DO PANA BOGA, BY NAM WYBACZYŁ, BY MI WYBACZYŁ, I POZWOLIŁ DALEJ ŻYĆ W JEGO BLASKU MIMO NASZEGO PIERWSZORODNEGO GRZECHU I NASZYCH CZARNYCH, CZARNYCH DUSZ, NA CO JA, ŻE ICH BYŁO DWÓCH, A JEDEN MNIE PRZY TYM UGRYZŁ BARDZO MOCNO W RAMIĘ, NA CO ON, ŻE MIŁOSIERDZIE PANA JEST NIEZMIERZONE, ŻE JEST JAK OCEAN, I CZY WIEM, CO TO JEST OCEAN, NA CO JA, ŻE PRZEPRASZAM, I ŻE SIĘ BOJĘ, ŻE ONI MI TO JESZCZE KIEDY ZROBIĄ DRUGI RAZ.

PODAŁ MI HERBATĘ I KAZAŁ PIĆ, I MÓWI PIJ DZIECKO, OGRZEJ SIĘ, TU JESTEŚ BEZPIECZNA, TU JEST DOM BOGA, I KAZAŁ PRZYNIEŚĆ CIASTKÓW, A KIEDY CZEKALIŚMY, TO MÓWI, ŻE LUDZIE SĄ BESTIE, ŻE SĄ OKRUTNE I ZŁE, ALE ŻE KAŻDEN JEST NA PODOBIENSTWO BOGA, TO WIĘC JA MUSZĘ W SERCU ODNALEŹĆ WYBACZENIE DLA NICH, I CO BY NIE ZROBILI, MUSZĘ ODNALEŹĆ TO WYBACZENIE, I PODAŁ MI CIASTKO, I BYŁO PYSZNE, I MÓWI, ŻE BEZ PRZEBACZENIA NIE MAM CZEGO SZUKAĆ U PRÓG BRAMY NIEBIESKIEJ, ŻE PRZEBACZENIE JEST JAK KLUCZ, CO TĘ BRAMĘ ROZTWIERA, NA CO JA MU, ŻE CI DWAJ POWINNI MIEĆ KARĘ I KTO MI OBIECA, ŻE ONI NIGDY JUŻ MNIE, ALBO MOŻE NAWET KOGO INNEGO, NO KTO MI OBIECA, NA CO ON, ŻE PADNIJ ZE MNĄ NA ZIEMIĘ I BŁAGAJ BOGA, BY SPRAWIŁ, BY TWE SERCE SIĘ STAŁO CZYSTE I WOLNE OD ZEMSTY, I WOŁAŁ DO BOGA, KRUSZĄC CIASTKIEM Z UST, A POTEM ZAMKNAŁ OCZY I ZASNAŁ, I PACHNIAŁ SAMOGONEM, NO WIĘC WSTAŁAM I PODZIĘKOWAŁAM GOSPODYNI ZA HERBATĘ I CIASTKO, I WYSZŁAM W NOC, I SZŁAM SZYBKO, BO SIĘ BAŁAM TYCH DWÓCH I TEŻ TROCHĘ TEGO OLBRZYMIEGO BOGA, JEGO TEŻ.

Jednak poszła.

Sama, bez Misi, po obiedzie. Poszła szybkim krokiem, rozpędzona, żeby jej starczyło siły przed bramą, tam gdzie wisiały klepsydry i gdzie łatwo byłoby stchórzyc.

Wokół cmentarza rozciągał się parkan, a w środku stała kaplica z palonej cegły, z krótką błyszczącą wieżyczką i cementowymi ornamentami. Pola wiedziała, że pod nią, w ziemi, są katakumby dla księży, co zawsze się jej wydawało trochę straszne. Zastanawiała się, czy ktoś taki jak proboszcz też czasem umiera, a jeśli tak, to czy wtedy się go zrzuca do tych katakumb razem z bogiem w jego brzuchu.

Stąpiła ostrożnie, świadoma, że chodzi po całym mnóstwie osób, które dotarły tutaj w pewnym momencie życia i leżą tu już tak długo, że się w końcu prawie przestało o nich mówić. Ciekawiło ją, jak gęsto są poukładani. Czy gdyby któryś zrobił dziurę w desce i wyciągnął rękę w bok, to mógłby dotknąć innych? Większość leżała w trumnach, które zrobił jej tata, więc może on wiedziałby takie rzeczy.

Na powierzchni ludzi było niewiele. Jacyś państwo przy bramie i dwie maleńkie kobiety w oddali. Trafiła bez kłopotu. Grób był nowy, zrobiony z ziemi i kwiatów, na środku stał krzyż, a na nim wisiała metalowa tabliczka z nazwiskiem, które Pola przeczytała szeptem.

Uklękała, odsunęła kwiaty i zaczęła kopać w miękkiej ziemi. Coraz szybciej, szepcząc do siebie, że przeprasza i że jej kazano. Kiedy dziura była już odpowiednio duża, wrzuciła pakunek do środka, poprawiła go trochę i ułożyła tak, żeby leżał prosto. Następnie zasypała otwór i wstała, przekonana, że za plecami ma tatę, mamę i wszystkich policjantów z komendy, ale nikogo tam nie było. Tylko pomniki.

Daleko po lewej stronie jakaś pochylona kobieta podlewała kwiaty, inna grabiła ścieżkę między nagrobkami ostrożnie, jakby grabiła żywe ciało. Mimo tego, co Pola właśnie zrobiła, wszystko dookoła wyglądało dokładnie tak jak wcześniej, zupełnie jakby świat się nie zorientował, co zaszło. Raz jeszcze spojrzała na grób, świeżo zasypaną dziurę i tabliczkę z nazwiskiem, a potem ruszyła do wyjścia, powstrzymując się, żeby nie zacząć biec.

Na turniej, pieszo, w ostrym słońcu. Z Regimą, Polą, Misią i tą wielką, ciężką prawą dłonią, którą próbował ukrywać pod egzemplarzem „Życia Kolskiego”. Rano spocony doręczyciel wręczył mu gazetę ze słowami „Fakty i ciekawości dla pana”, ale tym razem Krystian nie zabrał jej do pokoju, nie zapalił papierosa i nie zaczął czytać. Odłożył nowy numer na stół kuchenny i dalej wędrował pomiędzy pomieszczeniami, przystawał raz po raz przy oknie, zapatrzony w jakieś drzewo albo punkt nad Toruńską. Czekał na ruch świata – pukanie do drzwi, wołanie Reginy,

nadejście Leokadii albo cokolwiek, co wymagałoby od niego reakcji – ale świat uparcie pozostawał beczynny.

Kraina Tysiąca Jezior. Nie pamiętano, kiedy kolskie boisko otrzymało tę nazwę ani kto ją wymyślił. Po deszczu, nawet niezbyt obfitym, arena wydarzeń sportowych zmieniała się w najeżoną pułapkami mozaikę dziur, kałuż i błota, i tylko na brzegach, z dala od bramek, pozostawały dwa wąskie pasy trawy, którą zarządcy obiektu pieczołowicie pielęgowali. Niezależnie od ich starań Kraina Tysiąca Jezior wciąż zasługiwała na swoją nazwę, a drużyny kolskie nieraz zmuszone były do zwracania gościom kosztów podróży, ponieważ nie dało się rozegrać u nich meczu.

Tego dnia, na skutek ostatnich upałów, powierzchnia boiska pozostawała imponująco zwarta i twarda, a zawodnicy przechadzali się po niej z pozorną swobodą, jakby spacerowali po zamrzniętym stawie, wobec którego nie sposób żywić nadziei, że pozostanie zamrznięty przez dłuższy czas.

Dzierzbowie usiedli w trzecim rzędzie, nieco z prawej, za parą starszusków w kapeluszach i obok samotnej, podekscytowanej kobiety w eleganckiej sukni, zapewne matki jednego z grających. Krystian położył sobie na udzie rozjątrzoną dłoń, nakrył ją gazetą i przymknął oczy. Wcześniej wyobrażał sobie, jak będzie się czuł na stadionie, żyjąc intensywnie i kolorowo, z dala od swoich myśli, ale kiedy ta chwila nadeszła, miał wrażenie, że jest do niej przyczepiony na siłę.

W turnieju o mistrzostwo Koła brały udział trzy lokalne drużyny: Amatorzy, Gwiazda i Olimpja. Zawody prowadził jak zwykle profesor Matusiak, aktywny, opalony i opleciony żyłami jak bluszczem człowiek, który nie miał w sobie zgody na upływ czasu. Teraz tłumaczył coś spokojnie kapitanom Gwiazdy i Olimpji, co chwilę unosząc palec dla zwrócenia ich uwagi na jakieś słowo, a potem rozpoczął mecz przeciągłym gwizdem. Gwiazda, która dzięki losowaniu miała możliwość wyboru strony boiska lub rozpoczęcia gry, ruszyła w symetrycznym rozproszeniu ku bramce rywali.

Krystian nie przyglądał się temu. Patrzył na przeciwległe trybuny, gęsto wypełnione głowami, na ławki z graczami rezerwy i na samo boisko. Białe linie boczne, które prawdopodobnie kilka dni wcześniej odnowiono wapnem, znikwały gdzieś w fałdach terenu, wciągnięte pod ziemię w czasie krótkich nocnych opadów i unieruchomione tam przez zaschnięte błoto. W narożnych punktach boiska tkwiły półtorametrowe chorągiewki, nieruchome w to bezwietrzne popołudnie. Bramki kilka lat wcześniej zbudował sam Krystian: były sosnowe, pomalowane na biało i wycięte z belek, które kilkakrotnie moczył w wodzie, żeby jak najszybciej puściły soki. Wykonał je za darmo, zyskując wdzięczność profesora, wzmiankę w artykule poświęconym kolskim drużynom i bezterminowe zaproszenie na wszystkie wydarzenia sportowe.

To wszystko jest moje, moje, tylko moje. Rozumiesz? Moje, na zawsze moje.

Te słowa. Ktoś je przecież wypowiadał. Krystian odwrócił się gwałtownie, ale siedzieli za nim trzej mężczyźni pochłonięci oglądaniem gry. Niemożliwe, że robili sobie z niego żarty, bo głos, który słyszał, był wyraźnie kobiecy. Miał ochotę chwycić kogoś za ubranie i zapytać, co się dzieje.

Rozległa się wrzawa. Krystian skierował wzrok z powrotem ku boisku. Sędzia kazał właśnie bić rzut wolny i zawodnicy kotłowali się przed bramką; wyglądali przy tym zupełnie jak pszczoły. Jedna z tych pszczoł spróbowała wpakować piłkę głową do siatki, ale bramkarz Gwiazdy bezbłędnie zainterweniował i szybko skierował grę z dala od swego pola karnego.

Krystian zamknął oczy i znowu zwiesił głowę. Pomyślał o tamtej wzmiance w gazecie sprzed lat. Ukazywał się wtedy jeszcze czterostronicowy „Głos Koła”, pismo poważniejsze, skupione na polityce, nienapchane reklamami fabryk, zakładów i sklepów, jak „Życie Kolskie”, które pojawiło się kilka lat później. Zastanawiał się, czy to możliwe, że istniał gdzieś – może nawet na tych wypełnionych trybunach – ktoś, dla kogo tamta wzmianka miała znaczenie. Może nawet ktoś, kto czytał ją kilkakrotnie i dziwił się sobie, dlaczego to robi. Krystian nie wiedział, na ile zwyczajne jest to, że myśli nieustannie umykają mu w kierunku

kobiety przywiezionej na wozie, może każdy w pewnym momencie życia musi doświadczyć takiej fascynacji, która nie pozostawia w człowieku miejsca na nic innego.

Huknęło, kiedy niski blondyn z napadu Gwiazdy umieścił piłkę w bramce po efektownym biegu. Tłum podniósł się z ławek, pozostawiając Krystiana zanurzonego w łańcach wiwatujących ciał. Przez tych kilkadziesiąt sekund, ukryty pomiędzy ludźmi, czuł się zupełnie dobrze.

Podczas pięciominutowej przerwy komentowano przebieg gry, chwalono niskiego blondyna, padały prognozy wyniku. Druga połowa meczu przyniosła liczne zmiany przewagi, zaznaczone okrzykami widzów. Regina raz po raz zaciskała palce na nadgarstku Krystiana, dziewczynki piszczały. Kiedy w wyniku zamieszania nieopodal bramki Gwiazdy sędzia orzekł rzut karny, publiczność powoli ucichła, wyczekując strzału. Po krótkiej dyskusji przy ławce rezerwowych z miejsca podniósł się szczupły, ciemnowłosy chłopak o bladej karnacji i chodził teraz nerwowo to w jedną, to w drugą stronę. Krystian patrzył na niego wraz z innymi i narastało w nim wrażenie, że zna tego chłopca, że widział go bardzo niedawno.

Piłkarz ruszył ku ustawionej przez sędziego piłce. Szedł tak, jak iść może ku swojemu losowi skazaniec, który już się pogodził z perspektywą szubienicy. Wszyscy czekali i nawet Krystian odnalazł w sobie zainteresowanie tym, co ma się wydarzyć.

Chłopak wreszcie uderzył, mocno, z długiego rozpędu, a piłka pomknęła wysoko nad boiskiem, minęła wyciągnięte ręce bramkarza i odbiła się od poprzeczki. Toczyła się po murawie, a zawodnicy rzucili się w jej stronę: najszybszy był jeden z obrońców Gwiazdy, który silnym uderzeniem posłał ją daleko na przeciwną połowę.

Wykonawca rzutu karnego wciąż stał lekko pochylony, z rękoma rozsuniętymi na boki, znieruchomiał po oddaniu strzału. Dopiero teraz Krystian go rozpoznał – był to syn lekarza powiatowego Steina, Mikołaj.

Trybuny ożyły. Miłośnicy Gwiazdy wiwatowali z tą szczególną gwałtowną energią, która aplauz potrafi przekształcić w awanturę. Gra

trwała dalej, przelewając się pod okiem sędziego z jednej połowy na drugą i z powrotem, i tylko strzelec stał dalej, nieruchomy, naprzeciw wrogiej bramki.

Ból wzbijał się ponad to wszystko. Krystian zerknął na swoją prawą dłoń wystającą spod gazety, nabrzmiałą i ciemną. Poruszył palcami, a ukłucia wspięły się po ciele aż po bark. Nie wyobrażał sobie, jak ta ręka miałaby wrócić do poprzedniego stanu, jak miałaby z powrotem stać się częścią jego.

Ale skoro tak, to jak rozwinąć miałyby się to, co działo się teraz z jego ciałem? Czy do samego końca? Od dziecka otoczony śmiercią, nigdy nie wyobrażał sobie własnej, chyba nie powinno być natomiast tak, że zabije go odrobina drewna – drewna, któremu poświęcił taki kawał życia i które zawsze traktował z szacunkiem.

Ale może z drewnem jest jak z mięsem i ma znaczenie, czym było ono wcześniej, a skoro tak, to stolarstwo jest niczym innym jak zajmowaniem się zwłokami. Przyszło mu do głowy, że wszystko, co dzieje się z nim teraz, jest po prostu ceną za tę pracę.

Szmer przeszedł po trybunach. Krystian podniósł wzrok i spojrzał tam, gdzie inni – tam, gdzie Mikołaj Stein kopał w słupek bramki, wymachując ramionami i mówiąc coś do siebie. Kolega z drużyny, który znajdował się najbliżej, podbiegł do niego i chwycił go za ramię, ale ten go odtrącił i jął kopać z jeszcze większym impetem.

Profesor krzyczał coś ze środka boiska. Mikołaj kopnął w bramkę jeszcze kilka razy i rzucił się biegiem do przejścia w trybunach, przeskoczył parkan, po czym zniknął między drzewami.

Najstraszliwszym bydlęciem na świecie jest kormoran.

Oczywiście nie byle jaki kormoran, ale ten konkretny, ten z piórami wiecznie podniesionymi na łbie, o oczach w kolorze flegmy, z brązowym podłużnym otarciem na dziobie, ten, który potrafi stać z rozłożonymi skrzydłami dokładnie tak długo, ile potrzeba, żeby człowiek zdążył pognać

do chałupy po strzelbę, naładować ją i przebiec połowę drogi powrotnej, ale ani chwili dłużej, ten właśnie.

Leokadia wiedziała o tym i chciała, by wiedział o tym każdy, dlatego cierpliwie przekazywała swoje przestrogi wszystkim napotkanym osobom, i choć zwykle nie dostrzegała w ich oczach zrozumienia, wierzyła, że wreszcie ujrzą prawdę, rozumieją, jakie zagrożenie wraz z kormoranem spadało na świat z nieba.

Siedziała teraz na pieńku przed stawem i czekała na skrzydlate bydlę. Wypatrywała znajomej sylwetki rozpostartej na tle nieba, znajomego dzioba wycelowanego w nieznaną, ale z pewnością obrzydliwą przyszłość.

Świat Leokadii dzielił się na prawy i lewy staw. Hodowała w nich karpie, karasie i amury, które odławiała nocami z wtorku na środe i z piątku na sobotę, aby następnego dnia zawieźć je, świeże i błyszczące, na targ. Sprzedawały się same, nie musiała nic robić oprócz stania, inkasowania należności i wydawania reszty. Miała stałych klientów, podobno jej ryby cieszyły się w mieście pewną renomą. Leokadia na targu była zwykle około piątej, a wracała często już przed siódmą, bez ryb, z grubszą portmonetką i całym ogromnym dniem czekającym na nią w jej drewnianym domku. Czasami przywoziła też uczucie straty, którego z początku nie potrafiła zrozumieć, a które wiązało się z obawą, że jej karpie, karasie i amury trafią na talerze ludzi niepotrafiących ich dostatecznie docenić.

Sama nigdy nie jadła ryb, wydawało jej się to obrzydliwe – jakby miała zjeść swoje paznokcie lub włosy. Zresztą potrzebowała niewiele. Bochenek chleba od Walkowiaków wystarczał jej na cały tydzień, a na targu dostawała tyle warzyw, że czasem jej się psuły. Ludzie w ogóle bywali dla niej dobrzy. W oczach większości od lat pozostawała pośmiewiskiem, Szaloną Leokadią, a jednak wielu dostrzegało w niej coś, czego często nie widziała nawet ona sama, coś ludzkiego. Na przykład chłopak Baryłów, kiedy rodzice zostawiali go samego przy stoisku, odkrawał kawałek kielbasy z jednego z ogromnych pęt i przynosił jej, a potem słuchał jej opowieści i patrzył, jak jadła. Krystian kilka razy w roku odwiedzał ją tylko po to, żeby podarować jej miód: wielki słoć,

z którego cieszyła się bardziej, niż to okazywała. Pozwalała sobie na to dopiero po wyjściu Krystiana: zanurzała palec w słodkim płynie, wsuwała go do ust i zamykała oczy, tak szczęśliwa, że czasem płakała. Życie bywało przyjemne.

Ale był też on. Czarny, złowieszczy i straszny. Kormoran.

Jeden ptak potrafił zjeść rocznie sto siedemdziesiąt kilogramów ryb. Jej ryb. Nie po to dbała o swoje stawy i nie po to je zarybiała, żeby to podłe, zadowolone z siebie monstrum wyżerało jej karpie, karasie i amury. A walka była nierówna. Ptak pojawiał się znienacka, wolny od zwyczajów, przebiegły w swojej nieprzewidywalności. Nie było go, nie było, a potem nagle opadał z nieba i porywał łup. Czasami Leokadia nabierała pewności, że ma swoich szpiegów, którzy przekazują mu, co ona robi oraz gdzie jest. Patrzyła podejrzliwie na wałęsające się w okolicy koty i psy, na sroki siedzące na drzewach – być może to one. A może ludzie z miasta, ci, którzy do jej imienia uparcie doczepiali określenie „Szalona”.

Leokadia próbowała wielu metod. Czaiła się na kormorana w szuwarach przez okrągłą dobę. Naśladowała jego dźwięk, podobny do odgłosu, jaki wydaje szybko rozdzierana tkanina. Wykopała dla siebie dół, zamykany od góry i osłonięty gałęziami, z otworem na lufę. Strzelbę pomalowała na zielono, aby nie rzucała się w oczy, a na lufie zawiązała szmatkę z muślinu, dzięki czemu zawsze w chwili strzału wiedziała, skąd dokładnie wieje wiatr. Wabiła złowionymi rybami. Wycinała z desek podobizny ptaków, które następnie umieszczała w miejscu dogodnym do strzału.

Nieraz słyszała na targu albo na ulicy: „Leośka, przecież to jest niemożliwe, żeby to był wciąż jeden i ten sam ptak, ten sam, co tyle lat temu, rozumiesz, na pewno przylatują tu różne, tylko tobie się tak zdaje”. Ona jednak wiedziała swoje.

Miał siebie dość. Miał dość człowieka, w którego zmienił się tamtego dnia na polanie. Miał dość tego, że ciągle rósł w słabość. Że spośród

wszystkiego, co można w życiu uwielbiać, on, Mikołaj Stein, uwielbiał akurat gotować, smażyć, dusić, marynować, kisić, lepić i piec, robić te dziwne babskie rzeczy, o których nikomu nie mógł powiedzieć, i tylko pani Janka, która u nich usługiwała, wiedziała co nieco o jego sekretnym zainteresowaniu, co przyprawiało go o lęk, bo wiadomo, jakie gadatliwie są takie panie Janki.

Ojciec, gdyby się dowiedział, wymierzyłby mu prawdopodobnie najsurowszą karę: swoje rozczarowanie, które przyjęłoby formę kilkudniowego milczenia, a następnie zamieniło się w wymowne spojrzania rzucające mu znad stołu przez diabli wiedzę jak długo.

Miał dość.

Noga bolała go od kolana w dół, spuchnięta i twarda. Ciągnął ją za sobą, nie podnosząc głowy. Od rana do wieczora myśli szarpały go wciąż tylko w jedną stronę, w tamto puste i czarne miejsce, gdzie się okazał tchórzem, nędznym, zbrązowiałym ogryzkiem człowieka.

Wszedł na most.

Ludzi nie było, większość mieszkańców dalej przebywała w Krainie Tysiąca Jezior i oglądała turniej. Diabelski rzut karny – nawet to mu nie wyszło. Mikołaj nie wiedział nawet, czy jego Olimpja zwyciężyła, ale teraz było to już nieważne, teraz należało zebrać resztkę siebie do kupy. Cień szedł przed nim, przechylony w prawo, wskazując balustradę. Most był całkiem pusty, gotowy, żeby go przyjąć, ukoić.

Tak, teraz musi się udać. Teraz nie ma już wyjścia, teraz, kiedy się z siebie zrobiło głupca na boisku, kiedy się przed całym Kołem pokazało, że się ma słabą głowę, teraz nie ma już wyjścia.

Przekroczył balustradę.

Po drugiej stronie, bliżej śmierci, działo się z nim coś mętnego, czego nie rozumiał. Jakby z głębin w nim samym wypływał drugi Mikołaj, przerażony i uparcie trzymający się życia, bo wszystko nagle zaczynało mieć sens, a każda drobna rzecz, której wcześniej nie dostrzegał, rostała przed nim w coś ważnego, pięknego.

Ale wiedział już, że to tylko złudzenie, tani teatr wystawiany przed nim przez jego słabą głowę. Kiedy jest się tchórzem, drobne rzeczy, tak samo

jak te wielkie, nie mają znaczenia.

Panowie, ja tylko. Panowie, ja tylko tak...

I jeszcze te słowa. No dobrze, a więc może na trzy. Pomyślał, że aby go stworzyć, potrzeba było dwoje ludzi, a żeby go skończyć, wystarczy tylko jeden, on sam. No dobrze.

Raz.

Teraz się uda, poczuł, że teraz naprawdę się uda.

Dwa.

I nagle kroki z daleka.

– Kurwa, kurwa, kurwa – wyszeptał. Przecież to jest niemożliwe, żeby wszystko tak z niego drwiło.

Odwrócił głowę, spodziewając się posterunkowego Droszcza, a może nawet ojca. Zmrużył oczy, wpatrzony w rosną sylwetkę. Po moście, coraz bliżej niego, kroczył olbrzym z psem.

Wchodzisz do miasta i możesz być każdym.

Na przykład półgłówkiem, żartem natury, rozrośniętym ciałem z pustą głową, kimś, kogo można omijać, szturchać, wyśmiewać, nawet okraść i pobić.

Dla innych jesteś „łódzkim”, przestępcą. Opuściwszy jakiś zamaryły zakład pracy przemysłowej, pozbawiony podstawy egzystencji, zamieszkujesz pewnie czasowo na wsi, gdzie prowadzisz bezwzględną walkę o byt. Kradniesz towar sklepowy w miasteczkach i sprzedajesz po niskiej cenie jako szmuglowany z Łodzi. Prowadząc wędrowny handel, jak nic łakomie omiatasz wzrokiem wnętrza wiejskich chałup, aby później wykorzystać to w jakiś zbrodniczy sposób. Trzeba na ciebie uważać.

Są też tacy, którzy ze względu na twój wzrost uważają cię za potomka gigantów, biblijnego olbrzyma, przynoszącego być może zapowiedź klęsk. Mógłbyś być każdym z nich, ale w tym szczególnym mieście, po wszystkim, co się stało, będziesz zapewne kimś jeszcze innym.

Tak sobie powtarzał.

Adam Wrzos wszedł do Koła drogą od strony Kłodawy, w przepoczonej koszuli, z głową obwiązaną chustą, z Bogiem drepczącym spokojnie obok niego. Obszerna torba zwisała mu z ramienia, lewy but kłapał przy każdym kroku.

Jakieś dzieci bawiły się w chaszczach. Upał tańczył nad ziemią. Adam Wrzos szedł powoli, nie rozglądając się. Wiedział, dokąd idzie i po co, i jaką cenę przyjdzie mu pewnie za to zapłacić.

Wcale nie zamierzał pojawiać się w Kole. Planował przeczekać w lesie pierwszą falę rozpacz, a potem stopniowo oddalać się od tego miasta, próbować zapominać. Ale wydarzyło się coś, co sprawiło, że porzucił swoje plany i postanowił raz jeszcze poddać się woli czarnego, pulsującego chaosu, który kierował jego życiem. Przyszedł do miasta z jasnym celem i zamierzał wykonać to, o co go poproszono, a potem odejść – jeśli wciąż będzie mógł.

Niczego się już nie bał, tego również. Zresztą zorientował się, że na samą myśl o tym, co ma zrobić, czuł dziwną, groźną ulgę. Jakby nadmiar uczuć, które w sobie nosił, miał wreszcie znaleźć ujście. Poza tym od pewnego czasu był przekonany, że w jego życiu wydarzyło się już wystarczająco wiele.

Urodził się w 1896 roku w przestronnej stodole we wsi Zapomnianowo na Kujawach. Przez całe dzieciństwo nazwa ta wydawała mu się zupełnie zwyczajna, dopiero później, gdy zaczął poznawać znaczenie słów, odkrył, że przyszedł na świat w miejscu, które nadawało jego życiorysowi silną cechę. Zapomnianowo leżało na południowy wschód od Torunia, pomiędzy miejscowościami o niepozornych nazwach – Zosinem, Siutkowem i Janowicami – dokładnie pięć kilometrów i dwieście sześćdziesiąt metrów od brzegu zakrzywionej Wisły.

O ojcu Adam wiedział niedużo. Głównie to, że było w nim dokładnie tyle męczyzny, ile potrzeba na stworzenie syna, ale ani odrobiny więcej: uciekł na dźwięk słów „muszę ci coś powiedzieć”. Wypowiadająca je matka Adama była służącą w największym w okolicy, sześćdziesięciohektarowym gospodarstwie, ulubienicą Pana

i powierniczką Pani, osobą zaufaną, pracowitą, witającą kolejne dni z pogodnym uporem.

Kiedy z powodu brzucha w końcu wyrzucono ją ze służby, wałęsała się od domu do domu, wypytyując o zajęcie, i często je otrzymywała. Gotowała, prała, doiła i oprzątała, a przy tym regularnie strącała z siebie wzrok i dłonie szeroko uśmiechniętych gospodarzy.

Pierwsze lata życia chłopiec spędzał w ruchu, otoczony widokami, które towarzyszyły mu czasem tydzień, czasem miesiąc, ale wkrótce zmieniały się w inne widoki, równie nietrwale. Z tamtego czasu zapamiętał niewiele: pojedyncze obrazki, zapachy i tę wieczną wędrówkę z mamą, która udawała, że to wszystko jest jak najbardziej w porządku.

Po jej śmierci wędrował dalej, aż trafił do klasztoru ojców franciszkanów w Koninie, gdzie pozwolono mu pomagać przy pracy w ogrodzie. Poznał świat warzyw, owoców, owadów i bezinteresowność kilku starych zakonników. Dotychczas dobra była dla niego tylko mama, właściwie nikt inny, ale ci powolni mężczyźni o surowych twarzach traktowali go zupełnie inaczej niż ludzie, których spotykał do tej pory. Kiedy coś mówił, słuchali go, a kiedy sami mówili, patrzyli mu w oczy jak prawdziwemu człowiekowi. Szybko przytył i urósł, ale jego ciało nie chciało się zatrzymać, rosło dalej, jakby ze strachu, że wszyscy je przeoczą, chciało być jak najbardziej widoczne.

A potem nagle przez wysokie ogrodzenie do ogrodu franciszkanów wślizgnęła się wojna światowa. Była cicha i tajemnicza, nie pozwalała spać, i też było jej coraz więcej.

Poszedł razem z kilkoma zakonnikami, nieświadomy, czym ona jest – wydawało mu się, że to może coś w rodzaju dużego targowiska. Miał wtedy osiemnaście lat i mierzył blisko dwa metry. Nagle zamiast roślin miał w dłoniach różaniec i zwitek śmierdzących bandaży. Zakonnicy udzielali umierającym ostatnich sakramentów, spowiadali ich, podawali komunię.

Adam miał wrażenie, że śni. Okryty czarnym płaszczem, z latarnią w ręku, chodził wśród konających i powtarzał im fragmenty modlitw, których nauczył się na pamięć, słuchając franciszkanów podczas setek

mszy. Udawał kogoś, kim nie był, a ci ludzie, umierając, chwyтали go za ręce, wczepiali się w jego płaszcz i żądali, by mówił, przysięgał, obiecywał. Mówił więc, przysięgał i obiecywał, co tylko chcieli, a potem wracał na swoje łóżko w pobliskiej opuszczonej zakrystii i długo patrzył w ciemność.

Wojna nigdy się nie skończyła. Po kilku latach schowała się tylko gdzieś, na trochę, a może na dłużej, nie sposób było stwierdzić, Adam wiedział jednak, że świat jest niewyobrażalnie kruchy i w każdej chwili może się rozpaść człowiekowi pod stopami – nagle będziesz znowu stał w deszczu, smagany wiatrem po twarzy, z latarnią, a umierający będą cię ciągnąć za ręce. Po świetle należało stąpać ostrożnie, nie drażnić go i ciągle uważać.

Zamieszkał w lesie, zamierzając resztę życia spędzić z dala od życia. Chciał słuchać ptaków, nocować na ziemi, jeść to, co znajdzie lub uda mu się zabić. Postanowił też, że nie będzie się sprzeciwiał woli lasu: jeśli las uzna, że zimą trzeba umrzeć z głodu lub chłodu, to Adam Wrzos umrze. Jeśli las pozwoli mu przeżyć, będzie trwał, wdzięczny i spokojny, do kolejnej zimy.

Pierwsze dwa lata minęły szybko: kładł się spać, a kiedy wstawał, była już inna pora roku. Miał co jeść, a kiedy nie miał, kradł kury z dużych gospodarstw w okolicy. Dwa razy ciężko zachorował, ale wrócił do zdrowia.

Któregoś dnia spotkał w lesie długowłosego człowieka w łachmanach. Mężczyzna bez przerwy coś mówił: do siebie, do niego i w przestrzeń. Szarpał się przy tym za uszy, co jakiś czas wybuchając śmiechem. Nawet jeśli nie chcesz, powtarzał takim głosem, jakby powierzał Adamowi swój największy sekret, Bóg przyjdzie do ciebie, bo on przychodzi do wszystkich. Może nawet dziś? Może dziś w nocy? Trza być bardzo uważnym.

Adam dosyć często spotykał takich ludzi, obłąkanych z rozpacz albo z innych przyczyn. Podejrzewał, że stworzyła ich wojna. Ale tym razem było inaczej, tym razem w nocy usłyszał dziwny szelest. Coś skradało się w krzakach, szło w jego stronę, szybko, głośno i pewnie. Usiadł więc

i czekał na pojawienie się Boga, wypatrując jego kształtu wśród drzew. Zastanawiał się, jak będzie wyglądał. Wątpił, by miał to być starzec z brodą, jak go przedstawiali w opowieściach franciszkanie. Zakładał, że jeśli jest miłosierny, wyrozumiały i mądry, to musi być kobietą, taką, co ma pięćdziesiąt lat lub starszą.

Bóg długo się nie pokazywał, tylko szeleścił, łamał gałęzie i krążył. Wreszcie z krzaków wyłoniło się szczenie. Szare, ruchliwe i chyba przelęknione ognia, szło przed siebie z pewnością i niezdarkością czegoś, co żyje od niedawna. Adam pochylił się i patrzył uważnie.

– Bóg?

Bóg nie odpowiedział. Obiegł ognisko, zaszczekał. Adam patrzył na niego jeszcze przez jakiś czas, a potem wzruszył ramionami, nakrył się kocem i wrócił do spania.

Od tamtej pory kudłaty, piszczący Bóg prawie go nie opuszczał. Budził go w nocy, ogryzał po nim kości, dreptał za nim, grzęznąąc w ściółce, sypiał wciśnięty w jego brzuch. Adam przywykł do jego obecności, tak jak przywykał do innych rzeczy.

Czas mijał, Bóg rósł, a Adam spędzał kolejne dni coraz głębiej w sobie. Od czasu wojny ani razu nie widział swojego odbicia w lustrze. Nauczył się rozróżniać zwierzęta po odgłosach, nocne niebo znał jak niegdyś twarz mamy. Życie okazało się lepsze, niż mógł się spodziewać ktoś urodzony w Zapomnianowie, kto tułał się przez pierwsze kilkanaście lat życia, a potem okłamywał konających na wojnie, dlatego Adam Wrzos zamierzał nic w nim już nigdy nie zmieniać.

Regina lubiła pracować, zawsze mieć coś w dłoniach. Uważała, że człowiek, który się najpierw nie zmęczy, nie potrafi rozpoznać radości, jaką daje wieczorna chwila w fotelu. Teraz, po powrocie z turnieju piłkarskiego, mogłaby usiąść, ale postanowiła, że to jeszcze zbyt wcześnie, zabrała się więc do przygotowywania octu z gruszek. Przekrawała przejrzałe owoce, czyściła je z robaków, płukała, a potem siekała w drobną kostkę.

Na stole za jej plecami, w samym rogu, leżały złożone listy. Regina należała do Związku Kobiet Polskich, działającego w Kole od czterech miesięcy i utworzonego po części dzięki jej staraniom. Celem związku było między innymi uświadamianie kobiet w sprawach politycznych i przygotowanie ich do kampanii wyborczej, poza tym na zebraniach poruszano kwestie budowy czytelnicy, walki z gruźlicą czy właściwego wychowania młodzieży, a ostatnio Regina nawiązała stosunki z Kołem Ziemianek, planując rozszerzyć działalność również na wieś. Wszystko to wymagało odbierania i nadawania wielkiej liczby listów, które z czasem przestały się mieścić w wyznaczonych do tego miejscach i anektowały najróżniejsze zakamarki domu: leżały na szafie, parapecie i półce z przyprawami, w zagłębieniach foteli, pod poduszką. Jeden trafił do wiaderka z paszą dla kur, a kilka padło ofiarą Williama, który porwał je i nigdy ich nie zwrócił. Regina lubiła to przyjmowanie i wysyłanie słów, ten niewidzialny handel wiadomościami z ludźmi przebywającymi daleko od niej. Miała dzięki temu wrażenie, że mieszka w kilku miejscach naraz i żyje wieloma żywotami.

Wyplukowała ostatnie gruszki. Dziewczynki rozmawiały przed domem o obejrzanym turnieju, a Krystian znów był u pszczoł. Myślała o nim, o jego dłoni i o jego zadumaniu, w którym tkwił od pewnego czasu. Jeszcze przed kilkoma dniami uważała, że nie musi się martwić, teraz traciła tę pewność. Zapominał, co mówiła do niego parę minut wcześniej, krzywo zapinał koszulę, źle sypiał i przestał patrzeć jej w twarz.

Krystian był jej drugim i pół mężczyzną. Pierwszy, z którym się widywała, miał na imię Zygmunt i patrzył na nią maślanym wzrokiem z ławki obok na każdej mszy świętej przez co najmniej półtora roku, postanowiła więc, że spróbuje go w sobie rozkochać, co jej się zdumiewająco szybko udało, z tym że sama przy okazji straciła dla niego głowę. Na strychu w stodole u jego rodziców okazał się czuły i delikatny, kobiecy niemal, a ona sądziła, że wspólnie się zestarzeją. Ale potem obojgu im się jakoś odwidziało. Niemal równo rok po tamtym doświadczeniu spotkała Stacha, gwałtownego, radosnego, pełnego pomysłów, gotowego na przyszłość i bardzo nią zaintrygowanego. Podobał

się jej w tym swoim wiecznym zadowoleniu ze świata, a ona podobała mu się tak jak większość kobiet. Któregoś razu po zabawie poszli na pole, a Stach wziął się do rzeczy. Był sprawny, zaznajomiony z zakamarkami kobiecego ciała, pewny swoich ruchów i kiedy leżała pod nim, przyszło jej do głowy, że takich mężczyzn jest chyba strasznie mało, ale zanim zdążyła wciągnąć pierwszy haust powietrza pod jego ciężarem, a on zdążył znaleźć się w jej wnętrzu bardziej niż tylko w połowie, coś zaszeleściło w krzakach. Zerwali się oboje – ona pewna, że to jej matka. Okazało się, że w krzakach był bażant, bardziej przerażony niż oni. Mimo to w jakimś niezrozumiałym dla Reginy zażenowaniu nigdy już nie wrócili do tego, co się rozpoczęło, a niedługo później Stach się ożenił i właściwie nie wiedziała, jak liczyć tamtą niezręczną sytuację – liczyła więc Stacha jako pół.

Krystian był z tych wszystkich dwóch i pół mężczyzn zdecydowanie najbardziej interesujący. Drażony jakąś tajemnicą, łatwo wpadał w zamyślenie, rozmawiał z pszczołami i potrafił płakać w obecności Reginy. Drewno traktował tak, jak można traktować ukochane zwierzę.

Rozumiał ją lepiej niż inni mężczyźni, lepiej niż wiele kobiet. Miał ciemniejsze strony, te niespodziewane ucieczki w melancholię, te poranki ze wzrokiem długo wędrującym za oknem, ale być może to przyciągało ją do niego jeszcze bardziej. Słabi mężczyźni mieli nad silnymi tę jedną przewagę, że nie próbowali przejaskrawiać swoich cech i widać ich było wyraźniej.

Włożyła oczyszczone kawałki gruszek do beczki, zalała je ukropem i przykryła czystą ścierką. Musiała teraz odczekać trzy dni. Po tym czasie precedzi wszystko, wyrzuci wymoczone owoce i doda nowe, zalewając je tym samym kwasem, zagrzany na ogniu. Powtórzy tę czynność kilka razy, aż ocet będzie dobry i mocny, potem odstawi go na trzy, może cztery tygodnie i wreszcie rozleje do butelek, na każdy litr dodając dwie łyżki cukru.

Ale na dzisiaj koniec. Podeszła do okna, oparła zmęczone dłonie o drewniany parapet. Za sadem znajdowała się pasieka, gdzie Krystian spędzał coraz więcej czasu, choć było już po lipcowym miodobraniu.

Regina nie zamierzała chodzić tam do niego, przeszkadzać mu w tym, co się tam z nim działo, a jednocześnie czuła, że z każdą spędzoną tam godziną jej mąż oddala się od tego, kim był dotychczas.

Bała się takich zmian i bała się nowego jego. W świecie, w którym żyła, wszystko było znajome i przewidywalne, Krystian, nawet z całym swoim wewnętrznym światem, również. Z tego, w jaki sposób oddychał, wstając z łóżka, odczytywała jego aktualny nastrój. Bawiła się w myślach w zgadywanie końcówek wypowiedzianych przez niego zdań. Jego nagie ciało przez lata stało się prawie jej ciałem. Bywało nawet, że kiedy znajdowała na sobie jego powolne ręce, wydawało jej się to niewłaściwe – jakby się zorientować, że dotyka cię brat. Miała wrażenie, że pod tym względem byłaby lepszą żoną dla mężczyzn, którzy nie byli jej mężami – dla tych obcych, nieznanomych ciał, które potrafią w człowieku coś budzić.

Krystian lubił mówić o swoim dzieciństwie i robił to w taki sposób, jakby opowiadał baśń. Wuj Lolek i młodzi rodzice, tacy ciekawi, tak różni od tych, którzy mieszkali teraz na poddaszu. Mama Krystiana była kiedyś jedną z tych kobiet, które w ciągu dnia nie mają czasu, by się w spokoju wysikać, a jednocześnie wydają się nie wyobrażać sobie szczęśliwszego życia. Ojciec Krystiana uprawiał magię stolarstwa, wyczyniając z drewnem takie rzeczy, że ludzie z okolicy przychodzili do jego zakładu tylko po to, by popatrzeć na niego przy pracy. Choć niski, łysy, krępy i nade wszystko męski, roztaczał wokół siebie tę szczególną aurę właściwą przeważnie kobietom: poruszał się z gracją, potrafił powiedzieć na głos „kocham”, a długie, grube rzęsy nadawały jego twarzy wrażenie ulotności.

Dla syna miał wiedzę, reguły, zakazy. Otworzył przed nim tajemnicze królestwo drewna, na każdym kroku podkreślając, jak ważne jest umieć się po nim odpowiednio poruszać. Zasady były dla niego schronieniem przed nieprzewidywalnością świata. Być może dlatego tak wielkie połączenie niezrozumienia leżały pomiędzy nim a jego bratem, który pierzchał, gdy zanosilo się na jakiegokolwiek ograniczenia. Iwo żywił wieczny żal do Lolka, że ten z uśmiechem marnuje swoje życie. Kłócili się głośno, całymi

godzinami. Czasami po takim sporze nie zamieniali słowa przez miesiąc, żyjąc pod jednym dachem.

Po śmierci brata Iwo ściał wielki orzech rosnący na podwórku, a potem zrobił z niego trumnę. Zostawił przed domem pień z korzeniami i siadał na nim codziennie przez kolejnych kilka miesięcy, zacięty, milczący. Smutek po niespodziewanej stracie przybrał formę choroby. Iwo gorączkował i chudł, nocami chodził po polach. Wreszcie, po niespełna półroczu, otrząsnął się z melancholii, ale nigdy już nie wrócił do pracy. Ostatnim, co wykonał z drewna, była trumna dla brata.

Na dzisiejszym turnieju Krystian chyba ani razu nie zainteresował się grą, przez większość czasu przygarbiony, z głową nisko, jakby chciał się zwinąć w kulkę. Regina kilka razy próbowała wydobyć go z tego zamyślenia pytaniami o szczegóły tego czy innego zagrania, które, jak sądziła, mógł znać, ale ostatecznie dała spokój. Podniósł wzrok tylko na widok tamtego chłopca, który, wściekły na siebie po oddaniu niefortunnego strzału, skopał bramkę, a potem uciekł z boiska. Krystian obserwował to z jakąś czarną rezygnacją, aż w końcu pochylił się z powrotem i do końca turnieju pozostał nieobecny – nie zwrócił nawet uwagi na pojawienie się tamtego niepokojącego olbrzymia.

Regina zobaczyła go, kiedy siedząca w pierwszym rzędzie kobieta wskazała go koleżance. Był najwyższym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziała, musiał ważyć tyle, ile dwóch przeciętnych mężczyzn. Głowę obwiązaną miał chustą, poruszał się powoli i pewnie. Obok niego kroczył wilk, a może pies, spokojny wśród tłumu. Ludzie siedzący najbliżej pokazywali ich sobie nawzajem i fala zainteresowania przesuwiała się po trybunach coraz dalej, aż w końcu wszyscy patrzyli już tylko na niego, nie na grę.

Olbrzym stał bez ruchu i przyglądał się twarzom wokół niego. Odezwał się do jakiegoś mężczyzny, a potem jeszcze do pary wychodzącej ze stadionu i do jednego z rezerwowych graczy, który rozgrzewał mięśnie przy linii bocznej. Wszyscy, wysłuchawszy go, pokręcili przecząco głowami.

Mecz skończył się niedługo później, a olbrzym zgiął w gąszczu kapeluszy, parasoli i dzieci noszonych na ojcowskich ramionach. Opuuszczając stadion, Regina usiłowała go wypatrzyć, ale Pola i Misia ciągnęły ją za ręce, na skraju placu, obezwładnione potrzebą natychmiastowego powrotu do domu. Szli w coraz rzadszym tłumie, pod płachtą burzowych chmur zawieszonych nisko nad miastem.

– Jezu, Krystek, widziałeś go? – zapytała wreszcie, kiedy skręcili w ulicę Toruńską, ale on tylko uniósł głowę, zamyślony, i spytał:

– Kogo?

Mikołaj Stein stał na moście, a olbrzym szedł w jego stronę. Spocony na twarzy, brudne włosy wypadające spod chusty, którą owinął głowę. Nie zwracał uwagi na postać za balustradą, nie spojrział nawet w tamtą stronę, tylko stawiał krok za krokiem w spokojnym, jednostajnym rytmie. Sprawiał wrażenie, jakby wyruszył dawno temu i jakby nic nie mogło mu w jego marszu przeszkodzić. Mijając Mikołaja, odezwał się niespodziewanie:

– Na pana miejscu... ja bym jednak stawiał temu czoła.

Mikołaj patrzył dalej, jak ten mężczyzna przechodzi obok, prowadząc przy nodze psa, ze wzrokiem wysuniętym gdzieś daleko przed siebie. Zanim to przemyślał, odezwał się do jego szerokich pleców:

– Ale to jest tylko...

Olbrzym zwolnił i słuchał. Mikołaj ścisnął balustradę.

– ...smutek.

Wtedy mężczyzna odwrócił głowę. Z obojętnością spoglądał na Mikołaja, jakby zdumiony, że coś zdołało go zainteresować. Zawrócił i zrobił kilka kroków w jego stronę: był tak blisko, że gdyby chciał, mógłby zepchnąć Mikołaja z mostu. Odezwał się cicho, prawie szeptem:

– Mając do wyboru smutek albo nic, pan wybiera nic?

Mikołaj nie miał na to żadnej odpowiedzi. Stał z dłońmi na balustradzie i czekał, ale mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał powiedzieć już nic więcej.

Poczuł, że będzie płakał. Miał ochotę przytulić się do tego ogromnego ciała, poszukać w tych ramionach spokoju. Oddychał szybko, i żeby się nie rozlecieć, zapytał:

– Kim pan jest?

Mężczyzna uśmiechnął się blado, ale jego twarz szybko powróciła do poprzedniego wyrazu. Pochylił się i podrapał psa po głowie, a potem przesunął dłonią po jego grzbiecie i poklepał mu nogę wyuczonym ruchem. Mikołaj sądził, że zawróci i nic już nie powie, ale odparł:

– Ostatnio nazywali mnie Diabłem.

Zamknął oczy, jakby chciał lepiej poczuć słońce, które świeciło mu w twarz. Na moście wciąż nie było nikogo poza nimi dwoma, z oddali nadpływały w ich stronę burzowe chmury, pierwsze od dawna. Wreszcie mężczyzna odwrócił się i ruszył dalej powolnym, upartym krokiem człowieka pewnego swoich zamiarów.

Woda ochlapывała filary mostu. Wiatr obiecywał zmianę pogody. Mikołaj przyglądał się Diabłu prowadzącemu psa, dopóki nie zniknęli za budynkami przy ulicy Żelaznej, a potem przeskoczył balustradę i wrócił do domu.

Nie przywitawszy się z ojcem, wszedł do swojego pokoju i stanął przy oknie. Stukał palcami w parapet, przygryzał dolną wargę. Zanim jeszcze zszedł z mostu, zrozumiał, że dano mu szansę, być może ostatnią, i musi ją wykorzystać. Wypędzi Diabła z miasta, a potem będzie mógł żyć swoim życiem, jak dawniej.

Życie Leokadii dzieliło się na trzy okresy – przed Lolkiem, z Lolkiem i po Lolku – z których dwa krańcowe były do niczego.

Znała go od zawsze, tak jak zna się ludzi mieszkających tuż obok. I od zawsze ją wkurwiał. Szybki, wesoły, uważał najwyraźniej, że świat stworzono dla jego uciechy. Powiedział jej kiedyś, że bawił się wszystkim i ze wszystkimi, czego trochę nie rozumiała i co trochę ją przerażało. Leokadia – która była z kolei zdania, że powołano ją na świat, by zrobić jej na złość – nie mogła znieść tej jego wielkiej, nieposkromionej ochoty na

życie, i gdy tylko miała okazję, okazywała mu wyższość albo brak zainteresowania. Z prawdziwą rozpaczą zorientowała się którejś nocy, że poświęcając Lolkowi tyle uwagi, niepostrzeżenie się w nim zakochała. Nienawidziła go za to jeszcze bardziej i nękały ją dwa sprzeczne pragnienia: żeby Lolek wziął ją kiedyś w ramiona i żeby Lolkowi kiedyś te ramiona połamać.

Bała się odrzucenia, ale znacznie bardziej tego, że Lolek wyśmiej ją i te jej pragnienia, dlatego kiedy po kilku miesiącach ostrożnego badania jego zachowań i reakcji uznała, że nie wolno jej mieć żadnych nadziei, postanowiła te nadzieje raz na zawsze zrujnować. Wybrała się do niego i stojąc w progu, rzeczowo, z pogardą dla własnych słów, opowiedziała mu o swoich uczuciach, zaznaczając kilkakrotnie, że przyszła wyłącznie dlatego, by sobie tym chłodnym wyznaniem zamknąć jakąkolwiek drogę do niego i w ten sposób zachować godność, która na jej liście najważniejszych rzeczy w życiu zajmowała miejsce drugie, po Lolku.

Lolek wysłuchał jej zwierzeń spokojnie i bez uśmiechu, a kiedy odwróciła się do niego plecami, zawołał ją nawet, na co była dobrze przygotowana i na co nie zareagowała – a później było nic.

Nic, wielkie nic.

Rozpościerało się od poduszki po okno, leżało na języku, szurało w nocy i tkwiło za oknem. Na trawie, na powierzchni stawów, w całym Kole, po odległy horyzont. Czekają pod kołdrą i w wychodku, na łące i pod powiekami. Słyszać je było w każdej z czterech sylab jej imienia.

Ubierając się rano, Leokadia potrafiła zastygnać, powstrzymywana przed wykonaniem dalszych ruchów przekonaniem, że gdy to uczyni, nie wydarzy się już nic. Nie znajdowała powodu, dla którego miałyby raz jeszcze pójść na targ, umyć włosy albo wsunąć do ust łyżkę z rosółem.

Aż powoli to ogromne nic zaczęło nieznacznie rzednąć. Jak znoszona koszula, która nagle w paru miejscach okazuje się lekko przezroczysta. Wokół Leokadii pojawiło się kilka zakamarków, gdzie spod wszechobecnej pustki prześwitywały fragmenty świata. Ciepło kulawego kota Gamonii, który czasami witał ją rano przed domem. Smak miodu, który przynosił Krystian. Wieczne słońce na twarzy.

Zaczęła powoli radzić sobie z brakiem Lolka, a wtedy on przyszedł do niej i stojąc w progu, chłodnym głosem zrelacjonował jej swoje uczucia, które, jak mu się wydawało, zaczęły się w nim pojawiać tamtego dnia, kiedy ona przyszła do niego. Mówił bez emocji, ale widziała, jak palcem wskazującym prawej ręki zdrapuje sobie skórę na kciuku do krwi.

Tak się zaczął ich czas, najpiękniejszy miesiąc w życiu Leokadii Małeckiej. Odkryła wtedy, ile rzeczy może sprawiać człowiekowi przyjemność: słowa i brak słów, jej własne ciało i drugie ciało, zapach skóry, zapach potu, zapach włosów, beczynność, upływ czasu, głos, cisza, dźwięk deszczu za oknem. Jej Lolek okazał się inny niż ten, którego dotąd знаła. Poświęcał jej całą uwagę, jakby poza granicami jej ciała kończyło się dla niego wszystko, co istotne. Chciał słuchać każdego wypowiedzanego przez nią zdania. Chciał znać jej myśli, jej przeszłość, jej lęki i marzenia. Wydawało się, że świat będzie taki już zawsze, i był, aż do tamtego popołudnia, kiedy w wyniku nieporozumienia Lolek poszedł na most i skoczył.

Przez miasto pachnące jeszcze burzą, pod słońcem zajmującym znów całe niebo, z włosami uczesanymi naprędce i bólem prawie po bark szedł po raz kolejny do Steina. Nieprzespana noc została mu pod powiekami i w kościach. Od rana głos Reginy jak tykanie zegara: idź, idź, idź.

W poczekalni myślał tylko o tym, by wyjść, i zastanawiał się, co wtedy powie Reginie, aż w końcu drzwi się otworzyły, no, to pan, zapraszam, zapraszam – i już nie było wyjścia.

Stein usiadł obok niego przy biurku, pochylił się i długo przyglądał dłoni, a Krystianowi wydawało się, że widzi na jego twarzy tłumioną fascynację. Lekarz wyjął z szuflady chustkę, położył ją sobie na kolanie.

– Dobrze, to teraz proszę odliczyć od dziesięciu do jednego. No? Dziesięć, dziewięć...

Krystian pokiwał głową i liczył, zastanawiając się, czemu to ma służyć:

– Osiem, siedem, sześć...

Przy pięciu Stein chwycił go znienacka za dłoń i ścisnął opuchliznę, nakrywając ją równocześnie chustką. Rozległ się dźwięk podobny do tego, jaki wydaje ugryzione jabłko. Ból oślepił Krystiana, ciało mu stężało, a potem nagle wszystko zrobiło się w nim miękkie pod wpływem nadciągającej skądś ulgi. Gęsta ropa sączyła się na chusteczkę razem z krwią, a Stein grzebał w niej pęsetą i raz po raz naciskał opuchliznę.

– Jesteś, mały kurwiu.

Podniósł do światła pęsetę, w której tkwiła ciemna, długa na kilka milimetrów odrobina drewna. Krystian zamrugał parokrotnie, a gabinet, Stein i jego pęseta powoli wyostrzały się w porannym świetle.

– I to mnie próbowało zabić?

Stein przeniósł odrobinę drewna na białą kopertę leżącą na biurku i ostrożnie wytarł narzędzie chustką.

– Zabijają znacznie mniejsze rzeczy. Zwłaszcza jak się człowiek nie stosuje do poleceń lekarzy. A wyście nie robili okładów. Prawdę mówię?

Krystian przyglądał się mańkiemu fragmentowi deski, którą nieostrożnie chwycił tamtego dnia, kiedy przywieziono do niego Iwonę Graczyk. A przecież komórki, z których powstaje człowiek, są dużo, dużo mniejsze. Poczul nagle strach przed tymi wszystkimi niewidzialnymi procesami, których nie rozumiał. Tymczasem Stein wstał, obszedł biurko i usiadł na swoim miejscu.

– No? I co jeszcze?

Krystian spojrział na niego, potem na swoją dłoń i znowu na niego. Lekarz westchnął, zniecierpliwiony.

– Pan przecie cierpisz na chorobę nerwową.

Zabrał ze stołu brudną chustkę, zwinął ją i wrzucił z powrotem do szuflady. Z innej wyjął papierosy, poczęstował Krystiana i sam zapalił, zaciągnął się, z wyraźną ulgą spoglądając w sufit.

Krystian odłożył papierosa i podniósł ręce do głowy. Miał wrażenie, że ta głowa jest dla niego zbyt wielka, że wszystko jest dla niego zbyt wielkie. Zapytał, co właściwie miałby zrobić.

Stein gwałtownym ruchem pochylił się do przodu i odparł:

- Tańczyć, panie kochany. Tańczyć.

Siedzieli później i znowu palili. Krystian miał wrażenie, że od dawna nie było mu tak dobrze, i było mu przez to jednak trochę źle. Patrzył na niebo za oknem i wdychał głęboko dym. Opowiadał o przygotowywanej okiennicy, o ostatnim miodobraniu, o turnieju, na który wybrał się wczoraj z rodziną.

- A słyszał pan o tym olbrzymie?

Stein nie odwrócił głowy, zajęty obserwowaniem żaru na końcuce papierosa.

- O tym z psem?

- Tak.

- Zapamiętaj pan, będą z tego problemy.

Wydmuchał dym i wykrzywił twarz, dłubiąc językiem między zębami.

- Henryk Graczyk, wie pan, ten od gazety. On powiedział mi w tajemnicy... powiedział, że ktoś próbował rozkopać grób jego żony i że to na pewno ten obcy. Ten gigant. Podobnie ma dowody. Zapamiętaj pan, będą z tego problemy.

Iwo spał. Z głową odchyłoną do tyłu, z otwartymi ustami i z prawą stopą wysuniętą z kaptka do połowy, ze słońcem rozłożonym na kolanach, cichy, nieruchomy, wydając co jakiś czas długie westchnienie, które narastało głęboko w nim i brzmiało jak upuszczanie powietrza ze starej dętki.

Pod powiekami miał podwórze i dywan trocin, po którym szedł szybko w stronę brata, leżącego przy bramie z ciemną plamą na spodniach. Poderwał go z ziemi i pociągnął ku drzwiom domu, rozkołysany, przykucając co chwilę, poprawiając uchwyt. Nie potrafiłby powiedzieć, ile razy odgrywali ten taniec, on i Lolek, wahadłowo zmierzający ku drzwiom. Tym razem syczał bratu do ucha, pijaku, kurwiarzu, sam wstyd, na co Lolek, nie unosząc głowy, odparł zupełnie wyraźnie:

- Ja się już i tak nażyłem więcej, niż ty się nażyjesz kiedykolwiek.

Iwo wprowadził go do domu, upuścił bezwładnego na łóżko, wyszedł i stanął przed zakładem, zasapany: miał wtedy czterdzieści pięć lat. Teraz, siedemdziesięcioletni, obudził się tak jak zazwyczaj: spokojnie, ostrożnie przechodząc z jednej strony na drugą, jakby całe jego ciało wiedziało, że nie należy niczego robić na gwałt. Otworzył oczy: okno, słońce, Aniela. Prawa noga mu ścierpła, wyprostował ją i czekał, aż mrowienie przejdzie.

Rozejrzał się po pokoju. Wstał, poszedł do kuchni, odwrócił się i długo patrzył na dwa brązowe fotele, z których jeden zajmowała Aniela, a drugi czekał na niego. Czasami zdarzało mu się to, co teraz, ta myśl, to nagłe zrozumienie czegoś. Że właściwie przez cały czas czeka, jakby sądził, że później, po zakończeniu tego życia, będzie inne życie, i w nim dopiero wstanie z fotela, rozprostuje ramiona, powie sobie: A więc dobrze, teraz. W tych rzadkich niespodziewanych chwilach ściany i sufit zbliżały się do niego, przyduszając, szepcząc mu do ucha, że marnuje jedyne, co ma.

Iwo dokładnie znał datę końca świata. Kiedy po śmierci Lolka, siedząc na pniu, całymi dniami wpatrywał się w drzwi swojego zakładu, odwiedził go ówczesny proboszcz, Wojtasik. Położył mu chudą dłoń na karku i opowiedział o cudach i wspaniałościach, jakie wszystkich czekają w niebie, a na koniec podarował mu broszurkę Koniec świata. Oczekiwania i obliczenia napisaną przez pewnego księdza z Warszawy, jakby sądził, że człowiekowi w rozpacz pomoże świadomość, że wkrótce i tak wszystko się zakończy.

W broszurce znajdowała się przepowiednia o papieżach sformułowana przez świętego Malachiasza, która zakładała, że w historii Kościoła odbędzie się łącznie sto jedenaste pontyfikatów, począwszy od Celestyna II. Datę końca świata obliczono, biorąc za podstawę rok 1623, czyli rok śmierci papieża Grzegorza XV, a na każdego z papieży sprawujących władzę później przeznaczono po dziesięć lat i zgodnie z tym wyliczeniem koniec świata przypadał na rok 1943. Iwo wiedział więc, że za siedemnaście lat nie będzie na świecie niczego, dlatego spokojnie mógł zrezygnować ze wszelkich starań.

Oczywiście słyszał już podobne historie, ale ten koniec świata był inny niż poprzednie. Na przykład trzydzieści lat wcześniej wszyscy wokół

mówili o mądrej gazecie z Londynu, która ostrzegała przed apokalipsą z powodu liczby koni. W największych miastach był z tym ogromny problem i naukowcy twierdzili, że już wkrótce cały świat zniknie pod grubą warstwą zwierzęcych odchodów. Niektórzy w to uwierzyli i czekali na tragiczny koniec, jednak ostatecznie okazało się, że omnibusy, pociągi i automobile ocaliły ludzkość przed utonięciem w łajnie. Z nowym, prawdziwym końcem świata, który czekał wszystkich za siedemnaście lat, rzecz się miała inaczej, bo prawdy biblijne to jednak coś poważniejszego niż prawdy naukowców. Iwo coraz częściej śnił więc o pękającym niebie, o ogniu wypływającym z potężnych szczelin w ziemi, o walących się kościołach i ludziach pełzających w morzu własnych wnętrzności. Obserwując to wszystko, utwierdzał się w przekonaniu, że postępuje właściwie.

Zdarzało się, że uwierała go jakaś myśl, jakaś nagła wątpliwość, tak jak dzisiaj, ale potrafił ją zignorować, nie zwracać uwagi na kurczące się ściany. Po prostu czekał, obserwując czas. W końcu się uspokajał.

Teraz stał w kuchni i ignorował głos, który mu powtarzał: spośród was dwóch to ty jesteś bardziej martwy, i pozostaniesz martwy przez tych nadchodzących siedemnaście lat.

Bywało też, że otoczony swoimi nagłymi myślami pozwalał sobie na fantazję. Bo może jednak mógłby, tylko na chwilę, tylko raz, wyjść, zrobić, pożyć. Choćby dla Anieli, ona by to lubiła. Być może. Ale ostatecznie zawsze potrafił się przed tym powstrzymać: później, tak, można o tym pomyśleć później. Oddychał głęboko, coraz spokojniej, tak. Teraz wróci na fotel i trochę jeszcze posiedzi.

Pola rozpoczynała na różne sposoby, od „Tatusiu, chciałabym z tobą”, od „Przepraszam” i od „Bo ja bym chciała ci coś”, ale wszystkie te początki były do niczego i zupełnie nie oddawały tego, o co jej chodziło. Spacerowała po ogrodzie, nieopodal pasieki, próbując coraz to bardziej zawiłych wytłumaczeń.

– Ja i Misia, i Księżniczka Juhu, ale ja Misię namówiłam, i poszliśmy, jednej nocy, tak, ale naprawdę ja ją namówiłam, i poszliśmy, bo chcieliśmy dobrze, i tam był ten pan, i proszę, musisz zrozumieć, i zrobiłam coś bardzo złego, ale byłam przestraszona, i tylko nie gniewaj się, ja już nigdy, przenigdy.

Do niczego. Była przekonana, że kiedy wreszcie stanie przed tatą, nie zdoła wydobyć z siebie głosu. Uśmiechnie się po swojemu, przytuli do niego i będzie wołała, żeby było miło niż żeby nie. Tata nigdy jej nie zbił, raczej karał ją tym, że mu było przez nią smutno, a ona już by czasem wołała, żeby ją lekko zbił. Wyobrażała sobie, jak bardzo smutno będzie mu teraz, kiedy powie mu o wyprawie do lasu, o rozmowie przy ognisku i o tym, co zrobiła na cmentarzu.

Wydawało jej się jednak, że nie może zatrzymać tego tylko dla siebie. Słyszała, co działo się w mieście, ludzie rozmawiali o tym nawet przy niej, a mama czasami poruszała temat przy obiedzie albo kolacji. Do Koła przybył Diabeł, który podobno dopuścił się jakiejś strasznej rzeczy na cmentarzu i planował jeszcze straszniejsze, a ona wiedziała, że to przecież nie tak.

Jak dotąd nawet Misi nie wyjawiała szczegółów – jej siostra usłyszała tylko o wizycie na cmentarzu i spełnieniu prośby Diabła. Pola nie powiedziała jej, że przed wejściem na cmentarz rozwiązała sznurek, że lekko uchyliła wieczko pudełka i że w środku, brudne od zaschniętej krwi, leżały trzy odcięte palce.

Henryk Graczyk dobrze wiedział, że ważniejsze od prawdy jest to, co ludzie uważają za prawdę. On sam miał z prawdą bardzo bliską relację – widział czasami jej narodziny, obserwował przesuwanie się jej granic, rozrzedzanie i gęstnienie, a nawet zupełny zanik, czasem też – na łamach pisma, ale i poza nim – sam stwarzał ją wprost z niczego.

Dlatego miłość jego żony do jakiegoś szmaciarza traktował jako niegroźną kobiecą fanaberię i zamierzał traktować ją tak nadal pod warunkiem, że nikt – oprócz niego, Iwony i szmaciarza – nie będzie mieć

o niej pojęcia. Jeśli nikt nie wie, że twoja żona ma romans, to twoja żona wcale nie ma romansu.

Iwoną był już bardzo znudzony i z coraz większą trudnością udawało mu się przywołać w pamięci powody, dla których kiedyś się nią zachwycał. Ponieważ obecnie nie widział w niej prawie nic ciekawego, czuł się wręcz oszukany, jakby z premedytacją wciśnięto mu wadliwy towar, i czasami odczuwał nawet ulgę na myśl, że dzięki głupim, niedojrzałym uczuciom Iwony ma ją poniekąd z głowy.

Był człowiekiem pewnym siebie, a praca, którą wykonywał, przez lata zbudowała w nim przekonanie, że Iwona ma wielkie szczęście, ponieważ spośród tylu kobiet wybrał właśnie ją, i nigdy nie przeszło mu przez myśl, że mogłaby zechcieć go porzucić. Jej romans również nie pozostawił skazy na tym przekonaniu.

Ale potem się zaczęło: milczenie, chodzenie w nocy po ogrodzie, listy, zaduma. Iwona schudła, zbladła, przestała interesować się domem. Sprzeciwiała się, kiedy wspominał o kolejnych spotkaniach z przyjaciółmi i reklamodawcami. Czasami nie potrafiła się zmusić, żeby rano wstać z łóżka. Pomyślał, że może jest chora, może cierpi na jedną z tych tajemnych kobiecych dolegliwości. Kiedy wreszcie ją o to zapytał, odparła:

– Chciałabym odejść od ciebie, ale nie mam odwagi.

Śmiał się długo, próbując zyskać na czasie. Wtedy nie wiedział jeszcze, ile w jej słowach jest prawdy i czy w ogóle jest w nich jakaś prawda. Zaczął obserwować. Spojrzenia, gesty, reakcje. Wrócił do rozmowy po kilku dniach, namyślony, zdecydowany, oburzony.

Oświadczył, że życzy sobie, aby Iwona rozstała się z tamtym, i oświadczył to tonem, z którego miało wynikać, że samym wypowiedzeniem tego życzenia wyświadcza jej pewną grzeczność.

Teraz to ona się śmiała. Głośno, bezczelnie. Po raz pierwszy widział ją taką. Jakby coś się w niej zepsuło albo przesunęło, jakby nagle w ogóle nie przejmowała się tym, co zrobi i powie jej mąż.

– Gdyby nie dzieci – powtarzała. – Gdyby nie one...

Niedługo później rzeczywiście zaczęła chorować. Z trudnością podnosiła się z łóżka, prawie całkiem przestała jeść. Gdy zaprowadził ją

do Steina, usłyszał, że nie istnieją leki na udrękę. Że udrękę się leczy na inne sposoby. Że Stein specjalistą w tym nie jest, ale czas i słowa, to mu się wydaje kuracją najodpowiedniejszą, czas i słowa.

Diagnoza Steina przyniosła mu spokój. Wrócił do znajomego, bezpiecznego schematu życia, rozepchanego spotkaniami i pracą. W domu miał wrażenie, że trochę się uspokoiło. Iwona wciąż była markotna i nieobecna, wciąż z zaczerwienionymi oczami, ale należało to już do codzienności.

Którejś soboty usłyszał krzyki dochodzące zza okna. Był w domu sam, Iwona z Marysią wybrały się do miasta, a Grzesia zabrała do parku Kraszewska. Wyszedł na zewnątrz, przy bramie zastał wędrownego malarza, Siemaszkę. Starzec dyszał i mrużył oczy, a kiedy go rozpoznał, wyrzucił z siebie, co drugie słowo przepraszając, że był świadkiem, że nieopodal fabryki octu, że Iwona podczas zakupów z córką, że bezwładnie, na ziemię, nieopodal fabryki octu, że leży teraz na tyłach zakładu, że jest z nią Marysia, to ona kazała pobiec, ale ona, to znaczy Iwona, ona chyba już nie...

Henryk popędził do fabryki. Nie pamiętał, kiedy ostatnio biegł. Wzbijał w powietrze drobinki piasku, przyciągał wzrok przechodniów. Dwa razy ktoś powiedział mu „dzień dobry”. Na miejscu okazało się, że nie musiał biec.

Kiedy zdołał wreszcie uspokoić Marysię, kiedy pożyczył z fabryki wóz i poprosił o pomoc w umieszczeniu na nim ciała Iwony, zorientował się, że nie ma pojęcia, co teraz. Uznał, że trzeba zamówić trumnę, i pojechał razem z Marysią do najbliższego zakładu. Następnie wrócił do domu. Poinformował, kogo trzeba, Kraszewskiej zlecił zajęcie się formalnościami. Wszystko potoczyło się gładko i sprawnie. W środku nocy obudził się z kłującą myślą, że właściwie nie mógł wymarzyć sobie lepszego scenariusza, i natychmiast spróbował pozbyć się tej myśli, miał wrażenie, że wcale nie należy do niego.

Przygotowania do pogrzebu, wizyty rodziny, nekrolog, dłonie przyjaciół na plecach. Henryk wyobrażał sobie swoją przyszłość. Kiedy nie potrafił zasnąć, wyliczał w myślach kobiety, którymi teoretycznie mógłby się zainteresować. Wydawało mu się, że znajduje się w tym szczególnym momencie życia, kiedy można się spodziewać, że każdy kolejny dzień będzie lepszy niż poprzedni.

A potem zniknął czas, zostało po nim wielkie, puste miejsce. Henryk zamykał się w swoim gabinecie na piętrze i płakał, zupełnie nie rozpoznając siebie. Tęsknił za Iwoną, za jej twarzą, głosem i zapachem skóry w środku nocy. Za każdą jej cechą, za jej wadami, za nudą ich małżeństwa. Nie wyobrażał sobie, że na zewnątrz jacyś ludzie wstają z łóżek, jedzą, stają za ladami swoich sklepów, pracują w polu, jeżdżą na targ, rozmawiają. Przypomniawszy sobie naukowy artykuł, który opublikowali kilka lat wcześniej w „Życiu Kolskim”. Była w nim mowa o zasadzie zachowania energii, o tym, że nic nigdy w świecie nie ginie bezpowrotnie. Próbował zrozumieć, co dalej z uczuciami Iwony, z tymi wszystkimi silnymi prądami, które szarpały nią w ostatnim czasie – przecież niemożliwe, żeby ot tak zniknęły. Potrafił zrozumieć, że człowiek znika z dnia na dzień, ale że wszystko, co ów człowiek przeżywał, miałyby zniknąć razem z nim, wydawało mu się niemożliwe. Kilka razy dziennie nachodziła go potrzeba napisania do autora tamtego artykułu, ale ostatecznie rezygnował, bojąc się, co dostanie w odpowiedzi na swoje pytania.

Próbował opanować to, co w nim zachodziło. Obowiązki w gazecie zrzucił na redaktora Waleszkę, obowiązki w domu po części na Kraszewską, po części na Marysię. Musiał ukształtować prawdę na swój temat. Jeśli nikt nie wie, że cierpisz, to prawie jakbyś nie cierpiał.

Ale teraz w mieście pojawił się szmaciarz. Ten, przez którego to wszystko. Wkroczył do Koła ze swoim psem tak, jak można wkroczyć do pokoju. Henryk słyszał już kilkanaście różnych opowieści o jego pojawieniu się na stadionie podczas turnieju. Tak, wszedł tu jak do siebie. Wszystkie głowy zwrócone nagle w jego stronę. Henryk długo rozważał, co z tym zrobić, i ostatecznie uznał, że nie zrobi nic. Nie zamierzał wiązać

swojej osoby z kimś takim, wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, tworzyć plotek. Zresztą był przekonany, że szmaciarz i tak prędzej czy później ściągnie na siebie kłopoty.

I wtedy, kiedy postanowił, że pozwoli światu powoli wrócić na swoje miejsce i przeżyje w samotności wszystko, co będzie musiał przeżyć, właśnie wtedy, podczas odwiedzin na cmentarzu zobaczył, że ktoś próbował rozkopać grób jego żony. Stał tam bez ruchu i czuł, jak życie nagle wymyka mu się z uścisku. Po raz pierwszy od dawna nie rozumiał, co się dzieje.

Wiedział, że najlepiej byłoby poczekać, ale nie potrafił zostawić tego w taki sposób. On, bliski przyjaciel słowa, nie miał na to słów. Rozumiał tylko, że czas bezczynności się skończył.

Był człowiekiem o szerokich znajomościach i wierzycielem licznych przysług. Mógł sprowadzić na tego człowieka różne rodzaje przyszłości, musiał tylko zdecydować, która z nich będzie najodpowiedniejsza.

TO WIĘC POMYŚLAŁAM, ŻE ON. USŁYSZAŁAM O NIM OD PARU CHŁOPCÓW, ŁATWO GO BYŁO ZNALEŻĆ. CHOCIAŻ MÓWILI O NIM RÓŻNIE BARDZO, NAJCZĘŚCIEJ, ŻE JEST CZYSTY DIABEŁ, I POMYŚLAŁAM, ŻE SKORO WŁAŚNIE TAK MÓWIĄ, TO ON MÓGLBY, I JA WCALE NIE WIEM, CZY MI SIĘ ROZCHODZIŁO O PRAWIEDLIWOŚĆ, BO DYZIO POWIADA, ŻE PRAWIEDLIWOŚCI NIE MA, JAK INNI MAJĄ DOMY I PAŁACE, A MY MAMY TO, CO MAMY, CZYLI NIC, TO WIĘC POMYŚLAŁAM, ŻE MOŻE CHOCIAŻ PO PROSTU COKOLWIEK INNEGO BY MOŻNA, JA SIĘ W SŁOWACH NIE ZNAM, ALE TO SIĘ MUSI JAKOŚ NAZYWAĆ, JAK KTOŚ KOMUŚ ROBI TAK, JAK ON W KOŃCU IM ZROBIŁ I WŁAŚNIE DLATEGO, ŻE ZROBIŁ.

WIĘC W KOŃCU NAPOTKAŁAM GO I PYTAM SIĘ, CZY MOŻNA, A ON, ŻE MOŻNA, WIĘC MÓWIĘ MU, ŻE TO JEST BARDZO, ŻE JA PRZEPRASZAM, ALE ONI ZNIEWOLILI MNIE WE DWÓCH I JA WIEM, KTO TO, I KAŻDY INNY WIE, I ONI ŻYJĄ DALEJ, CI DWAJ MAM NA MYŚLI, A JA JUŻ NIE ŻYJĘ PRZEZ TO, CO MI ZROBILI, I ŻE ON NAWET NIE WIE, JAK TO JEST WIEDZIEĆ, ŻE ONI ŻYJĄ I WIEDZĄ. NA CO ON, ŻE DOBRZE WIE, JAK TO JEST NIE BYĆ, I ŻE TO JEST RZECZ NAJSTRASZNIJSZA NA ŚWIECIE, I ŻE TO W NIM ROBI GNIEW, I ŻE ON TAKICH DWÓCH TOBY NAJCHĘTNIEJ, I ŻEBYM POWIEDZIAŁA, CO CHCĘ, NA CO JA, ŻE SIĘ TEGO WSTYDZĘ I ŻE MOŻE JESTEM ZŁA, NA PEWNO JESTEM, ALE MI CHODZI O TO, ŻEBY TYCH DWÓCH, ŻEBY ON ICH ZADUSIŁ. JAK PSY. A ON NA TO, ŻE TAK.

IV

Mikołaj Stein obudził się wcześniej. Przyłożył dłoń do chłodnej ściany, na której rozciągało się pęknięcie w kształcie błyskawicy. Znajdowało się tutaj od dawna, pamiętał, że po raz pierwszy zwrócił na nie uwagę jako dziecko. Był wtedy przekonany, że wzór będzie się zmieniał w zależności od pogody i na przykład przed bezchmurnym dniem na ścianie miejsce błyskawicy zajmie słońce, szybko się jednak okazało, że pęknięcie zawsze wygląda tak samo. Poprosił mamę, aby mu to wytłumaczyła, i pamiętał, jak usiadła na krawędzi łóżka, taka szczupła i lekka, że nawet nie zaskrzypiało, i jak ujmując jego stopy w dłonie, powiedziała, że pewne rzeczy po prostu się zmieniają, a inne nie, i że nie ma w tym raczej nic złego. Teraz jego mama nie żyła, a pęknięcie, mimo dwukrotnego malowania pokoju, nadal tutaj było.

Poduszka pachniała jego ciałem, za oknem brzęczało rozbudzone miasto. Ubrał się, obmył twarz, spojrział w owalne lustro.

Dawno się nie widział. Zawsze wydawało mu się, że ma w twarzy coś warzywnego, jakąś miękkość, jakby ktoś, kto go tu sprowadził, zagapił się i pozostawił go we wrzątku na zbyt długi czas. Puciołowate policzki, szeroki nos, wydatna dolna warga. Teraz miał wrażenie, że jest go w lustrze mniej, że twarz mu jakoś obeschła, dzięki czemu nabrał twardszego wyglądu. Jakby dopiero teraz był gotową potrawą.

Na treningu zebrał poważne cięgi od trenera, z kolei Władek i Bobo powitali go, jakby nigdy nic, i szybko zrelacjonowali, że poprzedniego popołudnia ostatecznie Olimpja wygrała przewagą jednej bramki. Znacznie bardziej zajmowało ich tajemnicze przybycie olbrzyma, który zjawił się na turnieju pod sam koniec. Zaczepił kilka osób, zadawał jakies pytania, nikt jednak nie potrafił jasno powiedzieć, o co właściwie pytał i kim tak naprawdę jest. Pewne było jedno: będą z tego kłopoty.

Rozbierając się po treningu, Jędrzej powiedział, że jedna taka Iza zwróciła na niego uwagę podczas tego kopania w słupek i że gdyby tylko chciał – a on mu doradza chcieć – to może się z nią powyglupiać, bo ona wyglupy lubi bardzo. Mikołaj udał zainteresowanie, zdobył się nawet na jakiś niedobry dowcip.

Później poszedł na łąkę. Był tu po raz pierwszy od czasu tamtego zdarzenia. Słońce, muchy, gdzieniegdzie kałuże. Niewiarygodnie zwyczajnie. Szukał miejsca, w którym to się stało, ale wszystko wyglądało tutaj jednakowo.

Odwrócił głowę i oślepiiony słońcem, zobaczył samego siebie z książką kucharską w dłoni, z bladymi policzkami, ustami w lekkim rozchyleniu. Widział, jak książka spada na trawę i jak on sam ją podnosi, a potem powoli odwraca się i odchodzi. Miał ochotę podbiec do siebie i tłuc pięściami po tej miękkiej twarzy. Zamknął oczy i powtarzał sobie, że to nieważne, że teraz liczy się tylko teraz, a tamtego dawnego Mikołaja już nie ma.

Coś szeleściło w trawie. Krążące trzmielce wydawały elektryczne dźwięki, a z horyzontu wyciekała w niebo zapowiedź kolejnej burzy. Mikołaj zawrócił w stronę miasta.

Wspominała to często. Zaczęło się od wizyty.

Reginę widać było z daleka, szła różnym krokiem, wyprostowana, po swojemu. Leokadia rozmawiała z nią rzadko, ale potajemnie uwielbiała tę dziewczynę. Miała w sobie jakąś zwariowaną odwagę i robiła rzeczy, których kobiety zazwyczaj nie robiły: ze znanstwem dyskutowała o wojnie, śmiała się z niektórych kazań proboszcza, a o swoim ciele mówiła z taką swobodą, z jaką się mówi o wszystkim, tylko nie o ciele. Jej rodzice regularnie kupowali płotki, które mama Reginy potrafiła ponoć usmażyć na chrupiąco jak nikt inny.

Usiadły wtedy przed domkiem Leokadii, Regina w lekkiej sukience, ładna w ten szczególny sposób, którego Leokadia nie potrafiła wyjaśnić – jakby jej uroda brała się głównie z min, ruchów i wypowiedzanych słów.

Rozmawiały o błahostkach, omijając tematy, które wymagałyby zachowania powagi. Regina zachwalała przeczytaną ostatnio książkę, Leośka opowiadała o pięknym, zachwycającym kormoranie, który regularnie przylatywał nad jej stawy.

Lolek kuczał za drzewem w ogrodzie państwa Steinów i ostrożnie zrywał kwiaty, próbując się jednocześnie nie zrzygać. Znajdował się kilkanaście kroków od pani Steinowej, która opowiadała coś chłopcu siedzącemu jej na kolanach i pociągającemu ją raz po raz za frędzle u rękawa. Lolek miał kaca od palców stóp po koniuszki włosów i chciało mu się jeść, i chciało mu się rzygać, a najbardziej chciało mu się kobiety. Nie znał się na kwiatach, sięgał po te najjaskrawsze, a kiedy nabierał ich wreszcie odpowiednio dużo, wycofał się z ogrodu i przelazł przez płot.

Szedł wolno, kierując się w stronę stawów Leośki, wolno i coraz wolniej, wreszcie zatrzymał się i stał przez chwilę, wypełniony tym potwornym kacem, a potem zawrócił i szybko ruszył w stronę miejsca, do którego nie dalej jak wczoraj obiecał sobie już nigdy nie chodzić. Zapukał: raz-raz-raz. Otworzyła mu ze swoim odważnym uśmiechem kobiety znającej mężczyzn lepiej niż oni siebie. Nie miała zęba z przodu i zawsze wydawało mu się to w jakiś sposób straszne – że można nie mieć z przodu zęba i wciąż być kimś takim.

Brał ją tak, jakby chciał się zemścić na jej ciele za to, że znowu nie zdołał mu się oprzeć. Patrzył na skórę czerwieniejącą pod jego uderzeniami, słuchał jej przekleństw i wyzwisk. Później pili wódkę z jednej filiżanki z kwiatowym wzorem, a ona dalej uśmiechała się do niego, tak jak się może uśmiechać kat do ofiary.

Obudził się spocony, z jeszcze większym kacem. Spała obok. Patrzył na nią przez kilka minut i teraz, we śnie, wydawała się miękka, bezbronna, ale wiedział, że jak tylko otworzy oczy, znowu będzie tą samą skandalistką i złodziejką, której nie odważyłby się nie zapłacić. Znał takich co najmniej cztery, a gdyby się uprzeć, to pięć, i chadzał do każdej.

Przetoczył się po skrzypiącym łóżku, ciągnąc za sobą wilgotne prześcieradło. Śmierdziało tyłoma rzeczami naraz, że nawet ich nie rozróżniał.

Ubierając się, dostrzegł leżący na stole talerz, a na nim resztki posiłku: kawałek ziemniaka i ości przy samym brzegu talerza. Musiała rybę kupić u Leoški. Gapił się na ten talerz i na te ości, wyjmowane z ust i przyklepane, jedna po drugiej, do białej krawędzi z tym samym ornamentem, co samotna filiżanka, z której pili.

Szeptał przekleństwa, ocierając twarz. To wszystko przecież mogło wyglądać inaczej. Sięgnął po butelkę, ale była pusta. Położył pieniądze na stole, zabrał kwiaty, których ona nie wstawiła do wody, i wyszedł.

Z każdym krokiem był bliżej Leoški. Chciało mu się pić, jeść, spać i płakać. Stawy błyszczały w słońcu, jakby powleczone metalem. Walcząc z mdłościami, pomyślał, że mógłby zacząć to nowe życie teraz, dzisiaj, że może to dla niego jedyny ratunek. Pochylił się za krzakami i rzygał.

U Leoški siedziała akurat ta młoda, Regina, która czasem tu zaglądała. Nie chciał się pokazywać przy niej taki. Czekał i słuchał, choć z początku wcale nie chciał słuchać. Przypominał sobie ciało kobiety, z którą był jeszcze godzinę temu. Jej oddech, jej palce na nim. Leoška mówiła akurat o kimś pięknym i dostojnym, kto bywa u niej co kilka dni, kogo ona wypatruje z daleka.

Palce lewej ręki wbijały mu się w ziemię. Czuł jeszcze smród swojej spermy, czuł zapach kwiatów, które ze sobą przyniósł. Wreszcie wycofał się, obiegł stawy i ruszył w stronę miasta.

Udał się prosto na most i zgodnie z późniejszą relacją dwóch przechodzących w pobliżu chłopów z Kłodawy mówił coś do siebie, zaciskając powieki. Zawołali do niego:

– Hej, kolego. Kolego!

Odwrócił się do nich. Biegli w jego stronę, a on mówił:

– Panowie, ja tylko. Panowie, ja tylko tak...

Zanim dobiegli, odwrócił się i znowu spojrział w wodę. Potem skoczył bez słowa, głową naprzód.

Wyłowiono go późnym wieczorem, dwa kilometry za mostem, zaczepionego rękawem o ciemny korzeń przy brzegu. Leokadia przyszła na miejsce zaalarmowana jakąś plotką, ale jeszcze spokojna, bo przecież to z pewnością nie był on. Ktoś próbował nie dopuścić jej do brzegu, jakieś ręce chwyciły ją, wyrwała się i dopadła do ciała, które nie było Lolkiem, nie było Lolkiem, na pewno nie było Lolkiem.

Patrzyła na nie, a głosy wokół umilkły. Poczowała na policzku uderzenie twardego, wilgotnego piasku, a woda zmoczyła jej włosy. Jakiś mężczyzna odciągnął ją, posadził na ziemi, powiedział, że musi być silna.

Później był czas niepodzielony na części. Układał się w fale, a ona bezwładnie dawała się jej zabierać, unosić coraz dalej w pustkę.

Pola nie wiedziała, jak to zrobić, a Misia nie wiedziała jeszcze bardziej: czy lepiej mamie, czy tacie, czy rano, czy wieczorem, odważnie, a może we łzach.

Pola nosiła tajemnicę do sadu, na targ, w gości i do kościoła, miała ją zawsze przy sobie i przez cały czas obawiała się, że wyskoczy jej z kieszeni, wyleje się na nogi, że pęknie jak purchawka pod butem. Czasami próbowała o niej zapomnieć i do pewnego stopnia jej się udawało: zajmowała się swoimi sprawami, pomagała mamie, czytała, ale prędzej czy później wracał do niej jakiś szczegół, który przywoływał inne: bosa stopa Diabła przy ognisku, brud za paznokciami po zakopaniu pudełka, brązowe smugi zaschniętej krwi na odciętych palcach.

Bywało, że nie miała już siły. O czymkolwiek próbowałyby myśleć, ostatecznie zawsze kończyła w tym samym miejscu, na kolanach, z ziemią zagarnianą gwałtownie do wykopanego otworu. Wszystko prędzej czy później musiało skojarzyć się z Diabłem.

Kiedyś przeżywała już coś podobnego, choć w porównaniu z obecnym kłopotem tamta sprawa wydawała jej się teraz błaha. To było dwa lata wcześniej – jedno z tych popołudni, kiedy nudzi ci się tak bardzo, że masz ochotę uderzyć głową w pień jabłonki, byle cokolwiek się działo. Pola wałęsała się po Toruńskiej, po podwórzu na tyłach fabryki octu, po łące za

domem i wokół stawów Szalonej Leokadii. W końcu usiadła w wysokiej trawie i czekała, gotowa się tam zestarzeć, jeśli nie będzie się dziać nic ciekawego.

W ciągu kwadransa trzy razy ugryzł ją komar, a nad kępę ostów przyleciały dwa rude motyle, których nazwy jeszcze wtedy nie знаła. Zastanawiała się, czy jednak nie wrócić do domu, kiedy nagle z nieba spadł czarny ptak z długim, lekko zakrzywionym dziobem i usiadł niedaleko niej. Wpatrywał się w wodę, poważny i skupiony jak tata podczas czytania „Życia Kolskiego”. Zanurzyła się w trawie z zamiarem podejścia na czworakach odrobinę bliżej, a wtedy rozległy się strzały. Leokadia biegła wzdłuż stawu, prując w jej kierunku ze strzelby. Leżąc na ziemi, Pola nie potrafiła już sobie przypomnieć siebie sprzed minuty, kiedy najgorszą rzeczą na świecie zdawała jej się nuda. Ptak wreszcie odfrunął, a Leokadia długo jeszcze szeptała coś pod nosem, ze wzrokiem wycelowanym w niebo.

W domu Pola przez cały wieczór chodziła od okna do okna, przekonana, że za chwilę pan Droszcz zabierze ją i wtrąci do więzienia. Mijały dni i tygodnie, a ona wciąż nie mogła się uspokoić, dopiero kiedy pewnego razu zobaczyła na targu, że Szalona Leokadia normalnie, jak dawniej, sprzedaje ryby, a cały świat ma w nosie to, co tamtego popołudnia działo się na łące, w końcu doszła do siebie.

Ale teraz to było coś innego. Tajemnica, którą zabrała ze sobą po wizycie na cmentarzu, burzyła się w niej, przeszkadzała w każdej czynności, nie dawała spać. Odcięte palce leżały pod powiekami, ilekroć zamykała oczy. Wiadomo było, że taką tajemnicę prędzej czy później trzeba będzie z siebie wyciągnąć i pokazać dorosłym.

Pola siedziała na łóżku, już po pacierzu i całusie od mamy, i patrzyła na zaspaną siostrę. Drewniany zegar na ścianie rytmicznie przybliżał ją do chwili, kiedy będzie musiała coś zrobić. Gdyby tylko dało się przesunąć palcem wskazówkę i kręcić nią, kręcić, aż doszłaby do tamtej chwili, kiedy w nocy otwierała okno. Mogłaby go nie otworzyć, nie wyjść przez nie, nie spotkać się z Diabłem – ale zegary działały tylko w jedną stronę.

– Boję się, Misiu.

Siostra drgnęła i otworzyła oczy. Jej ciało pod kołdrą wydawało się niemożliwie małe. Włosy na poduszce układały się w precel. Pola wciągnęła nogi na łóżko i złapała się za kostki, przyciągając je bliżej.

– Próbowałam powiedzieć. Ale...

Z kuchni dobiegały niewyraźne głosy rodziców. Misia zamknęła oczy i leżała nieruchomo, a potem szepnęła zaspanym głosem:

– Ja wiem... wiem, kto powie.

– No kto?

– Księżniczka Juhu.

Za każdym razem, kiedy Bóg robił coś dobrze, dostawał kawałek kiełbasy. Za każdym razem, kiedy psocił, Adam Wrzos odwracał się do niego plecami i odchodził kilka kroków w las. Ucząc go posłuszeństwa, był konsekwentny, nigdy nie ominął nagrody ani kary. Żyli od świtu do zmroku. Adam nie planował życia dalej niż na dwa, góra trzy dni. Jadali nieregularnie, wspólnie tyli i chudli w zależności od pory roku i szczęścia w polowaniach. Sypiali obok siebie na mchu, zimą szukali opuszczonych stodół albo stogów siana.

Bóg budził go zwykle przed świtem. Lizał po dłoni, po stopie, po uchu. Adam nie otwierał oczu. Czuł w ciemności, jak pod dotknięciami uważnego języka jego ciało, dotąd nieistniejące, zaczyna się pojawiać: czuł swoje palce, szyję, nos. Bóg stwarzał go cierpliwie i powoli, a kiedy dochodził do ust, Adam prychał lub się śmiał.

Pewnego razu poczuł, że coś w nim narasta. Wspominał młodość w ogrodzie franciszkanów i niespodziewane pojawienie się wojny. Obawiał się, że i tym razem coś zniszczy jego spokój, przekonany, że każda radość prędzej czy później zostaje zmiądzona pod butami przeznaczenia. Później, po latach, zastanawiał się, czy to właśnie tym myśleniem nie doprowadził do takiej, a nie innej przyszłości.

Iwonę poznał przed jednym z gospodarstw, w których latem zatrudniano go do pomocy przy żniwach. W pracy był niestrudzony, potrafił przerzucać zboże ciągiem przez kilka dni, bez snu, jakby

brakowało mu w głowie czegoś, co innym pozwala przestać. Spalony od słońca, uwijał się na polach, w zamian dostając jedzenie dla siebie i dla Boga. Po każdym lecie jego ciało przypominało węzeł.

W połowie sierpnia, po zakończeniu żniw u jednego z gospodarzy, siedział przy drodze i wyjmował z worka kolejne smakołyki, po czym podawał je Bogu. Był tak zmęczony, że co chwilę przysypiał. Kobiętę zauważył dopiero, kiedy padł na niego jej cień. Zapytała, czy dobrze się czuje. Nie odpowiedział, patrzył na nią i marzył, by położyć się spać.

– Pan tu mieszka? Nigdy pana nie widziałam, a regularnie zaopatruję się tutaj w...

– Mieszkam w lesie.

Cień przesunął się po nim nieznacznie w prawo i w lewo.

– Nie wierzę panu.

– Nie musi pani.

Postawiła na ziemi dwie torby. Spojrzała na Boga i zmierzwiła mu sierść.

– Piękny pies.

– Tak... Muszę już iść.

– Do lasu?

– Do lasu.

Podniósł się, zabrał worek i ruszył przed siebie. Kobieta niosła swoje torby kilka kroków za nim. Szli w tę samą stronę, w milczeniu. Bóg łasił się do kobiety, a ta co chwilę podawała mu coś ze swoich przepastnych toreb.

– Ma na imię Bóg – powiedział wreszcie Adam. – Przyszedł do mnie sam.

– Ładnie z jego strony.

– Miewa rozwolnienie po truskawkach.

– Naprawdę?

– Staram się, żeby nie jadł ich zbyt dużo. Tak samo ze szczawiem. Bóg nie powinien jadać szczawiu.

Przystanęła i śmiała się, pochylona do przodu.

– Pan jest niezwykły. Niech pan jeszcze nie idzie.

Usiedli na zwałonym drzewie, Iwona poczęstowała go czereśniami, które kupiła u znajomego gospodarza. Rozmawiała z nim tak swobodnie, jak nikt nigdy jeszcze z nim nie rozmawiał. Większość ludzi miała w stosunku do niego jakieś oczekiwania i jakieś o nim zdanie, najczęściej związane z jego wyglądem. W końcu kobieta powiedziała, że musi już uciekać.

– Gdzie pana znajdę?

– Mówiłem już.

– Pytam, gdzie dokładnie.

Powiedział jej.

– W takim razie odwiedzę pana.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

– Ja też nie jestem pewna, proszę mi wierzyć. Ale odwiedzę pana tak czy siak.

Podawała mu rękę, po męsku, a potem odwróciła się i odeszła ze swoimi owocami, coraz mniejsza na prostej drodze do miasta.

Pojawiła się kilka tygodni później. Słyszał ją już z daleka, przedzierała się przez zarośla, przeklinając cicho, aż w końcu stanęła przed nim, w tej samej sukience co poprzednio. Adam pamiętał detale: pionowe marszczenia w talii, białe obszycie przy dekolcie, skórzane kokardki na butach.

– Przyniosłam jagody. I papierosy. Nie wiem, co pan lubi.

– Mam na imię Adam.

– Mhm. I mam też coś dla Boga. Kaszanke. Czy Bóg jada kaszanke?

Nie czekając na odpowiedź, rzuciła pęto na ziemię, a pies, ze śliną kapiącą z pyska, spojrzął na Adama. Widząc skiniecie głowy, chwycił zdobycz w zęby i zaniósł ją pod drzewo.

– To co, zapali pan?

Adam sięgnął po papierosa i pochylił się nad płonąca zapalką.

– Jestem Iwona.

Podali sobie ręce. Przez chwilę nic nie mówili. Bóg z apetytem jadł kaszanke. Adam zapytał wreszcie, czy długo do niego szła, a potem ona zapytała, kiedy ostatnio śmiał się na głos. W ciągu godziny opowiedział jej o swojej matce, o franciszkanach i o kłamstwach, którymi karmił umierających podczas wojny. Ona mówiła o swoim mężu, dzieciach i studiach prawniczych. Wreszcie przeczesła sobie włosy dłonią.

– Co my w ogóle robimy?

– Myślałem, że to ty mi powiesz.

– Ale ja nie wiem.

Adam poprawił rękawy wytartej koszuli.

– To może nie musimy wiedzieć?

Przychodziła coraz częściej. Nie potrafił zrozumieć, jak znajduje na to czas i jakim cudem potrafi utrzymać to w tajemnicy. Widocznie miała swoje sposoby. Może kobiety potrafiły zmieścić wokół siebie więcej niż tylko jeden świat – a może potrafiła to tylko ona.

Codziennie rano chodził kapać się do strumienia, kupił lustro i golił się brzytwą, wycierając ją o pień dębu. Nie umiałby wskazać momentu, kiedy się zakochał, może już wtedy, przy drodze, podczas jedzenia czereśni. Przestał myśleć o czymkolwiek innym. Otwierał rano oczy: ona. Zasypiał: ona. Iwona twierdziła, że cierpi na to samo. Miała męża, nastoletnią córkę i małego syna. Powtarzała, że zbyt dużo się wydarzyło, by mogła to zmienić.

– Gdyby nie dzieci, gdyby nie one... – mówiła z głową na jego brzuchu.

Było coraz gorzej, a potem jeszcze gorzej: on leżał całymi dniami, niezdolny się ruszyć, ona płakała w domu, kiedy tylko miała okazję być sama, a potem płakała, nie zwracając już uwagi na to, czy ktoś jest w pobliżu. Widywali się tak samo często jak wcześniej, ale było podczas tych spotkań dużo ciszy i długich spojrzeń. Rozmawiali już tylko o tym, do czego doprowadziło ich tamto pierwsze spotkanie.

Ostatecznie to ona uznała, że muszą przestać. Kiedy to mówiła, spod jej twarzy przebijało coś pierwotnego, zwierzęcego. Żegnali się kilka razy

i po każdym pożegnaniu wpadali w siebie z jeszcze większą gwałtownością, w tych krótkich chwilach przekonani, że skoro oboje czują to samo i tak samo mocno, to przecież jakoś to będzie.

Aż w końcu, po którymś z tych pożegnań, Iwona nie odwróciła się, tylko poszła dalej, poruszana czarnym uporem. Później mijaly następujące po sobie odcinki czasu, którym dawno temu ludzie nadali nazwy. Minuta, kwadrans, godzina, dzień, tydzień. To, że tyle wytrwał, wydawało mu się czymś ponad miarę, i kiedy myślał o leżącej przed nim nieskończonej polaci życia, czuł się zupełnie bezsilny.

Zaczął szukać ludzi. Miejsc, z których widziałby jakieś żywe istoty. Siedział z Bogiem przy drodze. Najmował się do pracy, którą wykonywał z żalną furią człowieka, któremu nic już nie zostało. Podczas rozmowy z gospodarzem, u którego Iwona zaopatrywała się w owoce i warzywa, usłyszał słowa, które wsunęły mu się do głowy przez uszy i wbijały coraz głębiej.

Omdlenie w sklepie. Śmierć na miejscu. Taka piękna kobieta.

Wrócił do lasu. Niczego tak nie pragnął, jak natychmiast się skończyć. Kiedy wiązał pasek na gałęzi drzewa, Bóg stanął u jego stóp i radośnie zamerdał ogonem.

Potem Adam trwał. Brał wdech, wykonywał wydech. Jadł. Wydalał. Próbował spać. We wnętrzu głowy pływały mu kawałki przeszłości. Którejś nocy, wspominając słowa, które Iwona wypowiedziała do niego szeptem, wziął nóż i kilkoma szybkimi ruchami odciął sobie trzy palce.

Zamierzał je zanieść Iwonie, ale nie wyobrażał sobie, jak mógłby stanąć w miejscu, gdzie dwa metry pod ziemią leżała prawdziwa ona. Głowa, której tyle razy dotykał, włosy z ich zmieniającym się w zależności od pór roku zapachem, niecierpliwe dłonie, te same, które przy każdym spotkaniu czuł wszędzie na sobie. Zakopane pod ziemią. Nie miał pojęcia, jak ktokolwiek w historii świata mógł znieść coś takiego.

W nocy spotkał dwie dziewczynki. Chodziły po lesie. Małeńkie, przestraszone. Miały do niego jakieś niezrozumiałe prośby, których już nie pamiętał. Pamiętał tylko, że w otępieniu dał im swoje palce, zapakowane w pudełko po kawie, i poprosił, by zakopały je tam, gdzie

leżała Iwona. Później tego żałował, prawdopodobnie wyrzuciły pudełko albo je zgubiły, powinien był jednak dopilnować tego osobiście. Przeszukał dokładnie las w najbliższym otoczeniu, ale pudełka nigdzie nie znalazł.

Trwał dalej. Coraz częściej zdarzało mu się myśleć trzeźwo i racjonalnie, co z kolei sprawiało, że się nienawdził. Zamierzał potrwać tak jeszcze kilka tygodni, a potem odejść jak najdalej od tego miasta. Może kolejna zima zabije jego i Boga.

Ale wtedy przybłąkała się ta dziewczyna. Sam strach. Poczuł, że mógłby dostrzec w jej oczach dawnego siebie, tego, który okłamywał konających na wojnie, a potem leżał w łóżku w zakrystii, nie mogąc zasnąć.

Przyszła do niego specjalnie, szukała go, słyszała coś o nim. Opowiedziała mu swoją historię. Znał już tę opowieść, miał wrażenie, że powtarza się od początku świata, zmieniają się tylko szczegóły i imiona. Słuchając jej, po raz pierwszy od dawna poczuł coś innego niż to, co rozrastało się w nim od śmierci Iwony. Odczekał trzy dni, ale to nowe wrażenie nie minęło, czuł w sobie jakiś gniew, chęć wymierzenia sprawiedliwości choćby najmniejszemu zakamarkowi świata. Po raz pierwszy od dawna widział wyraźnie to, co znajdowało się przed nim, i czwartego dnia ruszył z Bogiem do miasta.

Znalazł ją na targowisku, w południe, po kilku godzinach krążenia po mieście. Nie poszedł do szkoły, nie wybierał się też na trening Olimpijki. Nauka i piłka wydawały mu się czymś dalekim, niezrozumiałym.

Weronika stała przy straganie z rybami, obok Szalonej Leokadii. Pomagała obsługiwać klientów, którzy pochylali się nad dwiema niebieskimi beczkami. Schudła w ostatnim czasie tak bardzo, że wyglądała jak ktoś inny, jakby była własną siostrą, mającą te same rysy twarzy, tylko starszą. Mikołaj odczekał, aż wszyscy kupią, co chcieli kupić, wtedy podszedł bliżej i wypowiedział jej imię.

Spojrzała na niego jak pies przyzwyczajony do kija i dopiero wtedy pojął, jak bardzo był w swojej rozpacz samolubny. Poczł, że każdą minutą swoich rozterek obrażał tę stojącą przed nim dziewczynę.

Wytłumaczył, że chciałby przez chwilę porozmawiać, ale na boku, we dwoje. Nie odrywając od niego wzroku, Leokadia chwyciła Weronikę za przedramię i oświadczyła głośno:

– Można rozmawiać tutaj, bo.

Tłumaczył, że nie ma złych zamiarów, Leokadia wyrzucała z siebie kolejne zdania. W końcu pozwoliła im odejść na kilka metrów, ale tak, żeby ich było widać ze straganu.

Mikołaj zaczął cicho, słowa rozsypywały się przed nim w beładną stertę, w której grzebał, szukając tego, co wcześniej starannie układał w głowie. Wreszcie, nie patrząc na Weronikę, powiedział wprost: o łące, o swoim odejściu. Potem tylko przeproszał.

Kiedy uniósł głowę, Weronika stała przygarbiona i spięta. Jakby rozważała ucieczkę. Zrozumiał, że przyniósł jej tutaj to, od czego uciekała, i wywalil przed nią na ziemię, wielkie i cuchnące. Mówił dalej szybko:

– Ja tylko bym sobie życzył, marzy mi się, żebyś ty nie myślała o mnie niedobrze, bo ja naprawdę jestem człowiekiem, który normalnie by... który normalnie by się nie odwrócił. Dlatego marzy mi się, żebyś ty mi, żebyś ty mi kiedyś może...

Urwał.

A wtedy ona powiedziała, głosem wyraźnym i powolnym, że to więc ona wie, że to grzech, ale czasem ona by wolała, niech pan tak nie patrzy, to więc jej się czasem zdaje, że już by było lepiej. Żeby w ogóle nie. Rozumie pan.

Skinął głową. Przeprosił ją jeszcze raz i odszedł. Po kilkunastu krokach obejrzał się i patrzył, jak Weronika wraca do straganu i dalej pomaga Leokadii.

Siemaszko siedział na składanym drewnianym krześle, próbując ustawić szerokie płótno w takiej odległości, by było wyraźne. Od kilku miesięcy

wzrok mu się pogarszał, a kolejne obrazy, nad którymi pracował, przysuwały się coraz bliżej jego twarzy. Zwrócił na to uwagę dość późno, podczas sesji w jednej ze swoich ulubionych lokalizacji na wzgórzu za miastem. Okazało się, że choć ustawił sztalugi i krzesło dokładnie w tych samych miejscach co zawsze, widzi nieostro. Przyniósł się wtedy bliżej, udając przed sobą, że to nic takiego, ale od tamtej pory wzrok zaczął mu się gwałtownie pogarszać. Siemaszko miał wrażenie, że z jego słabnącym widzeniem jest jak z ciężkimi chorobami, które atakują z pełną siłą dopiero wtedy, kiedy człowiek się o nich dowie.

Dzień był pogodny, światło niezłe. Odrobinę za mocno wiało. Siemaszko polizał końcówkę pędzla, co robił za każdym razem przed rozpoczęciem pracy, na szczęście.

Zamierzał namalować olbrzymią scenę rozgrywającą się tutaj, nad rzeką: gęsta kompozycja, stonowane kolory, około sześćdziesięciu postaci, może więcej. Pomysł chodził za nim już od dawna, coraz bardziej klarowny.

Obraz miał przedstawiać tłum wpatrzony w rzekę. Większość stojąca prosto, niemal na baczność, pośród nich zgarbieni, wysuszeni starcy, ludzie o zdeformowanych ciałach i bezgłowi, wzdęci topielcy i nagie dzieci, tak maleńkie, że ledwie widoczne w trawie.

Siemaszko planował otoczyć tę zbieraninę rozpędzonym życiem malowanym w ostrzejszych kolorach: ktoś kąpałby się w rzece, ktoś inny orał ziemię, obok przy stoliku kilku mężczyzn piłoby kawę lub wódkę, a dwie pary tańczyłyby pośród jakiejś strzelaniny, co do której jeszcze nie zdecydował, jak będzie wyglądać. Wiedział za to na pewno, że w tle, niedaleko nad miastem, unosić się będzie wstążka dymu.

Zamierzał zacząć od lewej strony, od postaci kobiety, która podpierałaby stojącego obok starca, ale nie potrafił się zdecydować, w jakim kolorze powinna być jej suknia.

Pomyślał, że może jednak granatowa, tak, granatowa, to chyba by pasowało, i wtedy usłyszał szelest za plecami. Ktoś szedł przez trawę od strony miasta. Siemaszko nie rozpoznał twarzy, po sylwetce mógł tylko

stwierdzić, że to chyba mężczyzna. Ten ktoś zatrzymał się, stanął w słońcu.

Siemaszko uniósł rękę. Postać kiwnęła głową, usiadła daleko w trawie, opierając dłonie na kolanach. Zaczął wyciskać farby z tubek i przysunął twarz blisko płótna, potem się cofnął, oparł wygodnie. Nabrał ochry na końcówkę pędzla, dodał do granatu. Musnął płótno, natychmiast przekonany, że zrobił to źle, że mógł odrobinę w lewo. Zawsze przyglądał się z niepokojem, jak sąsiednie kolory powoli się przenikają. Wchłaniały się nawzajem i nigdy później nie były już takie jak przed zetknięciem się ze sobą.

Kroki. Mężczyzna podszedł bliżej. Siemaszko rozpoznawał go teraz. Wysoki, zażywny, Krystian Dzierzba. Było w nim coś wcześniej niedostrzegalnego. Głos też miał inny, zmęczony.

– Co to będzie?

Siemaszko wpatrywał się w płótno, mrużąc oczy. Wreszcie obrócił się i spojrzał na przybysza.

– Prawdę powiedziawszy, coraz bardziej się obawiam, że nic.

Odłożył pędzel. Pałac baleta, Krystian patrzył na zagruntowane płótno, pokryte już tłem i kilkoma szczegółami. Siemaszko poczęstował go wyjętym z torby samogonem. Wiatr chesał trawę z zachodu na wschód. Siedzieli tak przez kilka minut, potem Krystian odszedł bez słowa, a Siemaszko długo obserwował płótno, nie dotykając pędzla.

Adam Wrzos wiedział już wszystko.

Nosili imiona Józef i Lech. Józef mieszkał gdzieś nieopodal Grodzkiej i kilka razy w tygodniu usługiwał w miejscu postoju dorożek, Lech sypiał czasem w mieszkaniu ojca na Kaliskim Przedmieściu, a czasem gdzie popadło. Trzymali się głównie razem, razem wałęsali się nocą po mieście.

Nie robił sekretu z tego, że ich szuka, szukał ich głośno, wyraźnie, a kiedy pytano go, po co mu te informacje, odpowiadał szczerze, z pełną powagą. Pierwszego dnia nie udało mu się na nich trafić, choć

wiedział, że w tak niewielkim mieście musiał pewnie raz czy dwa minąć się z nimi w niewielkiej odległości.

Noc spędził w zaroślach nad rzeką, w miejscu, gdzie leżały duże głazy. Jeden z nich był rozpołowiony i to obok niego rozłożył koc. Kilka godzin po zmierzchu pojawili się jacyś mężczyźni. Pytali, czego szuka w ich mieście. Patrzył na nich, nie ruszając się z ziemi. Tymczasem Bóg podniósł się sprężysto i obniżył łeb. Najodważniejszy z mężczyzn zapytał ponownie:

– Czego tu szukasz?

Adam przyglądał mu się, próbując policzyć jego towarzyszy, a ten mówił dalej: pytał, czy to prawda, że bluźni, wołając do psa imieniem bożym.

Adam odwrócił się i pogłaskał Boga po karku.

– To jest jedyny Bóg, jakiego kiedykolwiek spotkacie.

Wtedy jeden z nich ruszył do przodu. W rękę ścisnął jakąś pałkę czy kij. Z trzewi Boga wydobył się pomruk, tułów obniżył się jeszcze trochę.

– Lepiej idźcie.

Kręcili się jeszcze trochę, co jakiś czas któryś z nich szeptał do pozostałych, ale wreszcie odeszli. Adam czuwał do rana, wsłuchując się w odgłosy nad rzeką.

O świcie przeniósł się w zarośla za stadionem, ale nie zdołał zasnąć, wciąż wypatrywał powrotu nocnych mężczyzn. Przez cały dzień snuł się po mieście. Ludzie rozpoznawali go już, wiedzieli, kim jest, po co przyszedł, pokazywali go sobie. Nie chcieli z nim rozmawiać.

Przypominał sobie słowa tamtej dziewczyny: powiedziała mu, że jeśli będzie taka potrzeba, może skorzystać z noclegu u jej przyjaciółki. Miał szukać dwóch stawów na północno-zachodnim skraju miasta. Skierował się w tamtą stronę.

Leokadia widziała go na drodze. Ukrywała się w krzakach ze strzelbą, wypatrując na niebie złowieszczej sylwetki. Jej ciało było narzędziem, trwałym i cierpliwym. Miała cały czas świata, wiedziała, że się doczeka.

Podniosła się na dźwięk kroków. Obcy szedł powoli ze swoim pięknym psem. Przedstawił się, powiedział, że chciałby tylko przenocować w spokoju. Kiwała głową, tak, wiem, wszystko wiem. Przygotowała mu poślanie na podłodze przy drzwiach, a on stał w tym czasie bez ruchu i patrzył za okno. Później zjadł kilka kromek z miodem, a Bóg dostał wiaderko wody z pokruszonym chlebem.

Niewiele rozmawiali. Leokadia zapytała Adama, czy czegoś nie potrzebuje, bo ona mogłaby, gdyby na przykład. Pokręcił głową. Zanim położyli się spać, odwrócona do ściany powiedziała:

– Cokolwiek by mówili. Pan robi dobrze, bo. Mniej zła na świecie to jest przecie zawsze coś. Dlatego jeśli kiedyś. Rozumie pan.

Pokiwał głową w zamyśleniu i położył się na kocu, obok Boga. Leokadia leżała w ciemnościach i długo słuchała jego równomiernego oddechu.

Pierwsi trzech mężczyźni, których napotkał o świcie w drodze do miasta, ominęli go, najwyraźniej rozpoznawszy już z daleka. W składzie aptecznym nie chciano z nim rozmawiać, jakiś głos zza lady żądał, by natychmiast wypieprzał.

Na rynku zaczął parę w średnim wieku; mężczyzna, wąsaty, w ciasnej beżowej marynarce, przyspieszył kroku, ale jego partnerka zatrzymała się, puszczając jego ramię. Patrzyła na Adama, na chustę na jego głowie, na Boga.

– To prawda, co o panu mówią?

Odpowiedział to, co za każdym razem. Kobieta zmrużyła oczy.

– Ci dwaj... Oni często przesiadują nad rzeką, niedaleko ruin zamku, wie pan, tam w stronę Dzieraw.

Błyskawicznie odwróciła się i ruszyła za mężczyzną, który szeptał coś do niej szybko ostrym głosem. Adam kucnął i powoli drapał Boga po brzuchu. Miejsce, o którym mówiła kobieta, znajdowało się po przeciwnej stronie rzeki, niedaleko głazów, przy których spał dwie noce wcześniej.

Wszedł do piekarni przy rynku i kupił bochenek chleba, który zjadł z Bogiem nad wodą, oparty o filar mostu.

Znalazł ich po południu. Pijani, leżeli w słońcu. Ten wyższy odwracał głowę, bawiąc się źdźbłami trawy, które wystawały mu spomiędzy palców. Drugi coś powiedział i obaj zaśmiali się niemrawo. Adam zamknął oczy i oddychał głęboko. Kiedy ruszył w ich stronę, był zupełnie spokojny.

Na zaproszeniach widniało: „Konkurs tenisowy, czarna kawa, dancing oraz bridge”. Poniżej znajdował się rysunek przedstawiający uśmiechniętego zawodnika z kieliszkiem w uniesionej dłoni. Krystian położył bilet przed sobą na stole. Powoli przesunął palcem po konturach sylwetki tenisisty. Ręka prawie już nie bolała, opuchlizna zeszła niemal zupełnie.

O nadchodzącym garden party mówiło się w Kole od wielu tygodni – wydarzenie miało się odbyć w wielkim ogrodzie Steina, w którym specjalnie przygotowano na tę okazję court tenisowy. Regina szykowała się na to wyjście, przymierzała sukienki, kupiła nawet rękawiczki, które krawcowa przerobiła jej na ostatnią chwilę, bo okazały się odrobinę zbyt duże. Krystian długo jeszcze przesunął palcem po ramionach i głowie uśmiechniętej postaci, a potem wrzucił zaproszenie do pieca i patrzył, jak płomień zgniatają je w fantazyjny kształt. Wyszedł do pasieki.

Był zmęczony, tak zmęczony, jak chyba nigdy wcześniej. Miał przy sobie swój zielony zeszyt z pełnymi. Imiona, nazwiska, przyczyny. Przeglądał go, przekonany, że to tutaj kryje się odpowiedź, wskazówka, jakiś dla niego ratunek. Ostatnie miejsce wciąż zajmował wpis „Iwona Graczyk – z tęsknoty”. Krystian nie potrafił sobie przypomnieć, jakim był człowiekiem, zanim umieścił tutaj te słowa.

Pamiętał ten wieczór, kiedy wyznał Reginie, że tak naprawdę nie dzieli ludzi na żywych i umarłych, że jedni i drudzy są w jego świecie obecni na równych prawach. Nie potrafił tego dobrze wytłumaczyć. Opowiedział o Lolku, z którym rozmawiał po jego śmierci, a potem jeszcze wiele razy. O tym, że zmarłych nazywał w myślach pełnymi, że to określenie

pasowało mu do nich lepiej. Że podczas przygotowywania trumny często myślał o osobie, która będzie w niej leżeć, tak intensywnie, że odnosił wrażenie, jakby ten ktoś stał tuż obok.

Wydawało mu się, że usłyszawszy to, Regina odetchnęła z ulgą. Jakby się spodziewała, że jej mąż nosi jakąś tajemnicę, ale że być może jest to coś znacznie gorszego. W ciągu ostatnich lat co jakiś czas dawała mu jednak do zrozumienia, że jej zdaniem powinien uważać. Kiedy rano zamyślał się przed oknem, zapuszczając w coraz odleglejsze zakamarki samego siebie, przyczynę upatrywała w jego pracy i podejściu do śmierci. Powtarzała, że powinien więcej czasu spędzać z tymi, którzy wciąż żyli, bo przecież głosy umarłych, które słyszał, były niczym innym jak tylko jego głosem.

Teraz po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że być może w jej uwagach było coś, nad czym już dawno powinien był się zastanowić. Ostatnio jego żona nie ukrywała się pomiędzy dwuznacznymi uwagami, częściej mówiła wprost, jak choćby wczoraj.

– Ja znowu czuję, że mi to ciebie zabiera. Że w dużej mierze już mi ciebie zabrało.

Nigdy wcześniej nie musiał się konfrontować z opinią na swój temat, która byłaby tak niezgodna z tym, co o sobie myślał. Ale nie mógł przecież odmówić Reginie słuszności. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że nagle się ocknął jako smutny, cichy samotnik, który tęskni za obcą kobietą, a nad towarzystwo ludzi przedkłada obecność swoich pszczoł. Przecież chyba nie zawsze był taki.

Cofał się w czasie: pierwsze lata pracy w stolarstwie, wielka tajemnica czekająca w każdym pniu, w każdej desce. Jeszcze wcześniej: pełen niezrozumiałej grozy moment odziedziczenia zakładu, kiedy nagle wszystko stało się poważne. Liczne rozmowy z ojcem, który potrafił być daleko, nawet kiedy był blisko. Pewnego razu Krystian zapytał go, dlaczego postanowił zajmować się w życiu meblami dla umarłych. Ojciec odpowiedział od razu:

– Oni są bardzo różni, ale tę jedną rzecz mają wspólną: że ci nie chcą nic zrobić.

Jeszcze wcześniej: pierwszy własnoręcznie zrobiony taboret, pierwsze samotne podróże po niepokojących kątach zakładu. Pień po ściętym drzewie i ojciec siadający na nim każdego dnia. Smutek w domu, tak gęsty, że można go było ścierać palcem z każdej powierzchni. Zastanawiał się, czy mając za plecami to wszystko, mógł być kimś innym, innym Krystianem Dzierzbą, z innymi teraz myślami.

– Krystian?

Wrócił prosto w terażniejszość, prosto do pasieki, w nieruchomy, ciepły zapach pszczół. Otworzył oczy i przez chwilę przyzwyczajał się do zalegającego wszędzie wokół półmroku.

Regina stała w wejściu. Z wyrazu twarzy próbował wyczytać jej nastrój. Miała na sobie szarą spódnicę i białą koszulę, a więc wracała z zebrania Związku Kobiet Polskich. Wydawało mu się, że rano wspomniała mu, jakie kwestie zamierzały dziś poruszać, ale widział to wspomnienie jak przez kilka przybrudzonych szyb. Coś o kweście na walkę z gruźlicą? Nie, chyba nie. Nie potrafił powiedzieć. Prawdopodobnie tego, co umykało mu w taki sposób, ukryte za brudnymi szybami, było dużo więcej. Tymczasem Regina spojrzała w dół, na swoje poruszające się dłonie, a potem znowu na niego.

– Wiem, że spaliłeś zaproszenie na garden party. Koperta nie spłonęła do reszty.

Wstał, zataczając się, i ruszył w jej stronę. Regina mówiła dalej:

– Krystian, ja chcę pójść. I zamierzam pójść. Jeśli...

Odzyskał równowagę, stawiał duże kroki.

– ...wolisz siedzieć tutaj i zamartwiać się rzeczami, o których nawet nie rozmawiamy, to...

Zanim dokończyła, przyciskał ją do siebie i płakał.

Już od południa powozy i samochody ciągnęły ulicami Koła w stronę posiadłości Steina. Dokoła courtu tenisowego zasiadali w cieniu drzew mieszkańcy powiatów kolskiego, konińskiego i słupeckiego, a nawet przyjezdni z Kalisza czy Łasku. Okrągłe, pomalowane na białą stoliki

przykryto obrusami, te zaś podpięto od spodu za pomocą drewnianych żabek, tak aby nie podrywał ich wiatr. Pachniało świeżo zmieloną kawą i mięsem smażonym w przestronnej kuchni Steinów. Regina i Krystian zajęli miejsca obok starszej pani w sukni w czerwone kwiaty i mężczyzny nerwowo skubiącego skórki przy paznokciach.

W turnieju brało udział dwanaścioro zawodników, w tym trzy panie. Gry, rozpoczęte przed południem, co jakiś czas komentował głośno przysadzisty wąsacz zasiadający przy linii bocznej na wysokim krześle. Przy stolikach rozmawiano o sprawach mniej i bardziej palących, o jednym z podnieceniem, o innych z rezygnacją:

– Otóż wcale mi się nie wydaje, jakoby fabryki w Polsce ożywiały się w takim tempie...

– ...świadczy dymisja księdza Panasia i nikt mi nie powie, że...

– ...nawet słyszeć o tych karkołomnych zmianach w taryfie pocztowej...

– ...aby mięso jadać tylko raz na dzień i w umiarkowanej ilości...

– ...najmniejszego zamiaru, a cała ta zbiórka na Skarb Narodowy...

– ...pan powie na głośne uzdrowienie tego inwalidy na Jasnej Górze...

– ...przecież pożyczki dla rolników na zakup nasion zbóż ozimych...

– ...ja bym im dał, kurwa, strajk piekarzy.

Regina piła kawę i odpowiadała na flirciarskie żarty starszego pana, w większości rzeczywiście zabawne. Podano miękkie ciastka cytrynowe, niezwykle, jednocześnie kwaśne, słodkie i słone. Jadła z zamkniętymi oczami, modląc się, by przez chwilę nikt nic do niej nie mówił. Postanowiła, że tego wieczoru nie będzie się zastanawiać, jak się czuje, co myśli i jaki nastrój ma jej mąż.

Turniej zakończył się dopiero o zmierzchu. Zwycięzca otrzymał porcelanowy puchar i owacje na stojąco. Następnie całe towarzystwo ruszyło do pokojów – jedni zasiedli do bridge'a, inni oblegli bufet, jeszcze inni z miejsca udali się na parkiet. Tańczono shimmy, oberka, stepy i mazura, a prym wiódł potężny, rozpędzony Stein.

Lekarz włożył na ten wieczór obcisły garnitur, jakby chciał się pochwalić obfitością własnego ciała. Poruszał się zgrabnie, zwierzęco, wykonując tylko ruchy w tańcu niezbędne, nie marnując sił na nic ponad to. Mimo tej ekonomii ruchów – a może dzięki niej – wyglądał, jakby wkładał w taniec całego siebie. Podchodził do kolejnych kobiet z niezachwianą pewnością, że zechcą mu towarzyszyć, a one tej pewności ulegały. Spocony i zdyszany, zatrzymywał się tylko na łyk piwa lub wody z cytryną, a potem niecierpliwie wracał na parkiet.

Regina czuła się w jego objęciach bezpiecznie – nigdy nie uważała się za dobrą tancerkę i nigdy nie uważała, by to było w tańcu najważniejsze. Stein prowadził ją po gwałtownie zmieniających się trajektoriach i miała wrażenie, że zdołałby udanie wykonać walca nawet ze snopkiem siana.

Po kilku kieliszkach do tańca poprosił ją Krystian. Przez całą piosenkę nie zamienili ani słowa: on co jakiś czas ścisnął mocniej jej rękę, ona przesuwała mu palce po szyi to w górę, to w dół, on przyciągnął ją raz czy dwa bliżej siebie. Po wszystkim pocałowała go w nos.

Tymczasem pojawiły się dania mięsne, ryby i zupa gulaszowa. Przy stoliku dyskutowano o leczniczych właściwościach flądry i niebezpieczeństwach częstego mycia głowy w czasie zimy. Później dziękowano Steinowi, który użyczył organizatorom swojego ogrodu, courtu tenisowego i domu. Odśpiewano mu sto lat, a on skłonił się głęboko, po czym zaczął obracać się wokół własnej osi z rękoma nad głową, w pozie baletnicy.

Z ożywieniem licytowano piłki tenisowe używane podczas turnieju: nabywcą jednej z nich został owdowiały niedawno Henryk Graczyk, który snuł się między stolikami z niezapalonym papierosem w luźno opuszczonej dłoni. Kilka razy odpowiedział na kondolencje albo pozdrowienia, poza tym tylko przyglądał się towarzystwu, obracając w dłoni zakupioną piłkę.

Znowu tańce, kolejne potrawy, kawa. Krystian cierpliwie tłumaczył swojej sąsiadce, w jaki sposób należy przygotować pnie z pszczołami do zimy; Regina zastanawiała się, czy widać po niej, jak bardzo się już

spociała. Kilku pijanych mężczyzn śmiało się na zewnątrz, wszędzie unosił się dym z papierosów i fajek.

Stein siedział przy jednym ze stołów i próbował kolejnych potraw, przeskakując od jednej do drugiej, jakby sądził, że za chwilę znikną. Dotarłszy do ciasta migdałowego, zaczepił przechodzącą obok służącą.

– Pani Janko, desery obłędne. Ten krem kasztanowy, te pierniki. A budyń! Pani jest artystką.

Kobieta rozejrzała się dyskretnie, zebrała kilka pustych filiżanek, odchrząknęła.

– Panie doktorze... Ja mogę w sekrecie... Tylko niech się pan doktor nie gniewa. Za desery odpowiada Mikołaj. To on to wszystko. Zresztą zraziki również, i pieczeń...

Stein przyglądał się jej znad rozgrzebanego budyńiu, powtarzając imię syna pod nosem, ni to do niej, ni do siebie, i mrucząc, że to przecież obłędne, takie smaki, wreszcie omiół wzrokiem salę, zadudnił:

– Mikołaj? Mikołaj! Chodź no tu, chodź, niech się tobą...

Ale Mikołaja nigdzie w pobliżu nie było.

Czasami Aniela budziła się i miała wszystko. Imię, nazwisko, przeszłość i wspomnienia. Dwie siostry i czterech braci, mnóstwo pracy w polu i przy zwierzętach. Na własność prawie nic: jedną szufladę ubrań, torbę cukierków po pierwszej komunii, coraz twardszych, i obietnicę ojca, że kiedy wyjdzie za mąż, w posagu dostanie pierzynę i krowę. Później miała coraz więcej: marzenia, złoty łańcuszek po babci, grzechy, strach przed karą za nie, strach przed Bogiem, długi zimowy płaszcz i cielesne pragnienia. W końcu miała też męża. Po ślubie – z obiecaną kołdrą, ale bez obiecanej krowy, którą otrzymała jej starsza siostra, jako że niefortunnie wyszła za mąż tego samego lata – Aniela wprowadziła się do domu Dzierzbów w Kole przy ulicy Toruńskiej.

Wszystko wydarzyło się szybko, przed pójściem przed ołtarz całowała się ze swoim przyszłym mężem łącznie siedem razy. Jej nowy dom stał na samym końcu ulicy. Miasto kończyło się właśnie tutaj, a podwórko

przechodziło niepostrzeżenie w bezkresną łąkę, która w Anieli od początku budziła niepokój. Wyobrażała sobie, że ta łąka jest rozumna, że wie o Anieli więcej, niż ona sama wie o sobie. Kiedy w zimowe wieczory Aniela biegła przez podwórze do wychodka, starała się nie zerkać w stronę ukrytej pod śniegiem połaci, ale w ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi i tak odwracała głowę. Ciemność czekała tam na nią, cierpliwa, nieskończona, z tajemnicami rozwieszonymi nad głową w postaci błyszczącej kopuły.

Aniela pamiętała tamten dzień, kiedy Iwo odkrył, że od wilgoci wypaczyło mu się ponad tysiąc desek. Próbując go pocieszyć, powiedziała, że to nic, że to tylko drewno, a wtedy uderzył ją, szybko i niespodziewanie, i zanim dźwięk uderzenia wybrzmiał, już ją przeproszał, powtarzając: jestem dobrym człowiekiem, jestem dobrym człowiekiem. Później, w nocy, kiedy zsunął się z niej, wydając ten sam co zawsze odgłos – jakby go właśnie coś przestało boleć – Aniela długo leżała na plecach, rozważając te dwa fakty, istniejące beczelnie obok siebie: że jest dobrym człowiekiem i że ją uderzył.

Pamiętała, jak zdechł ich biały, kudłaty pies Kuba. Jak później co najmniej przez miesiąc każdego wieczoru przed pójściem spać Iwo opowiadał jej jakąś o nim historię, wiedząc dobrze, że przecież ona zna większość z nich. Pamiętała kolejne lata, i to, że już nigdy nie podniósł na nią ręki, jakby wstyd po tamtym wydarzeniu silniejszy był niż każda przyszła złość. Pamiętała, kiedy chory na gripę, powiedział jej, że bardzo się boi umierania, i poprosił, by zrobiła coś, cokolwiek, żeby nie umarł. Pamiętała tysiące poranków, kiedy równocześnie podnosili się z łóżka, i tysiące nocy, kiedy budziła się obok niego, zadowolona, że to właśnie on. Pamiętała poród. Ciepło nagiego, małego ciała na jej nagim ciele.

Pamiętała Lolka. Jego spory z bratem, jego szalone teorie, na przykład tę o stopach. Pewnego dnia wrócili z kościoła, a on siedział w kuchni i tłumaczył jej spokojnie, jak dziecku:

– To jest wprost, rozumie Aniela, niesłychane, że Aniela wierzy w to, w co wierzy. Aniela ma przecież stopy, na które wystarczy spojrzeć,

rozumie Aniela, przecież wystarczy spojrzeć na stopy, aby zobaczyć, że boga nie ma i nigdy nie było.

U Anieli wesołość i oburzenie dzieliło czasem bardzo niewiele, wtedy przez chwilę nie wiedziała, czy się zaraz nie roześmieje. Teraz jednak spoważniała, próbując zrozumieć, o czym do niej mówi.

– Na stopy?

– Aniela się nie złości. Oczywiście, na stopy. Pokaże Aniela. No? Dobrze, to ja pokażę. Widzi Aniela? Co to jest, te wszystkie karłowate palce, do niczego nieprzydatne, przeszkadzające tylko, co to? To jest jakaś smutna pozostałość po małpie, którą byłem, jeszcze parę pokoleń i nam to zniknie, zarośnie, ale na razie jeszcze nie znikło, za wcześnie jest od tej małpy. A Aniela wierzy w te wszystkie...

Na to wszedł Iwo. Przez chwilę patrzyli na siebie, jakby każdy próbował zdecydować, czy będzie awantura, czy cisza, wreszcie Iwo podszedł o krok bliżej.

– Mądry jesteś bardzo, patrzcie go, filozof od siedmiu boleści. Przestań ją zadrećcać swoimi bzdurami, miałbyś trochę honoru. Słyszałeś o czymś takim? Honor?

– To nie są bzdury i gdybyś się odważył raz pomyśleć samodzielnie, tobyś to natychmiast pojął.

– Wypity jesteś?

– To nie ma żadnego, najmniejszego znaczenia.

– Zobacz, Aniela.

– Masz stopy z palcami, które się zginają tak, żeby można nimi było chwycić gałęzie, i do niczego innego nie służą, tylko do chwytania gałęzi i biegania po drzewach, i wciąż, mając te stopy pod sobą...

– Znowu. O ósmej rano.

– ...i robiąc każdy krok w swoim życiu, wciąż uważasz, że nas ktoś stworzył w jeden dzień?

Iwo rzucił „Idź w cholerę” i wyszedł do zakładu, gdzie czekał na niego Krystek. Aniela znowu znajdowała się gdzieś między wesołością a oburzeniem, zagubiona w tym, co działo się wokół niej.

- Lolek, co ty mówisz?

I dalej było jak zawsze: on coraz mniej wyraźnie bełkotał, że stopy, niech Aniela popatrzy, to jest dowód, wszyscy wy, wszyscy wy wierzący, klepiący w kościele te zdrowaś i ojczenasz, przez cały czas macie przy sobie dziesięć małych, karłowatych dowodów na nieistnienie boga, a wtedy ona, pozbawiona argumentów, nieodnajdująca się w takich dyskusjach, podchodziła bliżej, zamykała go w uścisku i trzymała tak długo, aż ucichł.

Część gości ruszyła do domów, za oknami powoli się rozjaśniało. Przewidując, że za chwilę jego posiadłość zupełnie opustoszeje, Stein podniósł się zza stołu i wyszedł na środek sali. Towarzystwo ucichło, wyczekując mowy pożegnalnej w wykonaniu gospodarza, zanim jednak to nastąpiło, rozległ się głośny zgrzyt.

Większość zwróciła głowy w stronę, z której dobiegał hałas. Henryk Graczyk ciągnął krzesło przez całą szerokość pomieszczenia, patrząc nieobecny wzrokiem przed siebie.

Stein przez chwilę czekał, być może w nadziei, że mężczyzna pojmie rozmiar swojego nietaktu, ale w końcu uśmiechnął się i odsunął odrobinę, aby zrobić miejsce. Z uwagą obserwował, jak redaktor „Życia Kolskiego” ustawia krzesło przodem do zebranych, a potem niezdarnie się na nie wspina i jak wreszcie, wyprostowany, kłania się przed senną widownią.

Widać było, że trzęsą mu się nogi. Przy stolikach szeptało, ktoś zwrócił uwagę na brak umiaru w picciu, ktoś inny ubolewał nad losem zrozpaczonego wdowca. Tymczasem Henryk Graczyk przesuwając wzrokiem od ściany do ściany i wydawało się, że w ogóle nie zamierza się odzywać. Dopiero po kilku minutach, machając piłką zaciśniętą w dłoni, oświadczył:

- Długo nie zajmę, chciałbym jedynie... Mam nadzieję, że mnie państwo właściwie zrozumiecie, chociaż sam nie wiem, jak to dokładnie, w każdym razie idzie mi o to, że w mieście pojawił się pewien człowiek.

Wszyscy wiemy, tak przynajmniej mi się wydaje, kogo mam na myśli. Niektórzy posuwają się do tego, by go nazywać Diabłem.

Stein wodził teraz wzrokiem po zgromadzonych, uśmiechając się z wyraźnym zażenowaniem, jakby fakt, że takie słowa padają w jego domu, mówił coś również o nim. Henryk Graczyk kontynuował:

– Prawdopodobnie wielu z państwa wie, że dość mam własnych... spraw, aby się zajmować takimi, ale... Doszło do rzeczy brutalnej. To nie jest coś, o czym chciałbym... kiedykolwiek... Otóż ten człowiek, ten Diabeł, on... Moja żona. Jej grób, rozumiecie państwo, ten Diabeł próbował wykopać ją z grobu.

Adam Wrzos długo mył się w stawie Leokadii. Stojąc na brzegu, uważnie oglądał swoje ciało, a potem znowu wszedł do wody i szorował skórę kępą trawy. Siedział nagi naprzeciw niskiego, ciemnego słońca, w końcu się ubrał i zawołał Boga.

Kiedy wszedł do chaty, Leokadia skinęła mu z zakłopotaną miną, zapytała, czy może nie jest głodny, bo. Pokręcił głową i położył się na swoim cienkim pościeliu. Leżał w ciemnościach i liczył oddechy, powtarzał fragmenty kazań, których nauczył się na pamięć w młodości, ale nie wyobrażał sobie, by jeszcze kiedyś mógł zasnąć.

W głowie rozlewały mu się obrazy z życia, które prawdopodobnie właśnie dobiegało końca. Matka, wędrowni, pola i wnętrza podobnych do siebie chałup. Franciszkanie, długie modlitwy, tajemnice ogrodu i wojna. Potem Iwona, cały ten zdumiewający, niewiarygodny czas z nią, w który coraz trudniej było mu teraz uwierzyć. Nie wyobrażał sobie, że ktoś taki jak ona mógł pragnąć kogoś takiego jak on. Doświadczenie nauczyło go, że ludzie jego pokroju, jeśli już coś mają, to wyłącznie to, co sami z trudem wyszarпали światu. A ona spadła mu z nieba na tamtej drodze i nie uciekła, i była z nim coraz bardziej.

Przypomniawszy sobie jedno z ostatnich spotkań. Leżeli na kocu, który Iwona przyniosła mu aż z miasta. Las ochładzał się powoli po upalnym dniu, a w oddali rozbrzmiewało wołanie żurawi. Adam patrzył na ledwie

widoczne włoski na jej ramieniu, odwołując moment, kiedy wyciągnie rękę i dotknie skóry. Później ją rozebrał, a ona, leżąc na nim, całowała go w palce lewej dłoni i szeptała:

- To wszystko jest moje, moje, tylko moje. Rozumiesz? Moje, na zawsze moje.

V

– Mamo?

– Tak?

– Księżniczka Juhu chciałaby ci coś powiedzieć.

– Naprawdę?

– Tak.

– A co takiego?

– Coś złego ci chciałaby powiedzieć.

– Złego?

– Bardzo złego.

– Dobrze. Słucham, może mówić.

– Ale nie będziesz zła?

– Tego nie wiem.

– Ale obiecaj, że nie będziesz zła.

– Obiecuję, że postaram się nie być zła.

– Przysięgasz na wszystkie święte świętości z kościoła?

– Misia.

– Bo ja się boję, że jednak będziesz zła.

– Mów, kochanie.

– To nie ja, to Księżniczka Juhu...

– Tak. Dobrze. Niech Księżniczka mówi.

– Bo my... to jest Pola, Misia i ja, Księżniczka Juhu, my raz żeśmy uciekły z domu i poszły do lasu, żeby poprosić Diabła, żebyś ty i tata miała syna, bo Pola nienaumyślnie, ale przysięgam nienaumyślnie, podsłuchała, że go bardzo chcecie mieć.

– Misiu, na litość boską.

– I tam był ten Diabeł, tylko Pola zgubiła tę butelkę z wodą święconą...

– Co takiego?

– ...i nie miałyśmy żadnej broni, a on był troszkę straszny, ale nic nam nie zrobił, i jego pies też nie, i tylko nas poprosił, żebyśmy jedną rzecz dla niego zrobiły, czyli. Ja ci to powiem na ucho.

– Misiu, mów natychmiast. Nie na żadne ucho.

– Ale obiecałaś!

– Mów.

– On nas... bo on nas poprosił, żeby takie coś zanieść na smentarz. Takie pudełko.

– Boże, Misia...

– I żeby je zakopać w takim jednym miejscu.

– Misia...

– I Pola zakopała.

Po południu stary Bunin, po kryjomu wyprowadzający krowy na łąkę sąsiada, zobaczył w trawie dwóch wylegujących się mężczyzn. Poszedł dalej. Niedługo przed zmierzchem wzdłuż rzeki przechadzało się dwoje ludzi: Jędrzej, obrońca drużyny Olimpji i jeden z przyjaciół Mikołaja Steina, oraz Judyta, co do której Jędrzej się zastanawiał, czy przypadkiem nie jest w niej zakochany. Opowiadał jej właśnie, jak kiedyś zwyciężyli z Gwiazdą siedem do jednego, z czego trzy bramki strzelił on, kiedy zaczęła krzyczeć. Wtedy ich zobaczył.

Leżeli w takich pozycjach, w jakich się z własnej woli nie leży. Wykrzywieni, rozciągnięci, nieruchomi, z twarzami wtulonymi w trawę. Poruszana wiatrem łodyga ostrożnia polnego trącała skroń Lecha Górczyka. Poniżej, na szyi mężczyzny, rozlewał się siniak w kształcie żarówki. Krew z rozprutego gardła zaschła grubym płatem, łącząc skórę na piersi z koszulą. But na lewej stopie stykał się z dwoma palcami wyciągniętej dłoni Józefa Brzozowskiego, który leżał obok. W ciągu nocy błoto zastygło wokół jego skierowanej ku ziemi twarzy. Przez trzy podłużne otwory w brzuchu krew długo z niego wyciekała i wsiąkała coraz

głębiej w ziemię. Mrówki przemieszczały się wąskim przejściem pod jego ugiętym kolanem, od miasta w stronę rzeki.

Jędrzej chwycił Judytę za rękę i odwrócił ją tak, by już nie patrzyła. Po liczbie much ocenił, że nie trzeba podchodzić bliżej. Pobiegli do miasta, prosto do komendy, gdzie najpierw nikt nie chciał z nimi rozmawiać, a kiedy wreszcie powiedzieli, o co chodzi, wysłuchał ich sam Droszcz. Pospiesznie pakując torbę, zadawał im pytania takim tonem, jakby sądził, że to oni, przez sam fakt znalezienia ciał, odpowiadają za zbrodnię.

Poprowadzili policjantów na miejsce, ciągnąc za sobą coraz większą grupkę zainteresowanych przechodniów. Jędrzej pomyślał, że to koniec jego historii z Judytą, że po takim spotkaniu w żaden sposób nie da się ich znajomości uratować. Taka dziewczyna... Poczul, że w jakiś absurdalny sposób jest zły na tych ludzi, którzy tutaj umarli.

Dwaj wędkarze siedzący po drugiej stronie rzeki dopytywali, co się stało, ale nikt im nie odpowiadał. Droszcz stanął ponad ciałami, zrezygnowany, jakby do ostatniej chwili miał nadzieję, że to wszystko żart albo pomyłka. Kucnął i obrócił jednego z martwych mężczyzn. Judyta głośno zwymiotowała na trawę. Jędrzej miał wrażenie, że wszystko w nim nagle stało się ciepłe i płynne. Kto mógłby być zdolny do czegoś takiego? Miał nadzieję, że szybko go odnajdą i zrobią mu straszne, straszne rzeczy. Droszcz szeptał coś do siebie. Nad rzeką zbierał się tłum, z każdą minutą głośniejszy.

Czasami słyszała, jak po łące w jej głowie roznoszą się jakieś głosy. Nie zwracały się do niej, były jak pojedyncze kartki wyrwane z książek. Być może to jacyś zabłąkani obcy przechodzili niekiedy, przypadkiem, po jej płaskim świecie, wypowiadając słowa, które tam po nich zostawały. Życie każdego człowieka splatało się z innymi zyciami tak ciasno, że chyba niepodobna, by w przypadku śmierci było inaczej. Nie była pewna, ale całkiem lubiła te głosy, lubiła ich słuchać, kiedy była sama.

– Mamo?

Ach, tak. Uniosła widelec. Na obiad smażone płotki z ziemniakami, świeże, smaczne, i kompot ze śliwek, ale niezbyt słodki. Dziewczynki jak zawsze zjadły pierwsze, ale nie pozwolono im odejść od stołu, Krystian z kolei pochylony nad swoim talerzem, dłubiący widelcem w ziemniakach, zamyślony, przypominał Lolka z czasów, kiedy przy stole zawsze cierpiał kaca. Mała dokładka, jeszcze odrobinę kompotu.

– Ogromnie smaczne, Regina. Dziękujemy.

Potem wspinaczka, oddechy, nareszcie u siebie. Iwo coś niespokojny. Powtarzał, że kolana, że z tymi schodami to należałoby coś, nie mówił jednak co. Pytała go, ale gdzie cię boli, tu czy tutaj, dajże, obejrzę – nie chciał, kręcił głową, mówił, że to na nic. Kiedy usiadła, on wciąż się kręcił przy szafie, przy kredensie, przy niewielkiej kuchni.

– Aniela, a gdybyśmy tak...

W jednej chwili zapomniała o swojej łące, o głosach zmarłych. Wiedziała, że teraz musi być uważna. Tyle czasu czaiła się na tę rzadką zwierzynę, na te słowa, ton głosu, i teraz owa zwierzyna właśnie ukazała łeb, wychodząc spomiędzy słów jej męża.

Usiadł w swoim fotelu, poprawił się, westchnął.

– Gdybyśmy tak...

Uśmiechała się do niego zachęcająco, ale nie tak, żeby pomyślał, że jej zależy, że na to czekała. Bez za oknem zaszumiał i znieruchomiał. Dziewczynki biegły przez ogród, hałasując. Chmury kleiły się do górnej krawędzi okna, a Iwo odchrząknął.

– Gdybyśmy...

I zamknął oczy, poszukując dalszej części tego zdania, a ona, Aniela, była już na krawędzi swojego fotela, z palcami mocno zaciśniętymi na podłokietniku, i czekała, gotowa dokończyć za niego, pomóc mu w tym, co chciał jej zaproponować, ale Iwo spał.

Słowa wypowiedziane przez Henryka Graczyka podczas garden party wracały z gośćmi do domów. Uczepione ich włosów, rozarte w zmęczonych dłoniach, uwięzione w mankietach koszul podróżowały od

posiadłości Steina bryczkami, w samochodach i na rozchybotanych wozach. Trafiały do mniejszych i większych pokojów, do łóżek, pod pierzyny. Niektóre wędły, inne dojrzewały, przenikając do snów lub w ogóle nie dając spać.

Następnego dnia leżały na stołach wśród talerzy, unosiły się pod sufit w dymie machorki i tytoniu. Rosły, jedni podawali je drugim, a tamci jeszcze kolejnym. Niektórych parzyły, inni chowali je głęboko, zachowując dla siebie. Na targu wręczano je sobie razem z pieniędzmi i towarami.

Na ich dźwięk podrywały się ręce, ślina strzelała z ust, przyspieszały oddechy. Nie dowierzano, powątpiewano, zadawano pytania. Niektórzy mężczyźni dobitnie oświadczały, co zamierzają zrobić. Inni wskazywali na konieczność przygotowania planu.

Wieczorem kilkanaście osób spotkało się przed ratuszem. Słowa były coraz większe, część zebranych uważała, że działać należy jak najszybciej. Jeden z mężczyzn chodził tam i z powrotem, powtarzając:

– Jeśli to zostawimy, jeśli to zostawimy, panowie, to jak to będzie świadczyć o nas? I o całym mieście?

Kolejni przystawali, włączali się w dyskusję. Czoła marszczyły się, dym papierosowy kreślił w powietrzu zamaszyste figury. Pytania i odpowiedzi: kto, kiedy, naprawdę, w takim razie bez wątpienia, koniecznie, po cóż te dylematy. Wreszcie postanowiono: nazajutrz, o tej i o tej godzinie, w tyłu i w taki sposób. Uczestnicy zebrania powoli rozeszli się do domów, a napuchnięte słowa upewniały ich, że podjęli zgodną z ich sumieniami decyzję.

Rzeczy ostatnie. Twarde siedzisko krzesła pod pośladkami. Piasek i kurz w niestarannie zamiecionym narożniku. Zaschnięte błoto na butach. Nagle otworzyły się drzwi, pojawiła się w nich kobieta, niska, krępa, z torebką przyciśniętą do brzucha, za nią z gabinetu wyszedł Stein. Zatrzymał się zaraz za progiem. Na widok Adama ujął kobietę pod ramię

i szybko poprowadził przez korytarz, mówiąc tak głośno, jakby zwracał się do całego budynku:

– Więc soli glauberskiej gorzkiej odrobinę, po kropelce tynktury opiovej, ale tylko raz na dzień, i wkoło oka wcierać maść szarą, poza tym kąpiele nóg ciepłe z gorczycą, jak mówiłem, i nie wychodzić z domu. O tańcu pamiętać, dobrze, do widzenia!

Wypchnął kobietę na ulicę, huknął drzwiami, wyszarpał z kieszeni klucz, dwa razy nie trafił w zamek, trafił za trzecim, przekreślił. Oddychał szybko, a kiedy się odwrócił, twarz miał zaczerwienioną, oczy przymrużone.

– Pan?

Adam Wrzos wstał powoli, kiwnął głową.

– Ja.

Stein zbliżył się do okna i śledził wzrokiem pacjentkę, aż zniknęła za rogiem, wtedy odwrócił się, dopadł Wrzosa, chwycił go za ramię.

– Pan żeś chyba zwariował.

Ponieważ mężczyzna nie odpowiadał, lekarz ruszył do gabinetu, wepchnął Adama za drzwi i zamknął je za sobą.

– Przecież ta Baraniecka, ona zaraz wszystkim... jeśli ona mnie z panem... Szczęśliwie ma zapalenie oczu, ale kto wie, mogła rozpoznać... Zatłuką mnie, jak się to rozniesie.

Mężczyzna się nie poruszył, mówił powoli, jakby wciąż się zastanawiał, czy to właśnie z tym przyszedł.

– Chciałbym, żeby mi pan powiedział, jak się najlepiej przygotować na pewne zdarzenia. Przypuśćmy, że przychodzi do pana ktoś, kto spodziewa się śmierci, ale kto spodziewa się również, że być może będzie najpierw ranny i że później spotka go wiele... przykrości. I przypuśćmy, że on chciałby do tego nie dopuścić, chciałby na przykład...

Stein poruszył się gwałtownie, zahaczył biodrem o biurko. Jakaś butelka upadła z brzdękiem, fiołki potoczyły się po podłodze.

– Wynoś się pan.

Adam przyglądał się lekarzowi, czekając.

– Wynoś się pan, powiedziałem.

– Pan nie rozumie.

Ale Stein już prowadził go z powrotem na korytarz, już otwierał drzwi.

– Ja się takimi rzeczami nie zajmuję, nawet by mi to w głowie nie powstało, to mnie obraża! Słyszysz pan? Ja ludzi wszelkimi siłami utrzymuję tutaj, po tej stronie śmierci, i niekiedy to jest walka z wiatrakami, ale ja się nie poddam i tę walkę podejmuję, aby ludzie mogli pozostawać tutaj, żywi. A pan insynuuje, że mógłbym...!

Adam patrzył z jakimś tępy uporem, którego Stein dawno u nikogo nie widział. Lekarz westchnął, zarazem zniecierpliwiony i zmęczony. Wysłuchał jego tłumaczeń.

– Na wojnie, wraz z ojcami franciszkanami z Konina, udzielałem ostatnich sakramentów konającemu. Ja wiem, co z człowieka zostaje w chwilach takiego cierpienia. Wiem, co człowiek wtedy mówi, ile w nim jest jego samego, a ile zwierzęcia. I wolałbym... po prostu wolałbym pozostać do końca tym, kim jestem. To wszystko.

Stein się nie poruszał, wodził tylko wzrokiem od jednego szczegółu na twarzy przybysza do drugiego, jakby w tych ostrych rysach szukał wskazówki. Nie potrafił odnaleźć w sobie dystansu ani stanowczości, które w podobnych sytuacjach miał zwykle na wyciągnięcie ręki. Wreszcie wyszeptał coś do siebie i zniknął z powrotem w gabinecie, nie zamykając za sobą drzwi. Po chwili wyszedł i wcisnął Adamowi w rękę ampulkę.

– Ale tylko jak już będziesz wiedział, że... że już naprawdę, zrozumiano? Nie jestem tu po to, żeby... Nie jestem tu po to. A teraz już idź, wynoś się, spieprzaj, do widzenia.

Krystian rozglądał się po zakładzie. Deski pod ścianą, długi warsztat, kilka trumien w rogu. Worki z trocinami, kozły, narzędzia wiszące na ścianie obok okna. Usiadł na niskim taborecie, a wtedy William wyłonił się z jednego z tych licznych, niewidocznych ludzkim okiem miejsc, z których wyłaniają się koty. Rozciągnął się, nie zwracając uwagi na nic oprócz

swoich przednich łap. Krystian podniósł go i przytulił do piersi. William szamotał się chwilę, wreszcie dał za wygraną.

Jego ciepłe ciało ukryte pod futrem. Krystian przysunął twarz do małej, miękko-twardej głowy i wdychał zapach tego niewielkiego życia. Gdzieś za nim, za tym zapachem, wciąż wyraźna pozostawała woń zakładu, którą znał od zawsze.

Od dłuższego czasu skradała się w nim, coraz bliżej i bliżej, myśl o tym, że przecież jego zakład nie będzie istniał wiecznie, a skoro tak, to że mógłby istnieć krócej niż on sam. Wyobrażał sobie wynik równania, w którym od Krystiana Dzierzby odjęto by całe to drewno i całą tę stolarkę. Wyobrażał sobie, ile by po takim działaniu pozostało.

Pomyślał, że gdyby coś takiego się zdarzyło, mógłby zająć się tylko pszczołami. Dokupić pni, powiększyć pasiekę i jeździć z miodem na targ. Przecież by mógł. A potem wyobrażał sobie, co zajęłoby się pierwsze, gdyby podpałił stojący na środku worek z trocinami. Płomienie wolno przenosiłyby się z deski na deskę, karmione niewielką ilością powietrza między nimi, ale w końcu dotarłyby do sufitu i ścian, rosłyby w otwartej przestrzeni. Wyobrażał sobie zapach, gwałtowny, miękki, kłujący w nos i pełen ostrych krawędzi, niezwykle.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio odczuwał taką ulgę. Ogień wydostający się na zewnątrz przez dach. Pękające okna, zza tych okien kłęby w kolorze stali. Ciepło na twarzy.

Zamknął oczy. Na piersi czuł wibrujące ciało Williama, jego pazury przebijające materiał koszuli, łapy ugniatające ciało. Deski pachniały intensywnie. Wiele lat wcześniej, chcąc zaimponować ojcu, próbował nauczyć się rozróżniać woń poszczególnych gatunków, ale drewno zawsze go zwodziło, umykało mu, jakby nie chciało, by je rozpoznawano w ten sposób, z daleka.

Kiedy z powrotem otworzył oczy, wszystko było jak dawniej. Żadnych płomieni, dymu. Podszedł do warsztatu, do leżącej na nim okiennicy, której wciąż nie dokończył. Ostrożnie odstawił Williama na blat, przesunął piłę, poprawił liniał i węgielnicę tak, żeby leżały równo obok siebie.

Za oknem przeszła Misia, zapłakana, z błyszczącymi smarkami nad górną wargą. Wiedział, że za pięć minut, ganiając po podwórku Williama albo wchodząc na drzewo, nie będzie nawet pamiętał, co ją zasmuciło. Zastanawiał się, czy też był taki w jej wieku. W swoim najwcześniejszym wspomnieniu biegł przez ogromny dom. Przemierzał kolejne przestronne pomieszczenia, odpychając się w pędzie od futryn, krzesel, fartuchów, jakby płynął. Dom Dzierzbów, jak większość znanych mu domów, zbudowany był w taki sposób, że każda izba połączona była z dwoma sąsiednimi, dzięki czemu dało się go obejść dookoła. W swoim pierwszym wspomnieniu mały Krystian Dzierba mijał kolejne drzwi, zdumiony tym, że za każdym pokojem czeka jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i jeszcze. To był nieskończony dom, a on mógł po nim biegać tak długo, jak tylko chciał.

Teraz, stojąc przy warsztacie i obserwując swoją córkę idącą po podwórku, pomyślał, że właściwie nigdy nie przestał biec. Za każdą spełnioną nadzieją pojawiała się kolejna. Cel, kiedy się go osiągało, odsłaniał nowe cele. Zrealizowane marzenie zniknęło zastąpione innym, nowym marzeniem, a za każdym rozwiązaniem problemem czekał następny problem. Przecież jeszcze kilka dni temu bał się, że straci rękę, a może nawet umrze z powodu zakażenia. Teraz był zdrowy, nie musiał się już martwić tym, co go do niedawna zadręczało, a jednocześnie nie czuł się ani odrobinę szczęśliwszy, bo głowę zaprzętały mu inne, równie ważne problemy. Za każdym pokojem czekał kolejny, ale na to, co znajdowało się za najbliższymi drzwiami, nie miał już siły.

Wszystko w jego życiu nagle szlag trafił, a najgorsze, że nie wiedział właściwie, dlaczego tak się stało. Przesuwał palcem po drewnie. Oddychał powoli i próbował wypchnąć z głowy wszystkie zalegające tam niewygodne słowa. Patrzył na słoje, na włókna układające się w niepowtarzalny wzór, jak linie na opuszkach palców.

Mógłby coś zmienić, zacząć robić z drewna przedmioty dla żywych. Mógłby starać się przebywać głównie po tej stronie, zamiast wiecznie tkwić w cichej, spokojnej krainie pomiędzy, ale wiedział, że drewno zawsze będzie dla niego podróżą przez śmierć – gdyby miał już do końca

życia robić tylko krzesła, komody i okiennice, i tak wciąż pamiętałby, że są wykonane z trumien.

Gdyby tylko mógł zrozumieć, dlaczego tak się czuł, gdzie leżała przyczyna. Czy urodził się taki, chodziło o wieloletnią pracę z drewnem dla zupełnych – a może to od zawsze tkwiło w jego rodzinie? Przecież pamiętał tamten dzień, kiedy matka wiedziała coś, czego nie powinna była wiedzieć. Robił wtedy trumnę dla starego Baryłczaka z odległej o ponad dwadzieścia kilometrów wsi Zakrzewek i przy śniadaniu wspomniał o tym, zadowolony, że o jakości jego usług dowiadują się ludzie z coraz dalszych okolic. Aniela uśmiechnęła się sennie i rzuciła, nie podnosząc głowy:

– „Stoją bez ruchu i gapią się wszyscy”. Ciekawe, co miał na myśli.

Kiedy zapytali, o czym mówi, spojrzała na nich ze zdziwieniem, przez które przebijał strach, i wyjaśniła, że przecież to powiedział przed śmiercią, a ona tylko zastanawiała się... Potem umilkła, ktoś zmienił temat i więcej o tym nie rozmawiali.

Kilka dni później, oddając trumnę synom Baryłczaka, Krystian zapytał ich wprost i dowiedział się, że mężczyzna rzeczywiście powiedział przed śmiercią coś takiego. Tyle że nikt ich tu nie znał, a jeden z mężczyzn wyraźnie dał do zrozumienia, że nie podoba mu się to pytanie i rozmowa o takich rzeczach. Ojciec był pijak i raptus, nieważne, co gadał, bo przez całe życie gadał wyłącznie kłamstwa. Cała rodzina chciała jak najszybciej mieć już z głowy ten kłopot z pogrzebem.

Aniela, wychodząca z domu tylko w niedziele, nie miała prawa wiedzieć w piątek, co mówił przed śmiercią mężczyzna zmarły dwa dni wcześniej, a jednak wiedziała. Krystian pytał ją o to kilka razy, ale tylko wzruszała ramionami, coraz bardziej zakłopotana. Może więc to nie było coś tylko w nim, może odziedziczył te myśli i nastroje po niej i jej przodkach? Myśl o tym przynosiła mu nieznaczną ulgę, ale wszystko to i tak wydawało mu się zbyt męczące.

Zamknął oczy. Palce na gładkiej powierzchni liniału. Wyobrażał sobie, jak pożar redukuje to wszystko, co znajdowało się teraz wokół niego, do

sterty czarnych kikutów. Długo tak stał, bez ruchu, wyobrażając sobie koniec tej części swojego życia.

Otworzył oczy na dźwięk szybkich kroków. Regina szła ku niemu przez otwarte drzwi, niosąc drewnianą łyżkę, o której chyba zapomniała, że trzyma ją w dłoni, oraz trzy słowa, wypowiedziane raz przy wejściu, a potem ponownie z bliska, obok jego twarzy:

– Musisz coś zrobić.

Mikołaj Stein posuwał się naprzód w kukki, z nożem w opuszczonej dłoni. Dom Szalonej Leokadii miał ściany z wypalanej gliny i pokryty był strzechą, którą przyciemnił czas. To tutaj od kilku dni mieszkał Diabeł, mówiło się o tym w całym mieście.

Mikołaj wiedział, jak używa się noża, być może wiedział to lepiej niż każdy inny mężczyzna w tym mieście, ale wbijanie ostrza w ciało żywego, oddychającego człowieka to przecież coś innego niż krojenie marchwi, piersi kurczącej czy zrazów. Próbował sobie wyobrazić, jak miałby to zrobić. Z rozpędu, w brzuch? Przecież chyba nie w głowę? A może jakoś od boku, między żebra, może wtedy jest szansa na trafienie w serce. Wszystko to wydawało się niemożliwe.

Jego ojciec trzymał w domu starą, zakrzywioną szablę, o której mówił, że to dla bezpieczeństwa, przeciwko rabusiom. Wielu mężczyzn w Kole robiło podobnie: trzymali strzelby i pistolety, noże, szable, wszystko na wszelki wypadek, ale Mikołaj nie wyobrażał sobie, że wyobrażali sobie, że mogliby naprawdę tego użyć. Wisząca na ścianie szabla to przecież – chyba – całkowicie inny przedmiot niż szabla, którą ma się zabić prawdziwego człowieka.

A może to wymaga jakiejś wielkiej siły. Przecież należy najpierw przebić ubranie, a potem skórę i mięśnie pod spodem. Może aby zabić człowieka, potrzeba szczególnych umiejętności, jakiegoś wielkiego wysiłku – przecież zabijanie powinno być trudne.

Z drugiej strony wiedział, jak niewiele czasem wystarczy, żeby umrzeć, dobrze pamiętał dzień, kiedy się o tym przekonał. Był wieczór, początek

jesieni, w domu pachniało suszonymi grzybami. Ojciec namawiał mamę na tańce: pójdźmy, pobawmy się, będą Alutka z Rysiem i Klimaszewscy, oj, pójdźmy. Mamie się nie chciało, była zmęczona, ostatecznie nie poszli. Tej samej nocy jakaś wąska żyłka w jej głowie zatkała się, krew nie dotarła tam, gdzie powinna, i mama już nigdy się nie obudziła. Podczas stypy Mikołaj usłyszał, jak ojciec mówi wujkowi Antkowi, swojemu szwagrowi, że gdyby poszli na te tańce, gdyby ona się poruszała, poskakała, to płynąca szybciej krew rozszerzyłaby tę żyłkę i mama żyłaby dalej.

A skoro jedno wyjście na zabawę oddzielało żywych od umarłych, to może zabicie człowieka wcale nie było trudne. Nie miał o tych sprawach pojęcia. Zwalniał kroku. Czuł pot na brzuchu i wewnątrz zaciśniętych dłoni. On, który prawie co do słowa pamiętał tamtą rozmowę rodziców i który w dzieciństwie na widok obdzieranego ze skóry zająca błagał dziadka, by ten natychmiast przestał, a potem przez kilka tygodni w nocy śnił tylko o tym zającu, teraz szedł zabić żywego człowieka.

Chyba wszyscy w mieście wiedzieli już o wydarzeniach nad rzeką, o Diablu i dwóch zakrwawionych ciałach, które tam po sobie zostawił. Kilku najgłośniejszych w Kole mężczyzn szykowało podobno lincz, tak przynajmniej twierdził Jędrzej, który jako pierwszy zobaczył trupy i który najwyraźniej sam zamierzał w tym linczu uczestniczyć. Mikołaj nie wiedział, kiedy właściwie jego plan wypędzenia Diabła z miasta – najlepiej na oczach wielu osób, najlepiej na oczach Weroniki – wypaczył się, przyjmując obecną postać. Wygnanie wydawało się już niewystarczające, zbyt łagodne jak na przewinienia, które przypisywano Diabłu w ulicznych rozmowach. To, co Mikołaj odgrywał już w głowie wiele razy i co wyobrażał sobie jako bohaterski czyn, mogłoby się teraz okazać zwykłym aktem tchórzostwa. Nie chciał wierzyć, że jedno od drugiego dzieliło w tym wypadku tak niewiele, ale fakty pozostawały faktami i jego plan się zmienił, choć on sam miał poczucie, że zmiana dokonała się sama.

Pomyślał nagle, że mógłby zrezygnować. Że przecież nikt o jego postanowieniu nie wie, nikt go nie uzna za tchórze. Nikt mu nie będzie wypominał: szedłeś i zrezygnowałeś. Chciałeś, a jednak znowu się odwróciłeś. Ale przecież był jeszcze on sam. W przeszłości za każdym

razem podczas krajania kiełbasy będzie widział dłonie tchórza. Wstając z łóżka, będzie widział kolana tchórza i tchórza obrzydliwe stopy. Kiedy będzie go boleć brzuch, to będzie go boleć brzuch tchórza, każdy dźwięk, który od dzisiaj usłyszysz, usłyszysz uszami tchórza, to wszystko będzie już właśnie takie, ubrudzone tym jednym słowem.

Szedł więc dalej, pod prąd swojego strachu, to już nie on decydował, decydowało coś głęboko w środku, czego nie rozumiał, więc szedł, coraz szybciej, i chata Leokadii rosła przed nim, niepozorna, nieświadoma, co się zaraz wydarzy w jej wnętrzu, a kiedy zostało mu kilka ostatnich metrów, ścisnął mocniej rękojeść noża i te ostatnie metry przebiegł. Drzwi bardziej uderzył, niż popchnął – nie było w nich zamka.

Wpadł do środka, przekonany, że w ten sposób, z rozpędu, będzie najłatwiej, że jeśli jego ciało pozostanie w ruchu, to on sam, Mikołaj Stein, nie będzie musiał nic robić. Drewniane drzwi uderzyły o ścianę. Zaduch. Woń spalenizny. W domu Szalonej Leokadii nie było nikogo.

Henryk Graczyk stał pośród liter, z których każdego dnia składał nową prawdę. Jego drukarnia mieściła się nieopodal rynku, przy ulicy Grodzkiej, na parterze nowej czteropiętrowej kamienicy o błękitnej fasadzie. W zakładzie było cicho i pusto. Kiedy Iwona żyła, często zostawał tutaj po całym dniu pracy, często wołał być tutaj niż tam.

Pamiętał, jak siedemnaście lat wcześniej odbierał z odlewni czcionki wykonane z ołowiu, antymonu i cyny w proporcjach 75 : 23 : 2, pamiętał, jak je dźwigał w ciężkim drewnianym pudle, jakby niósł przed sobą całą swoją przyszłość. Miał ich teraz cztery razy więcej, część znajdowała się w kasztach wsuniętych w wysokie regały i czekała, aby stać się słowami, które trafią do mieszkańców Koła, wejdą im do głów, wywołają w nich zdziwienie, zachwyt, złość, śmiech, staną się przyczyną gniewu. To stąd Henryk Graczyk dyrygował całym miastem, to tutaj decydował, o czym już za kilka dni rozmawiać będą wszyscy, jak będą się czuć, w którą stronę pobiegną ich lęki i marzenia.

Wysunął jedną z kaszt i błdził palcem po literach, wyobrażając sobie, jakie jeszcze prawdy stworzy z nich w przyszłości. Pod opuszką przesuwaly mu się kolejne znaki alfabetu i cały pozostały materiał drukarski: spacje, firety, rygi i interlinie.

Dziś został tutaj, aby pomyśleć. Jego redaktor, Radek Waleszka, doniósł mu po południu, że mężczyźni w mieście szykują lincz. Waleszka cały od tego chodził, powtarzał, że on też zamierza, że nie daruje, że takie rzeczy, takie potworności, że kara.

Henryk patrzył na niego i zastanawiał się, jak do tego doszło, że stał teraz tutaj, owdowiały, bez Iwony, a z jego powodu miało dojść do linczu na mężczyźnie, którego nawet nie znał. Być może winna była Iwona, a może on sam, może to przez niego to wszystko.

Poznali się w listopadzie 1907 roku u jej kuzynki Basi, którą brat Henryka tydzień wcześniej poprosił o rękę. Henryka zajmowały w tamtym czasie zupełnie inne rzeczy, kobietami nie interesował się prawie w ogóle – to właśnie wtedy ukazał się pierwszy numer wydawanego w Warszawie pisma „Zaranie”, który szczelnie wypełnił jego świat. Henryk do dziś pamiętał pierwszą stronę gazety, kształt liter, wielkość wierszy, pamiętał każde wydrukowane w niej słowo. Po raz pierwszy zetknął się z prawdą podaną tak prosto i bezpośrednio, z prawdą, którą każdy mógł kupić i zabrać do domu.

Siedział więc tamtego wieczoru przy stole, udając, że go ciekawią prowadzone wokół rozmowy, choć ciekawiło go tylko to, jak można się znaleźć po drugiej stronie prawdy – kto tam jest i co robi, żeby taka gazeta powstała. Wiedząc, że ryzykuje swoją reputację, a po części również reputację brata, mimo wszystko rozwinął „Zaranie” pod stołem i zerkał na nie raz po raz. Kiedy dotarł do czwartej strony, swojej ulubionej, Iwona wylała na niego rosół. Nie wiedział, czy zrobiła to celowo, czy przypadkiem – z jej twarzy nie dało się tego wyczytać. Kiedy już odstawiono cały teatr związany z czyszczeniem go, przeproszaniem, wstawaniem, żartowaniem i tak dalej, kiedy rozmowa potoczyła się dalej, kiedy wreszcie wstano od stołu, wyszedł przed dom, oparł się o ścianę

i wysunął gazetę z powrotem z kieszeni. Tuż przy lewym uchu usłyszał szybki szept:

– Pan uważa, że ten kawał papieru jest ciekawszy niż ja?

Stała obok niego i paliła. Uśmiechnął się, zaczął:

– Szczerze mówiąc... – Zawahał się, patrząc na jej twarz. – A więc pani to zrobiła celowo?

Iwona pochyliła się wtedy i pocałowała go w usta.

– Proszę mnie posłuchać. Pan mi się zupełnie, zupełnie nie podoba. Naprawdę. Ale poczułam się urażona i udowodnię panu, że jestem dalece ciekawsza niż jakiś kawałek gazety.

Cztery lata później, kiedy była już jego żoną, z powodu publikacji niepochlebnych artykułów poświęconych duchowieństwu Kościoła nałożył na „Zaranie” klątwę, co tylko utwierdziło Henryka w przekonaniu, że wydawanie czasopisma to jest coś, czemu warto poświęcić życie. Z Iwoną był szczęśliwy, tak jak szczęśliwy może być człowiek, który ułożył sobie to, co uważał, że musi mieć ułożone, i wreszcie może się zająć swoimi sprawami. Miał jasne, określone marzenia, i w ciągu kolejnych lat spełnił je wszystkie. Nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że tamten energiczny, radosny i pełen nadziei chłopak stał teraz w swoim wymarzonej zakładzie i czuł się sobie tak obcy.

Na zebrecie leżały już czcionki uformowane w najnowszy numer „Życia Kolskiego”. Po ułożeniu w wierszowniku, przeniesieniu na szufelkę i odpowiednim związaniu trafiły tutaj, czekając na swoją kolej. Henryk miał ochotę wyrzucić zebret, ruszyć dalej, wyrwać kaszty, kopać we wszystko wokół, zniszczyć każdą najmniejszą rzecz, a potem pobiec do domu. Ale w domu nic go już nie czekało.

Uklęknął na podłodze, której znowu, mimo tylu jego próśb i nalegań, nie zamieciono, i zamknął oczy, a wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Pomyślał, że to będzie on. Olbrzym. Obcy. Tak na niego mówili, i po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie wie nawet, jak ten mężczyzna się nazywa. Rozejrzał się za czymś, czego mógłby użyć jako broni. Dostrzegł

tylko miotłę wiszącą na haku jakieś trzy metry od niego. Nabrał powietrza.

Nie, nie będzie bronić się miotłą przed jakimś szmaciarzem. Kilkoma szybkimi ruchami strzepnął z ramion drobinki łupieżu, strzepnął strach, wyprostował się.

– Proszę.

Do zakładu wszedł stolarz, Krystian Dzierzba.

VI

Mikołaj chodził po niewielkiej chacie, dotykał kolejnych przedmiotów: blaszanego kubka, pogrzebacza, świętego obrazka na ścianie. Pachniało rybami i ludźmi. Nierówna, ciemna podłoga, z błyszczącymi łuskami wtartymi w deski, przypominała niebo w bezksiężycową noc. Okno było tak brudne, że właściwie przestało być oknem.

Mikołaj drapał się rękojęścią noża po wnętrzu lewej dłoni. Jego wzrok na niczym nie zostawał dłużej niż dwie, trzy sekundy. Uwierała go myśl, że znajduje się na miejscu zbrodni, której jeszcze nie popełnił. Przysiadł na niskim posłaniu, ale natychmiast wstał i w końcu wyszedł na zewnątrz.

Słońce przeciekało przez szpary pomiędzy bezkształtnymi chmurami. Bliższy ze stawów wydawał się powleczonej lśniąca blachą. Mikołaj usiadł na progu, ostrze noża oparł o drewnianą futrynę i kiedy kręcił nim powoli, to w jedną, to w drugą stronę, zorientował się, że ma nadzieję, że ktoś go tutaj zobaczy, przyłapie, każe się wynosić. Ale nic takiego się nie działo i wiedział, że się nie zadzieje. Zaczął szukać miejsca poza chałupą, w którym mógłby poczekać na Diabła.

Okrażył budynek, co chwilę oglądając się za siebie, potem ruszył dalej. Stawy Szalonej Leokadii przedzierał wąski pas ziemi porośniętej trzcina i trawą. Na środku Mikołaj znalazł pokrywę niestarannie przykrytą gałęziami i liśćmi. Pod spodem znajdowało się coś w rodzaju małego schronu, a w samej pokrywie widniał otwór o nierównych krawędziach. Wiedział, że Szalona Leokadia od lat poluje na kormorana – wszyscy o tym wiedzieli – to musiało być w takim razie jej miejsce obserwacyjne, być może jedno z wielu, gdzie cierpliwie pielęgnowała nienawiść do podniebnego szkodnika.

Mikołaj podniósł pokrywę i zajrzał do środka. Czarna ziemia była uklepana na dnie i jednym z boków, o który Leokadia zapewne najczęściej się opierała. Gdzieniedzie ze ścian wyzierały bladobrazowe korzenie.

Kucnął i ostrożnie zsunął się do jamy. Zamykając wąż, obsypał się piaskiem. W środku miejsca było niewiele, musiał podkurczyć nogi i się zgarbić, zbliżając pierś do kolan. Ziemia osuwała mu się pod łokciem, który oparł o ściankę schronu, aż w końcu stracił równowagę. Nie podniósł się, leżał tak, na boku, całkiem wygodnie, i czekał.

Wypuścił nóż z dłoni, poruszył stwardniałymi palcami. Woń wilgotnej ziemi przypominała nieco zapach sosu grzybowego, z którym zawsze tak wymśnienicie smakowała pieczeń wołowa. Zamknął oczy i niedługo później już spał.

Henryk Graczyk wiedział, że raz skonstruowana prawda najczęściej żyje własnym życiem, niezależnie od twórcy, i że zazwyczaj nie sposób jej zatrzymać. Słuchał stolarza z tą pozorną bezradnością kogoś, kto nie tylko nie chce nic zrobić, lecz także wie, że jest już za późno. Ludzie w Kole uważali, że człowiek, który kilka dni temu wkroczył do miasta, to diabeł, i wszystko, co mówił mu teraz Krystian Dzierzba, nie miało już znaczenia. Prawda o tamtym mężczyźnie była już zbyt dojrzała i silna, by dało się ją okiełznać, zastąpić inną prawdą.

– Pan nie rozumie – powtarzał, próbując przerwać monolog stolarza. On jednak mówił coraz szybciej. Był to jeden z tych znanych Henrykowi przypadków, kiedy człowiek zdobywa się na odwagę, by coś wyznać, ale wie, że to jest odwaga jednorazowa, nie do odzyskania.

Kiedy wreszcie zamilkł, Henryk pochylił się w jego stronę, chwycił go za ramiona i zrobił taką minę, jakby to ten stolarz, a nie on, stracił żonę, i jakby to jego należało pocieszać.

– Ja nic nie mogę już zrobić. Rozumiem, i nawet byłbym zdolny uwierzyć, że to nie ten Diabeł był na cmentarzu, skoro pan tak twierdzi, owszem, to przecież możliwe, ale niech mnie pan posłucha: inne rzeczy na jego temat pozostają prawdą, pan rozumie?

Mężczyzna patrzył na niego, najwyraźniej zdziwiony tym, co się stało z przyniesionymi tu słowami, i najwyraźniej nie miał pomysłu na żadne

kolejne. Pokręcił głową. Prawa ręka drżała mu przy ciele jak coś osobnego, niepowiązanego z tym ciałem.

– Niech pan się nie martwi – powiedział Henryk, odwracając się do wysuniętej kaszty. – To może już się dzieje, może nawet już się wydarzyło, kto wie? Wkrótce będzie po wszystkim.

Stolarz dalej kręcił głową, może nie zgadzał się z tym, co usłyszał, a może z tym, jak przebiegła cała ta rozmowa, trudno było to stwierdzić. Henryk udawał, że na niego nie patrzy. Przesuwał palcem po czcionkach, przesadnie skupiony, raz i drugi głośno przelknął ślinę. Czekał jeszcze przez minutę czy dwie, aż w końcu mężczyzna wyszedł, cicho i dyskretnie, jakby go tu nigdy nie było.

Natknął się na nią, wracając od Steina, czekała na niego na drodze: wysoka, dobrze zbudowana brunetka w zielonej spódnicy. Bóg wyczuł ją dużo wcześniej, unosił pysk i węszył, lekko stąpając.

W pewnym sensie przypominała Iwonę, choć wcale nie była do niej podobna. Może chodziło o postawę, o to, jak trzyma głowę, jak spleta przed sobą ręce. Z drugiej strony teraz wszystko przypominało mu Iwonę – budził się i pierwsze, co przychodziło mu do głowy, to właśnie ona, a potem przez cały dzień myślał już tylko o niej. Niekiedy przymuszał się do jakiejś czynności, do rozmowy z kimś na drodze, żeby przez kilka sekund wypełnić głowę czymś innym, ale potem to ogromne puste miejsce po Iwonie wracało, zazwyczaj jeszcze większe niż wcześniej.

Zszedł na pole, żeby ominąć czekającą kobietę, ale ta zastąpiła mu drogę, nie zwracając uwagi na Boga. Powiedziała, że ma na imię Regina, że czeka tu właśnie na niego i że chciałaby chwilę pomówić. Zwolnił. Było mu wszystko jedno. Zatrzymał się i słuchał.

Jeśli natychmiast nie opuści pan miasta, zabiją pana, mówiła nieznajoma. I dodała, że może nawet nie obchodziłoby jej to zbytnio, gdyby nie pewna osobista rzecz. Te dwie dziewczynki, którym kazał zakopać tamtą wstrętną rzecz na cmentarzu, czy on wie, że one mają

zaledwie tyle i tyle lat? Bo to są jej córki. Jedna z nich, starsza, ma na imię Pola. I ona zajrzała do środka, czy on to rozumie?

Dziewczynki w lesie, pakunek i prośba, którą wypowiedział pod wpływem chwili. To było tak dawno temu, że wydawało się, jakby przeżył to jakiś inny człowiek. Nieznajoma tłumaczyła teraz, że jeśli nie ucieknie, jeśli da się zabić, to skutki dotkną jej rodzinę, że ona nie zamierza na to pozwolić i że jeśli będzie trzeba, to sama go z tego miasta wyprowadzi.

Ani razu nie pomyślał o tamtych dwóch dziewczynkach. Był chyba gotów uwierzyć, że ich odwiedziny tylko mu się śniły. Ale teraz rozmawiała z nim prawdziwa kobieta, która je urodziła, która się nimi opiekowała i która miała prawo mieć mu za złe to, co się stało i co miało dopiero się stać.

Zrobiła krok do przodu, a on powiedział:

– Wie pani, o tym, czy ja przeżyję, decyzję podejmują już chyba inni. Jeśli dobrze słyszałem.

Zmarszczyła się i lekko przekrzywiła głowę, trochę jak Bóg, kiedy słyszał coś niepokojącego w krzakach.

– Ale to pan decyduje, czy im w ogóle da taką możliwość.

Zamknął oczy. Jak to się stało, że stał na drodze z nieznajomą kobietą i prowadził z nią taką rozmowę? Nie otwierając oczu, powiedział:

– Pani sugeruje, że miałbym stchórzyc.

Odparła, że jeśli tchórzostwem nazywa naprawienie błędu, którego się dopuścił wobec dwóch małych dziewczynek, to tak, ona to właśnie sugeruje. Spojrzał na nią w końcu, zagryzając wargi. Powinien odwrócić się do niej plecami i skończyć rozmowę, która i tak trwała zbyt długo. Wreszcie zapewnił nieznajomą, że dobrze, że zrobi to, co słuszne, i tak jest mu wszystko jedno.

Kobieta stała bez ruchu, wreszcie skinęła głową. Odeszła bez słowa, w czym jeszcze bardziej przypominała Iwonę.

Po wizycie Obcego Waldemar Stein wrócił do domu, nalał sobie węgryzna, wypił i nalał znowu. Usiadł, czekając, aż się uspokoi. Po drugim kieliszku

zawołał Mikołaja, po trzecim wstał, żeby go poszukać.

Jednocześnie uświadomił sobie, że po raz ostatni widział go chyba podczas garden party. Tak, na pewno. Rozejrzał się gorączkowo po jego pokoju, zawołał jeszcze kilka razy, wreszcie usiadł na łóżku. W jakimś odruchu, nagle pewien, że syn się przed nim ukrywa, szybko otworzył szafę, następnie uniósł ciężką zasłonę, na koniec zajrzał pod łóżko. Klęcząc na podłodze, poczuł się idiotycznie. On, dorosły mężczyzna, robiący takie rzeczy. Zanim się podniósł, zobaczył grubą książkę owiniętą w płótno. Wyciągnął ją ostrożnie, położył sobie na kolanach, zdjął materiał.

Była to *Uniwersalna książka kucharska* Marii Ochorowicz-Monatowej, poczerniała na rogach, tłusta od palców, które musiały dotykać jej bardzo często. Niektóre strony zaznaczone były pociętymi kawałkami „Życia Kolskiego”, inne nosiły ślady ołówka, którym podkreślono co ważniejsze zdania.

Stein przypomniał sobie słowa pani Janki wypowiedziane szeptem podczas garden party, słowa, o których w pogoni późniejszych wydarzeń całkiem zdążył zapomnieć: „Za desery odpowiada Mikołaj. To on to wszystko. Zresztą zraziki również, i pieczeń...”

Uświadomił sobie nagle, jak często zastawał syna w kuchni – zawsze w pośpiechu chowającego naczynia albo w pośpiechu opuszczającego pomieszczenie wypełnione zapachami, które on sam odruchowo przypisywał działaniom pani Janki. Stein przewracał teraz kolejne strony – część pozostawała luźno wsunięta pomiędzy inne, część nosiła ślady stawianych na niej filiżanek, talerzy.

Odruchowo spróbował teraz wyliczyć w myślach wszystko, co wiedział o aktualnym życiu syna: szkoła, spanie do późna w dni wolne od nauki, Olimpja Koło i koledzy, czyli konkretnie Jędrzej, Bobo oraz ten trzeci, którego imienia nie pamiętał. Co jeszcze? Na pewno wiedział więcej, znacznie więcej, ale teraz nie potrafił sobie przypomnieć nic konkretnego. Każdej niedzieli zapraszał syna do gabinetu na kieliszeczek węgryna i spędzali wspólnie godzinę, czasem półtorej, z pewnością więc rozmawiali o wielu rzeczach. Ale o jakich właściwie? Przetraszał pamięć

w poszukiwaniu opowieści Mikołaja, ale tych opowieści nie było – były tylko historie i wykłady jego, Waldemara Steina.

Pamiętał dobrze, jak po śmierci Staški odsunął syna na odległość chłodnych codziennych zagajeń i uprzejmości, ponieważ zbyt mu o niej przypominał. Doktor zapewniał mu wszystko, czego chłopiec w jego wieku mógł potrzebować, oprócz samego siebie, bo tego dać mu nie potrafił. Przed nadmiernymi wyrzutami sumienia chroniła go służba: Mikołaj miał zapewnioną uwagę, pieśczoć, zabawy, nawet lekturę książek przygodowych przed snem.

Stein był więc ojcem w najmniejszym możliwym zakresie, ale skoro tak, być może oznaczało to, że nim wcale nie był. Być może nie da się być ojcem bardziej lub mniej. Pół ojca i ćwierć ojca to jest żaden ojciec.

...i tym razem również chciałem odwrócić się, tak jak wtedy, a jednak nie odwróciłem się...

Stein poderwał się z łóżka. Wyszedł na korytarz, wrócił i spojrzął przez okno. Nic. Pomasaował skronie i usiadł z powrotem. Powinien chyba w końcu odpocząć.

Dalej przeglądał książkę kucharską, po zagnieceniach i zabrudzeniach stron poznając ulubione potrawy syna, i może poniekąd też jego samego. Pomyślał, że jak najszybciej powinien z nim porozmawiać, i zawołał raz jeszcze, ale Mikołaja wciąż nie było.

Po rozmowie na drodze Adam poszedł prosto do chaty Leokadii. Spotkał ją przed drzwiami, wracała z targu; na jego widok uniosła głowę z wyrazem oczekiwania, jakby się spodziewała, że ma jej do powiedzenia coś ważnego. Kiwnął tylko i wsunął rękę do kieszeni. Od pewnego czasu odnosił wrażenie, że wszystkie ważniejsze rozmowy, które toczy z ludźmi, odbywają się właśnie w taki sposób, że samo zapakowanie myśli w słowa zasłania je i przeszkadza w zrozumieniu. Po raz pierwszy zauważył to w towarzystwie Iwony: wszystko, co chciał jej przekazać, wypowiedziane na głos stawało się banalne, żenujące, głupie.

W domu odszukał torbę, Bogu podstawił miskę z wodą i patrzył, jak pije. Próbował sobie przypomnieć, jak wyglądały dziewczynki, które tamtej nocy przyszły do niego w lesie. Nie potrafił, umknęły mu z głowy. Ale były gdzieś. Nie potrafił zrozumieć, jak mógł poprosić dzieci o coś tak niedorzecznego. Sięgnął po dzban, pochylił się i dolał Bogu wody.

Leokadia siedziała na swoim posłaniu i patrzyła na niego bez skrępowania.

– Dziękuję za wszystko – powiedział.

Machnęła ręką. Odpowiedziała dopiero, kiedy się odwrócił:

– Zbyt często nie mam gości, więc.

Pokiwał głową. Bóg przestał pić, położył się obok miski i chwycił ją zębami. Westchnął głośno, opierając głowę na łapach. Adam rozejrzał się po wnętrzu chaty, jakby oczekiwał, że być może zobaczy jeszcze jakiś ważny przedmiot, który należy do niego, a którego zapomniał – ale nie posiadał żadnych przedmiotów, ważnych ani nieważnych, miał tylko Boga, koc, scyzoryk, kurtkę i odrobinę ususzonego mięsa zawiniętego w papier.

– W takim razie już pójdę – powiedział, stając przed Leokadią.

Poruszyła się, jakby chciała wstać, ale ostatecznie nie wstała.

– Do widzenia. Niech pan na siebie uważa, bo.

– Tak. Do widzenia.

Kucnął obok Boga, przesunął dłonią po jego gęstej sierści.

– Idziemy.

Za oknem padł strzał.

Wacław Klimaszewski, aptekarz, ten sam, u którego kilka dni wcześniej Krystian Dzierzba kupił dwieście gramów sproszkowanej kory dębowej na swoją opuchniętą rękę, powoli przeciskał się przez zarośla otaczające stawy Szalonej Leokadii. Obok niego, nisko pochylony, siedział fotograf Stupay, który kłaniał się przechodniom znad swojego długiego blatu

w ciemnym pomieszczeniu przy ulicy Toruńskiej i którego żona zazwyczaj siedziała na ławce z papierosem w lufce.

Tenenbaum, prowadzący w Kole pracownię okryć damskich, stał kilkanaście metrów od chaty Szalonej Leokadii, pod niską wierzbą, i ścisnął w dłoni strzelbę, przyniesioną poprzedniego wieczoru ze strychu, na którym, nieużywana, spędziła ostatnich dziewięć lat. Wzdłuż drugiego stawu, poruszając się w jego stronę, kroczyli jeszcze: redaktor Waleszka z „Życia Kolskiego”, Jędrzej Karwat, który wraz z koleżanką znalazł zwłoki na łące, oraz policjant Droszcz w zbyt dużym kapeluszu, dzięki któremu, jak sądził, nie będzie widać, że to on.

Klimaszewski i Stupay dotarli już do pasa ziemi pomiędzy stawami, minęli go i przystanęli kawałek dalej, obok gęstej ściany trzciny. Jędrzej, Waleszka i Droszcz czekali przykucnięci w trawie na wprost drzwi chaty. Mijały sekundy i nikt nic nie robił. Tenenbaum pomyślał, że może tak już będzie: że może zostaną na swoich miejscach i to, co ma się wydarzyć, wydarzy się bez ich udziału. Być może wystarczy tylko, że przyszli.

Wreszcie Waleszka wyprostował się i dał znak uniesioną ręką. Tenenbaum wyszeptał do siebie „kurwa”, a potem „mój Boże”. Wycelował w niebo, ale lufa opuszczała się powoli, jakby próbowała go przekonać, że powinien się odwrócić, pójść do domu, odwiesić strzelbę i dokończyć rąbanie drewna, które porzucił w połowie, ale czuł na swoich dłoniach wzrok pozostałych, i swój, więc podniósł je jeszcze wyżej i pociągnął za spust. Niebo pękło w kilku miejscach naraz. Trzy kaczki zerwały się do lotu ponad dalszym stawem. Cisza rozchodziła się teraz kręgami, coraz bardziej nieznośna, aż wreszcie otwarły się drzwi chałupy.

Obcy. Tak samo jak tamtego dnia, kiedy wkroczył do miasta, tak i teraz wyszedł z domu Szalonej Leokadii, jakby to, co się z nim stanie, było tak błahe, że nie zamierzał poświęcać temu ani jednej myśli. Szedł pewnie, ani wolno, ani szybko, a w wyciągniętej dłoni zwisiała mu obwiązana muslinową chustką strzelba Leokadii.

Tenenbaum wycofał się za drzewo. Jędrzej pomyślał, że chyba coś poszło nie tak, skoro to się dzieje naprawdę. Klimaszewski, na kolanach, próbował namierzyć cel. Za jego plecami Stupay po cichu się modlił.

Obcy podniósł strzelbę, wymierzył w Droszcza i strzelił. Chybił potwornie, kolba kopnęła go w ramię i obróciła, a wtedy nad stawem coś się obudziło: Tenenbaum wyskoczył zza drzewa, pociągnął za spust i wrzeszczał przekleństwa, Klimaszewski i Stupay biegli wzdłuż krawędzi bliższego stawu, Droszcz odrzucił kapelusz i walił przed siebie z pistoletu, mrużąc lewe oko.

Tymczasem z chaty wybiegł Bóg. Poruszał się tak, jakby odbijał się łapami od jakiejś miękkiej powierzchni tuż nad ziemią. Nie wydając z siebie żadnego dźwięku, dopadł Tenenbauma i wbił mu zęby w udo.

Wokół chaty rozgrzmiało się od strzałów. Każdy z mężczyzn, którzy tutaj przyszli, miał wrażenie, że strzela nie on, najwyżej pozostali, a może właściwie nawet nikt konkretny – po prostu strzelano. Jedna z kul utkwiała w ścianie chaty, inna z brzdękiem strąciła garnek z parapetu. Wrzask Tenenbauma. Nieruchomi Klimaszewski i Stupay. Kula obok głowy tego drugiego i skrzek ranionego ptaka gdzieś za ich plecami.

Mikołaj Stein otworzył pokrywę kryjówki i wyjrzał na zewnątrz, w chaos i dym. Oczy przywykały mu do jasności. Huk, i kolejny. Prawdziwe strzały. Czuł tylko złość, potężną, bo kiedy już zdobył się na to, by z tchórza stać się bohaterem, kiedy pokonał w sobie tyle ścian oddzielających go od tej możliwej przyszłości, ktoś miał go jej teraz pozbawić.

Rozejrzał się, próbując zrozumieć, co się właściwie dzieje. Rozpoznał Droszcza i Waleszkę. Było też paru innych. Szukał wzrokiem tego jednego, tego, który był jego kluczem do lepszego, spokojnego, prawdziwego życia.

Był tam, szedł od strony chaty ku czekającym na niego mężczyznom. Spokojny i pewny siebie, wydawał się szczuplejszy niż wtedy, gdy się spotkali na moście. Mikołaj Stein wypętlął z dołu i ściskając nóż, ruszył w stronę Diabła.

Ten zbliżył się właśnie do posterunkowego Droszcza, uderzył go kolbą w twarz, chwycił za kołnierz i padł wraz z nim na ziemię. Kilka metrów

dalej redaktor Waleszka stał nieruchomo i patrzył. Tenenbaum wił się pod ciężkim, twardym ciałem Boga, który gwałtownymi pociągnięciami szarpał jego nogę w lewo, w prawo, w lewo. Stupay z daleka mierzył w plecy Obcego, ale te stawały się zaraz plecami Droszcza, i tak wkoło. W końcu walczący znieruchomieli, Obcy uniósł się nad Droszczem, a wtedy Stupay przymierzył dokładnie i pociągnął za spust. Okazało się, że pistolet nie działa.

Jędrzej uciekał: minął chatę, przeskoczył wąski rów, biegł dalej. Za jego plecami rozlegały się urywane krzyki mężczyzn. Nigdy wcześniej nie słyszał czegoś takiego. Czuł się jak wtedy, gdy mając kilka lat, dla zabawy dotykał dłoni ostrzem noża, aż nagle pojawiła się krew. Ogarnęła go wówczas silna potrzeba cofnięcia czasu, tylko o odrobinę, przecież taka odrobina nic nie znaczyła, ale trzeba było żyć dalej – z rozciętą dłonią, ze strzelaniną za plecami.

Nogi zawodnika napadu Olimpji Koło niosły go szybko z miejsca na miejsce, aż uznał, że znajduje się w bezpiecznej odległości od miejsca walki. Położył się, nakrył uszy rękoma i czekał. Podczas niedzielnych mszy, nawet pod czujnym wzrokiem matki, nie modlił się, przekonany, że w ten sposób dowodzi swojej męskości, ale teraz, z policzkiem przytkniętym do chłodnej ziemi, z dłońmi wczepionymi w trawę, zaczął odmawiać *Ojcze nasz*.

W czasie, kiedy wypowiadał słowa „...jako w niebie, tak i na ziemi”, Bóg wszedł przednimi łapami na brzuch Tenenbauma. Obnażone zęby tuż przy twarzy. Strużka śliny spływająca Tenenbaumowi na oko. Mężczyzna rzucał się pod ciężkim ciałem psa, drąc sobie skórę na piersiach i brzuchu o pazury zwierzęcia i wydając odgłosy, o które by siebie nie podejrzewał, aż w końcu, z rękoma wyciągniętymi przed siebie, z ciepłym moczem na udach i pośladkach, osunął się w cichą czerní. Zwiotczał i obrócił głowę w stronę stawu.

Widząc to, redaktor Waleszka zaczął się wycofywać. Kręcił głową i szeptał do siebie, że on tego nie chciał, że on niczego takiego nie chciał,

nie chciał, nie chciał. Dotarł do trzciny, kucnął i cofnął się dalej. Świat szeleścił sucho wokół niego. Z sześciuosobowej drużyny, która przyszła tu, by wymierzyć sprawiedliwość, zostało trzech.

Droszcz leżał na plecach i przeklinał, plując w twarz Diabła krwawą śliną. Nigdy nie wyobrażał sobie, że w sytuacji, w której dwóch mężczyzn tarza się po ziemi i jeden okłada drugiego pięściami, to on może być tym drugim. Próbował zepchnąć z siebie tego bezczelnego skurwysyna, który przyszedł do jego miasta jak gdyby nigdy nic, ale mężczyzna był wielki i ciężki, pod ubraniem przesuwali się twarde gruzły mięśni. Pięść unosiła się i opadała, ale w twarzy rywala Droszcz nie dostrzegł furii ani szaleństwa – miał wrażenie, że ten obryzany jego krwią człowiek jest przede wszystkim zrezygnowany.

Tymczasem Bóg zszedł z Tenenbauma i rzucił się na Klimaszewskiego, przewracając go w chwasty. Wbił zęby w miękkie ciało nienawykłe do ruchu, w skórę, ścięgnął, tłuszcz. Pociągnął, przerwał jakąś tkankę, a Klimaszewski zawył donośnie.

Stupay zorientował się, że jest jedynym mężczyzną z całej ich szóstki, który stoi jeszcze na nogach. Jędrzej i Waleszka gdzieś zniknęli, Tenenbaum leżał nieprzytomny, Klimaszewski wił się pod psem, a Droszcz tarzał się z Diabłem po ziemi. Jak doszło do tego wszystkiego? Przecież oni byli normalnymi ludźmi, aptekarzami, redaktorami, fotografami, chłopcami grającymi w piłkę. I nagle: strzelanina, krew, palce na spuście pistoletu.

Odwrócił się i spojrzał w stronę chaty. W półmroku wnętrza siedziała na łóżku Szalona Leokadia. Patrzyła na niego, drobna, niepodobna do stanowczej i hardej baby, którą znał. Stupay pomyślał, że cokolwiek się tu stanie, ona będzie istniała dalej – ona, to wnętrze chaty, inni ludzie. Całe Koło i wszystko, co poza nim.

Droszcz wciąż przeklinał i pluł, ale chyba brakowało mu już sił. Klimaszewski wrzeszczał, szarpany przez psa. Stupay oderwał wzrok od

Leokadii. Zdał sobie sprawę, że bardzo szybko oddycha. Zrobił krok przed siebie, pochylił się i podniósł upuszczony przez Droszcza pistolet.

Kilka metrów dalej Mikołaj sunął w kierunku walczących. Nie czuł rąk ani nóg. Ostrze noża pojawiało się w polu jego widzenia, a potem znikало i o nim zapominał. Świat zaczynał się teraz i kończył na dwóch zlepionych na ziemi ciałach. Diabeł odpychał się od zmasakrowanego Droszcza i obracał głowę, najwyraźniej próbując się zorientować, z kim przyjdzie mu walczyć w następnej kolejności. Lewą ręką błędził po trawie, ale strzelba leżała zbyt daleko.

Mikołaj czuł, że całe ciało żąda od niego, aby się odwrócił i pobiegł daleko stąd, do domu, do ciepłego łóżka, do swojego dawnego życia, które było przecież dobrym życiem. Jak oko, które odruchowo zamyka się przed gałęzią, która w nie zaraz dźgnie, tak wszystko w Mikołaju Steinie reagowało na tę sytuację, wołając do niego, że ma się odwrócić i uciec.

Szalona Leokadia siedziała na łóżku i obserwowała, jak Mikołaj się skrada, a potem przystaje, jak Droszcz wierzga wściekle pod Adamem Wrzosem i jak Stupay chwyta pistolet oburącz, a potem z wykrzywioną twarzą strzela w stronę walczących mężczyzn, zdumiony tym, że broń rzeczywiście działa.

– Wszyscy jesteście? Wszyscy.

– O mój boże święty.

– Młody, schowaj to, już. Do miasta wchodzisz, schowaj.

– Co myśmy zrobili?

– Moja noga.

– Słuchaj... A ty widziałeś?

– Nie żyje, naprawdę nie żyje.

– Panie Droszczu?

– Zawrzyj już gębę, kurwa mać, jesteś dorosły i zachowuj się jak dorosły.

– Widziałem. Kula w pierś. Krwi tyle, że...

- Moja noga...
- Kurwa, to jest straszne, że tak...
- Tylko ostrzegam, jeśli który z was choćby słówko, komukolwiek. Ta wariatka niech sobie opowiada, co chce, jej i tak nikt nie uwierzy.
- On coś mówił. Co on mówił?
- Gadał coś o odwracaniu się... Że się bardzo bał i chciał się odwrócić, ale... nie pamiętam dokładnie.
- Dajcie spokój! Nie ma co gadać. Co się stało, to się stało.
- Schowaj to, młody, kurwa, ile ci będę powtarzał!
- O odwracaniu?
- Przestańcie, to się zdarzyło przypadkiem.
- Przypadkiem...
- I co żeś odpowiedział?
- Panie Droszczu, ja przepraszam, ja...
- Milcz.
- Widziałem, kula w pierś...
- Tylko, powtarzam, nikomu ani słowa.
- I co żeś odpowiedział?
- Nic mu nie odpowiedziałem.

Przez trawę, przez chwasty, nad ziemią, z rękoma wszędzie wokół siebie, z rykiem w gardle. Szalona Leokadia minęła ciało leżące na ziemi, próbując na nie nie patrzeć, minęła wygniecione miejsce w trzcinach, gdzie wcześniej kotłowali się tamci dwaj, minęła w końcu cień kłęczący przy stawie i opłukujący zakrwawione usta – to wszystko nie istniało.

Biegła, unosila nogi wysoko, ręce trzymała na wysokości piersi, ponad gęstwiną chwastów, i tak zbliżała się do miejsca, w którym widziała go przez okno, w którym się poderwał z ziemi i upadł, szarpnięty do tyłu przez jakąś zabłąkaną kulę. Wydobywał się z niej zwierzęcy ryk, wrzeszczała gęste „nienienienienie” i „jaciwszystkójaciwszystko”, prosiła, by nie umierał, by jej nie umierał. Gotowa była uwierzyć w każdą siłę –

przeznaczenie, ślepy los, nawet boga – gdyby tylko ta siła usłyszała teraz jej błagania.

Miała wrażenie, że z chaty do stawu jest znacznie dalej niż zwykle. Po prawej i lewej przesuwają się niewyraźne kształty. Minęła krzaki, w których jako dziecko ukrywała się przed ojcem wracającym z pola, żeby wyskoczyć z piskiem, a on za każdym razem chwycił się za pierś i udawał, że umiera ze strachu. Minęła drzewo, o które oparł ją jeden taki Zbyszek, całując ją i chyba nie wiedząc, że ona całuje się po raz pierwszy. Minęła miejsce, gdzie znalazła uschnięte kwiaty, gdzie musiał ukrywać się Lolek, słuchając jej rozmowy z Regią.

Po jego śmierci, osunąwszy się na dno samej siebie, chuda i oszołomiona, wiedziała, że jeśli czegoś nie zrobi, skończy tak samo jak Lolek i po ich miłości nie będzie ani śladu, a to wydawało jej się niewyobrażalnie złe. Postanowiła, że spróbuje o nim nie myśleć. Że będzie żyć, oddychać, zajmować się rybami, chodzić na targ i przeczekać ten najgorszy moment. Sądziła, że czas w końcu uodporni ją na to, co się stało, i za kilka miesięcy, a może lat, będzie potrafiła wrócić do tego myślni. Trwała więc, brnęła przez każdą minutę, aż w końcu coraz częściej zaczęła pojawiać się w niej myśl, że to już, że już może być spokojna. Ale dalej nie myślała o Lolku, odkładała to na później, może nawet z nadzieją, że tak naprawdę nigdy nie będzie już musiała wkładać palców w tamte wspomnienia. Od rana do wieczora starannie układała swoje czynności w taki sposób, aby jak największej liczby rzeczy nie doprowadzać do końca, dzięki czemu pozostawiała świat wokół siebie w stanie wiecznego trwania. Jeśli inne rzeczy na świecie trwały w nieskończoność, to może jakimś sposobem istniał gdzieś także Lolek.

Aż pewnego dnia na targu huknęło jej w uszach to imię. Jacyś dwaj mężczyźni, których znała z widzenia, wspominali samobójstwo Lolka. Było to sześć lat i dwa miesiące po jego śmierci, a Leokadia, która sądziła, że przynajmniej w jakimś stopniu zdążyła się już uodpornić na przeszłość, słysząc tych mężczyzn rozmawiających o jej Lolku, upadła na kolana i zwymiotowała z nerwów. Zamknęła oczy i widziała Wartę, która zabiła jej największe szczęście w życiu, nawet na chwilę nie zwalniając biegu.

Teraz, pędząc przez trawy, czuła się podobnie jak wtedy. Jakby niebo nagle się osunęło, a ona była jedyną osobą, która to widzi. Biegła, krzycząc coraz głośniej. Staw ciemniał powoli, mnożył pomarańczowe słońce na gładkiej powierzchni. Wszystko wokół dudniło w rytm jej kroków.

Kiedy dotarła na miejsce, żył jeszcze, przesuwiał dzikim wzrokiem od nieba po błoto. Ciemna krew błyszczała na wygniecionych liściach i trawie. Próbowwała wziąć go na ręce, ale nie chciał, szamotał się, bił ją skrzydłami po twarzy. Był znacznie większy, niż sądziła, zawsze wyobrażała sobie, że rozmiarem dorównuje co najwyżej gęsi, ale teraz, obejmując go, samych jego skrzydeł miała całe naręcze. Nie wiedziała, jak ma się z nim obchodzić, co zrobić, żeby nie wyrządzić mu jeszcze większej krzywdy, czuła pod palcami sztywne i mokre pióra, na ramieniu uderzenia kształtnego czarnego łba. Jęknął, a ona poderwała go z ziemi, przycisnęła do brzucha i pobiegła z powrotem w stronę chaty, powtarzając, by jej nie umierał.

Krystian wracał z rynku, niosąc słowa Henryka Graczyka jak pszczoły zamknięte w głowie. Próbował ułożyć sobie w myślach to, co się właściwie wydarzyło, jak ta rozmowa się urwała i czy mógł coś zrobić inaczej. Nie miał pojęcia, co miałby teraz powiedzieć Reginie. Byłem, rozmawiałem, i co? Czy wszystko w jego życiu musiało właśnie tak się rozmywać? Mieć początek, ale nie dobiegać do końca? Szedł coraz wolniej i myślał o tym, że następnego dnia otworzy oczy, odsunie się od ciepłego ciała żony, wyjdzie spod kołdry, usiądzie na pniu na podwórku i zapali cuda, a potem zrobi wszystkie pozostałe rzeczy. O tym, że niezależnie od tego, jak szybko by biegł, za każdym pokojem czeka na niego kolejny pokój.

Kilka lat wcześniej, rankiem po weselu szwagra, siedząc na trawie i czekając, aż ciało znowu zacznie słuchać jego niewyraźnych poleceń, zapytał siedzących z nim ludzi, o czym myślą po obudzeniu. Odpowiedzi były różne: o ruchaniu, o dojeniu, o machorce i o tym, ile jeszcze do zniw. Regina powiedziała, że pierwsze, o czym myśli, to czy tego dnia będzie

słoneczko – nawet nie słońce, tylko słoneczko właśnie, co zapewne wiele mówiło o Reginie. On sam musiał przyznać, że nigdy nie wiedział, jaki ocknie się rano. Czasami zaczynał dzień szybko, bezmyślnie, rozpedzony poprzednim dniem, ale zdarzało się, że siedząc na krawędzi łóżka, zastanawiał się nad czymś głęboko – na przykład czy jest już stary. Czy ktokolwiek na jego widok mógłby powiedzieć: „O, idzie stary człowiek”. Widział długą poziomą linię, która symbolizowała jego życie, i próbował sobie wyobrazić, gdzie na tej linii znajdowałby się ten konkretny moment. Czasami odwracał głowę, spoglądał na żonę i zastanawiał się, czy ją właściwie kocha. Bo niby jak miałby to ocenić, z czym porównać? Bywało też, że całe to wstawanie z łóżka i pędzenie naprzeciw kolejnego dnia wydawało mu się wielkim żartem, czymś równie głupim jak sztuczki cyrkowe wykonywane przez zwierzęta, nieświadome, dla czyjej uciechy to robią. Na dobrą sprawę nigdy nie wiedział, z jaką myślą przyjdzie mu się obudzić, na jakie pytanie będzie próbował odpowiedzieć, siedząc na brzegu łóżka w półmroku, w milczeniu.

Dopiero później, już przed domem, przychodziło mu do głowy wszystko, co się wiązało z nadchodzącym dniem: zamówienia, praca do wykonania, pszczoły. Nie miał pojęcia, dlaczego myśli akurat o takich rzeczach, to było zupełnie niezależne od tego, jakim był człowiekiem, raczej wyobrażał sobie, że z jego nastrojem było jak z loterią, na którą można się było zapisać za pośrednictwem „Życia Kolskiego” – po prostu trafiałeś tak albo inaczej. A skoro tak, to skąd mógł mieć pewność, że któregoś dnia nie obudzi się w całkowitej czerni, w niemocy, jak ta córka Niewiadomskich z Babiaka, o której swego czasu było głośno i która powtarzała wszystkim dookoła, że jest zrozpaczona i chce się zabić, tylko nie wie dlaczego.

Obawiał się, że jutro może być taki dzień. Że tego wszystkiego, co się wydarzyło, jest już zbyt dużo, by mógł się obudzić jak gdyby nigdy nic, wstać, usiąść z papierosem na pniu. Że być może jutro poczuje, że już na nic nie ma siły, a jednocześnie nie będzie potrafił konkretnie powiedzieć dlaczego.

Przeszedł przez most, jak zawsze wybierając stronę przeciwną do tej, z której zgodnie z relacjami świadków skoczył jego wuj. Robił to odruchowo, od lat, nie rejestrując już nawet tego faktu. Minał budynek ksiąźnicy, skąd Regina od czasu do czasu wypożyczała powieści przygodowe. Przy parku uklonił się Tenenbaumowej i jej przyjaciółce, której imię wyleciało mu z głowy. Szedł już tak wolno, że niektórzy się za nim oglądali.

Zatrzymał się przed skrzyżowaniem, a kiedy miał ruszyć, jego uwagę zwrócił przejeżdżający wóz. Dwaj mężczyźni siedzący na koźle w milczeniu palili papierosy. Na wozie leżało kilka baranów. Szare, pozlepiane miejscami futra tworzyły coś w rodzaju kobierca, jakby to nie osobne stworzenia przewożono na wozie, ale jakaś pojedyncza, wielka istota przemierzała ulice miasta. Śmierdziało. Jeden z baranów trzymał łeb oparty o boczną klapę i ze znużeniem studiował mijane widoki.

Krystian stał bez ruchu i patrzył w oczy tego spokojnego zwierzęcia. Owce osiągały wiek nawet trzynastu lat, a więc teoretycznie istniała możliwość, że w jakiś przedziwny sposób patrzyło na niego teraz jedno ze zwierząt, które w 1914 roku ocalały mu życie.

Miał ochotę wdrapać się na ten wóz, przytulić do brudnego futra, zamknąć oczy i nigdy już ich nie otwierać. Powietrze było rzadkie, oddychał coraz szybciej, dłonie miał spocone i zimne.

Pomyślał, że to chyba niemożliwe, że to wszystko, co w jego życiu się wydarzyło, wydarzyło się po nic. Że ocalał w czasie wojny tylko po to, żeby teraz po prostu się poddać i oddać ster jakiejś ślepej sile rządzącej tym światem.

Tymczasem jeden z mężczyzn na koźle warknął niewyraźnie i strzelił batem, a wóz ruszył powoli. Barany wkrótce zniknęły Krystianowi z oczu. Szedł dalej, chwiejąc się, i miał wrażenie, że zrozumiał coś ważnego, coś, czego nie sposób zmieścić w słowach. Przeczesał włosy, rozejrzał się i spróbował uspokoić oddech. Może jeszcze nie wszystko stracone.

Minał postój dorożek i komendę policji. Stado gołębi wybuchło przed nim i rozproszyło się, by opaść na ziemię kilka metrów dalej.

W kamienicy po drugiej stronie Sienkiewicza ktoś zagrał na skrzypcach nieznaną mu melodię.

Wtedy zobaczył dym. Jak ciemne pióro namalowane na niebie, niedokończone i rozmazane od połowy w górę. Z początku nawet nie przyspieszył, wydawało mu się, że ten dym i jego życie to dwie zupełnie osobne sprawy, ale z każdym krokiem nabierał pewności, że pióro unosi się dokładnie nad jego podwórzem.

Niemożliwe, powtarzał w myślach, niemożliwe, nawet kiedy już zaczął biec, kiedy pędził środkiem ulicy i kiedy rzeził głośno, niemożliwe. W piersiach zabrakło mu miejsca, a kolano zaczęło boleć po kilkuset metrach. Już niedaleko, skrócić w lewo, niemożliwe, jeszcze tylko trochę, ostatni kawałek, niemożliwe, płuca jak piec, już widać, już widać.

Wreszcie wpadł za bramę i zobaczył to wszystko: Regina stała na środku podwórka z dziewczynkami, trzymając je przed sobą i przyciskając do brzucha, a ogień zajmował większą część zakładu, wylewał się przez okna i wchodził na dach, wypuszczając ku niebu strużki siwoczarnego dymu.

Regina podbiegła do niego, a dziewczynki sunęły za nią, ogołoczone z całego tego zwykle rządzącego nimi rozpędzenia.

– Krystian, ja nie wiem, trzeba chyba pobiec po kogoś?

Nie ruszył się, patrzył przed siebie. Płomienie ogarniały cały budynek, od ściany do ściany, próba gaszenia tego wodą z wiadra nie miałyby sensu. Chciał powiedzieć to na głos, ale nawet nie otworzył ust. Wdychał dym palonego drewna, palonych setek mebli, których jeszcze nie zdążył zrobić. Towarzyszyły temu odgłosy, jakby tam, za oknami, ktoś wściekły łamał deski na kawałki.

Regina coś mówiła. Ogień tańczył na dachu zakładu, a drewno skrzypiało.

Coś działo się też za jego plecami. Nie odwracał się, ale czuł to samo, co towarzyszyło mu w czasie pracy, kiedy robił trumny, tę świadomość jakiejś obecności, tylko silniejszą. Pola płakała, Misia rozglądała się,

próbując się zorientować, co należy czuć. Regina przysunęła się bliżej i powtórzyła jego imię, pytająco.

Krystian czuł, że tęskni jeszcze bardziej niż wcześniej. Nie wiedział tylko, za kim właściwie – za innym życiem, za tą obcą kobietą, za Regimą z młodości, za samym sobą, którym był jako chłopiec? Może za Lolkiem? Za ojcem, który kiedyś był kimś więcej niż tylko uprzejmym uśmiechem i tymi czterema słowami powtarzanymi po każdym posiłku?

Straż ogniowa być może już wyruszyła, być może chłopaki pędzili właśnie w tym kierunku. Dom stał na tyle daleko od zakładu, że nie było ryzyka, że może się zająć. Ale czy on, Krystian, nie powinien jednak czegoś zrobić?

Pomyślał, że przecież po tej chwili pojawi się jakaś kolejna chwila, a po niej jeszcze następna, że czas dalej będzie parł przed siebie, zwrócony w jednym kierunku. Zakład płonął, ale została jeszcze cała reszta, Regina, dzieci, rodzice uciekający coraz dalej w ciszę swojego poddasza. I pszczoły, którymi powinien jak najprędzej się zająć. Zaraz po głównym miodobraniu, najpóźniej w połowie sierpnia, powinien zaopatrzyć pnie w miód, zadbać o to, żeby każdy z nich miał co najmniej dwanaście kilogramów zapasu. Wiedział, że zbyt długie zwlekanie może szybko doprowadzić ule do ruiny. Teraz, po skończonym pożytku, pszczoły były jeszcze żwawe i skore do pracy, ale wystarczy kilka tygodni i będą zbierać miód wolniej, może się nawet zdarzyć tak, że z powodu chłodu w ogóle go nie zbiorą albo nie zaszyją, a wtedy czeka je koniec. Musiał przygotować nakryte pływakami korytka, wypełnić je brakującą ilością miodu i podawać do środka uli. Powinien też jak najszybciej ułożyć gniazda do zimowli. Na wszystko to nie było jeszcze za późno.

Tak mogła wyglądać jego przyszłość. Mógł się skupić na rozwoju pasieki. Dokładać pni, zwiększać zbiory, umieszczać miód w słoikach i jeździć na targ, sprzedawać go przez cały rok. Mógł rozmawiać wyłącznie z żywymi. Nie wierzył, że można tak zupełnie stać się kimś innym, ale nie wierzył też, że ma jakiś wybór. Czuł żar na twarzy, musiał wykonać krok w tył.

Przyszło mu do głowy, że być może to Regina podpaliła zakład. A nawet jeśli nie, to że nie ugasiła go, kiedy jeszcze było to możliwe. Podejrzał, że to będzie jedna z tych rzeczy, których się nigdy nie dowie. Nie odzywał się. Regina przesuwała dłońmi po głowie, od czoła po kark. Czasami w takich chwilach nie poznawała samej siebie, strach ją unieruchamiał, a Krystian wtedy uświadamiał sobie, jak bardzo w życiu polegał na jej zaradności i odwadze. Potrzebował pożaru, by sobie uświadomić, że jego żona chroni go przez większość życia i że być może czasami on mógłby ochronić ją.

W oddali narastał dźwięk zbliżającej się straży ogniowej. Krystian obrócił się i pobiegł w stronę domu. Wpadł do pokoju z oknem wychodzącym na ogród, chwycił swój zielony zeszyt napuchły od wilgoci i wrócił na gorące podwórko. Prowadził te zapiski od tak dawna, że nie pamiętał siebie z czasów sprzed. Ale przecież musiał wtedy jakiś być, bez zupełnych też istniał, oddychał, nie miał wrażenia, że w jego życiu ziele dziura. Przesuwał kciukiem po gładkiej okładce z cienkimi, pionowymi śladami zagięć. Ostatnie miejsce w jego rejestrze zajmowała Iwona Graczyk, zmarła z powodu tęsknoty. Tam za nią, na białej przestrzeni kartki, stał jeszcze ktoś, jeszcze jeden mężczyzna, dla którego trumnę miał dopiero przygotować, ale wiedział już, że tego nie zrobi. Podszedł do ognia tak blisko, że trudno mu było złapać oddech, i wrzucił zeszyt przez okno do zakładu.

TO WIĘC TAK ZROBIŁ.

ZADUSIŁ TAMTYCH DWÓCH, ZADUSIŁ ICH JAK PSY, I JA SOBIE TAK ŻEM PRZED MYŚLAŁA, ŻE TO BĘDZIE WIELKA DLA MNIE RADOŚĆ I SPOKÓJ, ALE JAK JUŻ ICH ZADUSIŁ, JAK JUŻ ICH ZADUSIŁ JAK TE PSY, TO SIĘ OKAZAŁO, ŻE PO PRAWDZIE TAK, BYŁO MI LEPIEJ, BO NIE MIAŁAM TEGO STRACHU JUŻ WE SOBIE, ALE WCALE NIE BARDZO LEPIEJ, A W GRUNCIE TO NAWET GORZEJ, I TEGO NIE ROZUMIEM.

ALE TERAZ PÓJDĘ, I JUŻ NIE BĘDĘ GADAĆ, BO TAK GADAĆ DO SIEBIE TO NIE JEST MOŻE DOBRZE. POPATRZĘ JESZCZE NA TEN DYM NA NIEBIE I POMYŚLĘ SOBIE JESZCZE O MIKOŁAJU STEINIE, CO O NIM WSZYSCY TU TERA GADAJĄ, BO TO BYŁ ZDAJE SIĘ DOBRY CZŁOWIEK, A POTEM PÓJDĘ I WRÓCĘ DO TEGO, CO MIAŁAM WCZEŚNIEJ, I MOŻE TO JEST NIC, ALE WRÓCĘ, I BĘDĘ SIĘ STARAŁA NIE MYŚLEĆ ZBYT

ZA BARDZO, A JAK CZAS MINIE, TO MOŻE WSZYSTKO MINIE I JUŻ NIE BĘDĘ
PAMIĘTAĆ, I WSZYSTKO BĘDZIE, JAK TRZEBA.

Iwo krzyczał, śniąc o zbliżającym się końcu świata. Na ten dźwięk Aniela ocknęła się i wstała. Powoli podeszła do szafy, żeby wyjąć, tylko na chwilę, wyjąć i zobaczyć, a potem odłożyć, ale nie wiedziała co. Usiadła z powrotem w fotelu. Kolację już jedli, musieli jeść, czuła to w brzuchu. Za oknem rozciągał się zachód słońca, jaskrawy jak nigdy. Docierały do niej słowa, jakaś rozmowa z dołu, tak, znała dobrze te głosy, jeden Krystiana, a drugi, tak, w każdym razie musiała je chyba znać.

Po chwili w głowie znowu miała tylko łąkę. Stała pośrodku, rozglądając się, ale świat z każdej strony wyglądał tak samo. To była ta sama łąka, która rozciągała się za domem Dzierzbów w czasach, kiedy Aniela się tu wprowadziła. Tak bała się jej i tego, co na niej widziała – tych wszystkich pytań bez odpowiedzi albo z odpowiedziami jeszcze bardziej niepokojącymi niż ich brak. Po latach przywykła, tak jak się przywykła do kaszlu albo do bólu stawów.

Gdzieś w oddali brzmiał głos. Czasami się to zdarzało. Znajomy, tak jak znajome bywają głosy ludzi, z którymi wymienia się „dzień dobry” i „do widzenia” na placu przed kościołem, ale nie pamiętała, co to dokładnie jest kościół. I ten głos coś powtarzał, był jak refren piosenki, powtarzany raz za razem. Nikt nie odpowiadał, łąka niosła słowa na wszystkie strony, po próżnicy, niosła i sprawiała, że rzedły coraz bardziej. Aniela stała i słuchała:

– Tylko mi nie umieraj, tylko mi nie umieraj.

Szalona Leokadia wypowiadała tę litanię, siedząc przed piecem w swoim nagrzanym domu. Na kolanach trzymała kormorana. Od kilku minut był spokojny, oddychał. Kiedy przyniosła go tutaj, szamotał się jeszcze, wyrywał i piszczął tak, jak może piszczeć coś rozumnego, co czuje ból, co się boi i chciałoby uciec w jakieś bezpieczne, ciche miejsce. Ale to właśnie tutaj było bezpieczne, ciche miejsce. Wreszcie się poddał, opuścił

głowę w zagięcie ramienia Leokadii i zamknął oko, drugie pozostawiając otwarte.

Leokadia ostrożnie uniosła mu lewe skrzydło i przyjrzała się ranie. Poszarpana błona, zaschnięta krew, trudno było stwierdzić, jak bardzo to jest poważne, ale chyba nie na tyle poważne, żeby miał jej tu umrzeć, na tyle chyba nie.

Upewniła się, że w piecu jest wystarczająco dużo drewna, i wzięła głęboki wdech, miała wrażenie, że po raz pierwszy od dawna. Zamknęła oczy. Wciąż przesuwała palcami po sztywnych, gładkich piórach, co jakiś czas ocierała twarz i starała się płakać tak, żeby się przy tym zbytnio nie trząść. To wszystko, co wydarzyło się przed jej domem, zdawało jej się jakimś strasznym, ale jednak błogosławieństwem, bo gdyby nie to, nie siedziałyby teraz tutaj, z nim na kolanach. Gdyby nie strzelanina i gdyby nie Adam Wrzos, który jeszcze godzinę wcześniej ochlapował w jej stawie zakrwawioną twarz.

Teraz szedł obrzeżem miasta. Kierował się w stronę lasu, a obok niego posłusznie człapał Bóg. Ich zlepiony cień sunął poboczem, sięgając kłosów na polu. Mężczyzna przystanął i przyglądał się wstążce dymu nad budynkami. Jedno oko miał spuchnięte, widział przez nie świat zwięzony do rozmazanej szczeliny. Oddech kłuł w piersi po prawej stronie. Ucięte palce mrowiły go, jak każdego wieczoru, już się pogodził, że tak będzie zawsze. Dym uciekał w niebo, układając się w kształt grzyba pieprznika.

Adam czuł wyraźnie wiele miejsc w ciele: kłujące żebro, strzykający łokieć i miękkie wgłębienie po wybitym zębie. W głowie jedna myśl: położyć się dziś w lesie, w ciszy i ciemności, z dłonią zanurzoną w futrze Boga, pod koronami drzew. Wchodząc do tego miasta, spodziewał się, że przytrafi mu się coś podobnego, a może gorszego, ale wszedł i tak. Pomyślał, że być może nie da się inaczej.

Wyjął z kieszeni ampułkę, którą dostał od Steina. Podniósł ją do oczu i przyjrzał się zamkniętemu w środku płynowi, a następnie cisnął nią w zarośla.

Słońce wsiąkało w ciemną linię drzew za polami. Jakiś ptak piskliwie i szybko recytował swoje kwestie, ukryty w gałęziach akacji. Na poboczu,

wśród pokrzyw, leżał przemoczony numer „Życia Kolskiego”. Bóg zboczył z drogi, przystanął i obwąchał wilgotne kartki.

Kiedy uniósł łeb i spokojnie ruszył za Adamem, cztery kilometry dalej redaktor tej gazety wszedł na stołek, zawiązał na belce ucięty na podwórzu kamienicy sznur do prania i włożył głowę w przygotowaną pętlę. Poruszał się szybko, przekonany, że jeśli nie zrobi tego zdecydowanie, nie zrobi tego w ogóle. Dopasowując pętlę do szyi, poczuł ulgę tak olbrzymią, że nieznacznie popuścił w spodnie. Rozejrzał się po drukarni. Długi warsztat, zebret, kaszty i regały. Każdego przedmiotu, który znajdował się w tym pomieszczeniu, dotykał setki razy. Tysiące.

- Tak jest dobrze - wyszeptał pospiesznie i kopnął stołek, który przeokołkował pod ścianę. Stopy gwałtownie szukały oparcia w powietrzu. Jeden but unoszący się i upadający miękko na stos równo ułożonych gazet. Henryk próbował wcisnąć palce pomiędzy szyję a sznur, ale szyja i sznur to była jedna, gęsta i ciasna całość. Zapłonęło mu w płucach. Całe ciało wykonywało ruchy, jakby chciało popłynąć w stronę sufitu.

Coś trzasnęło i Henryk Graczyk runął na ziemię, ale przez tę chwilę, kiedy jeszcze wisiał, kiedy wił się na sznurze w zwierzęcej panice, w braku myśli i powietrza, zobaczył tłum ludzi stojących przed płonącym budynkiem. Kobiety i mężczyźni, dzieci, dorośli i starcy, niektórzy z rozłupanymi czaszkami, z kulami w ciałach, wychudzeni, inni dorodni, zdrowo rumiani, łączyło ich jedynie to, że wszyscy ubrani byli porządnie, elegancko. Wśród nich, z samego tyłu, stała Iwona. Zwrócona w stronę ognia, miała nieruchomą twarz, jakby nie dostrzegała nikogo wokół, jakby stała tam najzupełniej sama.

Miała na sobie suknię, o której mówiła, że leży na jej ciele, jakby je uwielbiała, i w którą ubrał ją nie tak dawno do trumny. Wszyscy oni, wszyscy wokół Iwony i ona także, czekali nieruchomo i wpatrywali się w ogień, a potem zaczęli iść.

Krystian czuł ich za swoimi plecami. Nie odwracał się, patrzył w ogień. Wreszcie ruszyli przed siebie, omijając jego, Reginę i dzieci. Na ich czele kroczył Lolek, wielki, potężny Lolek z powieści, Lolek kobieciarz, Lolek

awanturnik, Lolek potępieniec, a za nim kolejni: drobna, siedemdziesięcioletnia Janina Klimek, dla której Krystian zrobił pierwszą trumnę, Witold Bosak, zmarły na serce niedługo później, następnie rolnik Kawski z Kłodawy i cała reszta, wszyscy oni przechodzili teraz obok Krystiana i znikali w płonących drzwiach jego zakładu.

Patrzył przed siebie bez słowa i czekał na ostatnią postać. Tłum zupełnych przelewał się obok niego, pędząc w ogień. Wreszcie minęła go, wysoka, postawna, z czarnym warkoczem, ale nie odwróciła się, nie miała okazji porównać jej twarzy z wizerunkiem z gazety. Iwona Graczyk zniknęła w płomieniach, a podwórko wypełniło się krzykami chłopaków ze straży ogniowej.

Odwracając się do nich, Krystian zobaczył jeszcze jedną, niewyraźną sylwetkę zmierzającą ku coraz wyższym płomieniom. Ten ktoś – miał jego imię na skraju pamięci – pobiegł sprężystym krokiem i wskoczył w dym.

...i tym razem również chciałem się odwrócić, tak jak wtedy, a jednak nie odwróciłem się...

Na dźwięk tych słów, które uniosły się, donośne i wyraźne, ponad łąką w jej głowie, Aniela obudziła się z nieprzyjemnym posmakiem w ustach – było jej gorąco, na brzuchu czuła pot, otworzyła oczy i poczekała, aż obraz się wyostrzy.

Przyglądała się swojej prawej dłoni, przekonana, że w tym domu powinno być więcej osób. Ta myśl czasem ją nachodziła. Później zniknęła, wypchnięta przez jakąś inną, na przykład że zachód słońca jest dziś inny niż wszystkie. Większy. Jaskrawszy. Aniela patrzyła, jak wszystko staje się tym zachodem, od lewej krawędzi okna do prawej. Słyszała ciche trzaski, jakby łamać coś suchego, cienkiego.

Za oknem jacyś mężczyźni krzyczeli do siebie o wodzie. Syczało. Poprawiła się w fotelu. To był chyba jej fotel? Tak, chyba jej. Taki zachód słońca, jaskrawy i gorący, naprawdę niezwykle. Poprawiła się na miejscu, wyciągnęła stopy przed siebie i dalej patrzyła.

PODZIĘKOWANIA

Bardzo serdecznie dziękuję Beacie Pinkowskiej, Annie Pietruszce oraz wszystkim innym pracownikom Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kole za wielką pomoc w zbieraniu materiałów niezbędnych do napisania tej książki. A także za wyrozumiałość tamtego letniego dnia jakieś dwadzieścia pięć lat temu, kiedy zgubiłem wypożyczone *Lśnienie* Stephena Kinga i przyszedłem się przyznać.

Sąsiednie kolory

Copyright © by Jakub Małecki 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Kornelia Dąbrowska, Piotr Królak

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Obraz na okładce – Roch Urbaniak

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788382104974

ISBN epub: 9788382104998



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędział

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl